

MARGARET TRUMAN

**MORDERSTWO
W SĄDZIE NAJWYŻSZYM**

Przekład: Roman Czarny

Tytuł oryginału

MURDER IN THE SUPREME COURT



ROZDZIAŁ 1

Uwaga! Uwaga! Uwaga! Wszystkie osoby ze sprawami do Czcigodnego Najwyższego Sądu Stanów Zjednoczonych wzywa się do podejścia i skupienia uwagi, Sąd, bowiem rozpoczyna posiedzenie. Niech Bóg ma w swej opiece Stany Zjednoczone i ten Czcigodny Sąd.

Kiedy woźny ogłaszał zwyczajową formułą początek posiedzenia, dziewięciu sędziów w czarnych togach wystąpiło zza ciężkich burgundzkich draperii i zajęło miejsca na potężnej mahoniowej ławie. Prawnicy, którzy mieli przedstawić pierwsze sprawy, usiedli przy długim stole poniżej sędziowskiej ławy. Przed nimi leżało dwadzieścia dziesięciocalowych piór gęsich, z dbałością ułożonych na notatnikach, co stanowiło tradycję z najdawniejszych czasów. Najstarszy wiekiem prawnik miał na sobie żakiet, pozostali ciemne garnitury z kamizelkami.

– Zaczynamy – powiedział Jonathan Poulson, przewodniczący Sądu Najwyższego, który zasiadł na środku ławy. Łysy, prócz kępek siwych włosów na bokach głowy, z okularami w drucianych oprawkach opuszczonymi nisko na orlim nosie, z policzkiem podpartym długim, szczupłym palcem wskazującym, wsłuchiwał się w formułę prawną dotyczącą dopuszczenia przed Sąd.

– Dopuszcza się – stwierdził Poulson. Po czym urzędnik zarządził złożenie przysięgi.
– Prosimy, panie i panowie – powiedział Poulson. – Zajmijmy się pierwszą sprawą: *Nidel ca Illinois*.

Młody prawnik podszedł do pulpitu, podwyższył go i ułożył na nim żółte karty akt. Miał gęste ciemne włosy i lekko ziemistą, znaczoną kropkami po ospie twarz. – Panie przewodniczący i Wysoki Sądzie – powiedział zdecydowanym głosem – dwa lata temu, wiosną, powódka pragnęła dokonać sztucznego poronienia w swoim rodzinnym stanie Illinois...

Poulson wyprostował się na krześle obitym czarną skórą i wsłuchując się we wstępne wywody adwokata, spoglądał na olbrzymią, majestatyczną salę sądową. Nieodmiennie wywierała na nim olbrzymie wrażenie, jej szacowność i piękno, jej ściany i kolumny z białego hiszpańskiego i włoskiego marmuru kontrastujące z dywanem i draperiami czerwonymi jak krew. Na wprost niego, wysoko na zachodniej ścianie, widniał jeden z czterech wysokich na dwanaście metrów marmurowych Weinmanowskich fryzów.

Mimowolnie Poulson kolejno rozpoznawał każdą z symbolicznych postaci: uskrzydloną figurę kobietą Boskiego Natchnienia z Mądrością i Prawdą po bokach. Na lewo Moce Dobra: Bezpieczeństwo, Ład, Pokój, Miłosierdzie i Obrona Cnoty. Zło było przedstawione po stronie przeciwnej: Korupcja, Potwarz, Oszustwo i Despotyczna Władza.

Publiczność wypełniła salę, jak zwykle, kiedy rozpatrywano sprawy kontrowersyjne. Ci bezpośrednio zainteresowani siedzieli przed błyszczącą mosiężną barierką. Prasa miała stanowiska po stronie lewej. Publiczność siedziała za barierką. Nie było ani jednego wolnego miejsca, a kolejka na zewnątrz wiła się długim sznurem.

Przewodniczący zauważył małego chłopca, który wpatrywał się w sufit, potężną powierzchnię zajętą przez złote liście kwiecica lotosu, symbolizujące Wytrwałość, osadzone na tle jasnoczerwonych i niebieskich kwadratów.

Całą swą uwagę skupił teraz na słowach adwokata. Nie stracił z nich, jak dotąd, ani jednego, mimo małej wycieczki w myślach. Lata na ławie sądowej pozwoliły mu na wypracowanie tej umiejętności, najpierw jako sędziemu apelacyjnemu w Dziewiątym Okręgu, następnie w pracy w Trybunale Stanu, aż do momentu, gdy rok temu z rąk prezydenta Randolpha Jorgensa otrzymał nominację na przewodniczącego Sądu Najwyższego.

Konserwatysta Jorgens został wyniesiony na stanowisko prezydenta na fali niezadowolenia publicznego z liberalnych i pozwalających na zbyt wiele poprzednich administracji. Mógł wprawdzie zostawić ówczesnego sędziego na stanowisku przewodniczącego, ale uhonorował tradycję, by nie zachwiać delikatnej równowagi istniejącej w Sądzie. Tak więc sięgnął po starego przyjaciela, Jonathana Poulsona, który, podobnie jak nowy prezydent, był orędownikiem poglądów konserwatywnych, zaprzysięgłym konstytucjonalistą, człowiekiem finansowo zabezpieczonym i przesadnie wręcz niechętnym wprowadzaniu zmian mogących rzucić wyzwanie odwiecznym tradycjom amerykańskim.

Mowę adwokata przerwała jedyna sędzina w składzie, Marjorie Tilling-Masters, atrakcyjna i super inteligentna kobieta, która prócz wprowadzania w składzie sędziowskim nastawienia umiarkowanego i posługiwania się sensowną argumentacją filozoficzną, przez sam fakt, że była kobietą, zmieniła sposób zwyczajowego zwracania się do sędziów per „Panie sędzio Poulson” czy „Panie sędzio Brown”. Odkąd pojawiła się w składzie sędziowskim, słowo Panie wcale nie było już tak oczywiste i najczęściej w ogóle je pomijano, choć okazjonalnie ten i ów nadal się zapominał.

Siedzący najbliżej po prawicy Poulsona sędzia Temple Conover pochylił się ku niemu i powiedział: – Pan mecenas troszkę sepleni.

Poulson uśmiechnął się. Jako najstarszy w składzie sędziowskim oraz arbiter o najdłuższym stażu w Sądzie, Conover wykorzystywał status seniora, by zachowywać się niepoważnie w momentach, zdaniem Poulsona, jak najbardziej nieodpowiednich. Conover był od lat ulubieńcem środków masowego przekazu: wybuchowy i uwielbiający dysputy, genialny, o dandysowatym wyglądzie, olśniewający sposobem bycia. Ostatnio ożenił się po raz czwarty. Jego nowa żona miała lat dwadzieścia sześć; on osiemdziesiąt dwa. Był zaprzysięgłym liberałem.

Sędzia po lewej Poulsona, Morgan Childs, pochylił się nieco do mikrofonu i zwrócił się do adwokata: – Panie Manecke, z pańskich pod przysięgą złożonych oświadczeń wynika dla mnie, że pierwotne odwołanie dotyczyło odmowy opłacenia przez stan aborcji powódki. Natomiast dziś przedstawiana przez pana sprawa zdaje się być diametralnie różna i dotyczy kwestii, czy kobieta ma prawo decydować o losie własnego ciała.

Adwokat oderwał wzrok od przygotowanej mowy i powiedział: – Sędzio Childs, sprawa znacznie wykracza poza ramy prostej decyzji finansowej. Dlatego kwestia ta dotarła aż do tej instancji. Chodzi o fundamentalną zasadę praw jednostki w wolnym społeczeństwie. Ograniczenie ich do...

Childs machnął ręką i potrząsnął głową. – Właśnie o to mi chodzi, panie Manecke. Po prostu chcę wiedzieć z całą pewnością, na czym stoimy. Czy spór dotyczy praw kobiety, czy też odpowiedniego salda w książeczce czekowej.

Kilku widzów zachichotało. Jednak przewodniczący Poulson uniósł głowę, co natychmiast urwało krótkotrwałą wesołość.

Childs upierał się nadal: – Mamy tu rozpatrzyć kwestię w skali całego kraju. Dobrze byłoby więc ustalić, na czym ta kwestia polega.

Adwokat usiłował powrócić do rozpoczętej mowy, ale inny sędzia zadał mu kolejne pytanie.

Poulson zwrócił się do kierownika swego biura, Clarence'a Sutherlanda, który siedział za nim, i zapytał: – O co tu rzeczywiście chodzi?

Sutherland uśmiechnął się i wzruszył ramionami. – Pewnie o seks.

Poulson odetchnął głęboko i znowu wsłuchał się w słowa adwokata. Clarence zniknął za kotarami, znalazł odpowiedni dokument w podręcznej biblioteczkę, powrócił i wręczył go Poulsonowi. – Strona jedenasta, sir. Ma to związek z omawianą sprawą.

Kiedy adwokat wykorzystał swoją godzinę, miejsce na podium zajął starszy prawnik w żakiecie. Reprezentował stan Illinois. Poulson znał go dobrze. Byli kolegami na studiach prawniczych.

– Panie przewodniczący, Wysoki Sądzie – powiedział. – Staję przed wami dzisiaj jako reprezentant zagubionego i przepełnionego niepokojem amerykańskiego elektoratu. Idee, które przeszły zwycięsko próbę czasu, są zmieniane przez ludzi powodowanych szczególnie, czysto egoistycznymi motywacjami. Wartości, które stanowiły esencję amerykańskiego stylu życia, krosno, na którym utkano amerykańską materię, są z rozmysłem podważane. Sprawa, która stanęła na wokandzie w dniu dzisiejszym...

Sędzina Marjorie Tilling-Masters wydostała z fałd swej czarnej togi jakiś kłaczek. Strażnik sądowy grzecznie poprosił widza, by nie opierał się o mosiężną balustradę, a wiekowy sędzia Conover wymamrotał w bliżej nieokreślonym kierunku: – Do rzeczy, prosimy, do rzeczy.

Szef biura Clarence Sutherland przeszedł za plecami sędziów i wręczył jakąś notkę młodej urzędniczce, Laurie Rawls. Ta przeczytała ją, uniosła głowę i w niezadowoleniu wyduła usta. Okazało się, że Clarence nie może przyjść tego wieczoru na randkę z kolacją. Po reakcji Laurie, Clarence wzruszył ramionami i właśnie miał wrócić na swoje miejsce, kiedy dostojną ciszę sali sądowej przerwał ostry, wyraźny odgłos wystrzału.

– Na ziemię! – krzyknął woźny.

Dziewięcioro sędziów, z przekrzywionymi togami, schowało się pod ławę. Widzowie rozejrzeli się wokół i padli plackiem na podłogę. Uzbrojeni strażnicy w białych koszulach i czarnych krawatach podbiegli do ławy. Clarence Sutherland padł na kolana obok Laurie Rawls. Patrzyli na siebie w szoku.

– Nie podnosić się – ryknął strażnik.

Clarence wystawił głowę ponad ławę i zobaczył członka ochrony, który wszedł do sali sądowej z jakimś przedmiotem w ręce. Uśmiechał się. – Żarówka – powiedział głośno. – P© prostu żarówka, która wyleciała z oprawki.

– Żarówka – powiedział Clarence do Laurie, pomagając jej wstać.

– Huknęła jak wystrzał z pistoletu – odpowiedziała. – Boże, ale się zlekłam. – Skuliła się na krześle i zdmuchnęła z czoła kosmyk włosów.

Clarence pochylił się nad nią. – Przepraszam za dzisiejszy wieczór, ale coś mi wypadło.

– Kto to jest tym razem?

– Przestań...

– Dobrej zabawy. – Jej słowa miały ciepłotę lodu.

W sali przywrócono porządek. Starszy adwokat stanął znów na podium, wygładził ubranie, odchrząknął i powiedział: – Panie sędzio przewodniczący, Wysoki Sądzie, jak

mówiłem...

ROZDZIAŁ 2

Jonathan Poulson siedział w swoim biurze w piątek rano, trzy dni po incydencie z żarówką. – Gdzie jest Clarence? – zapytał urzędników swojego biura.

– Nie wiem – odpowiedział któryś. – Pewnie ma kłopoty z dojazdem.

– No tak. – Sutherland często się spóźniał, co zawsze irytowało przewodniczącego Sądu Najwyższego. Punktualność była dla Poulsona religią, jak utrzymywali ci, którzy w nią nie wierzyli.

O 9.25 rozległ się dźwięk dzwonka, pięć minut przed rozpoczęciem piątkowej sesji. Z wszystkich rytuałów Sądu sesja piątkowa była dla Poulsona najważniejsza. Tysiące potencjalnych spraw wnoszono corocznie do Sądu Najwyższego w nadziei, że Sąd wyda *writ of certiorari*, z łaciny *certiorari volumus*, co znaczy „Pragniemy zaświadczyć”. Większość spraw wnoszonych do rozpoznania odrzucano na podstawie pisemnej oceny urzędników prawnych Sądu Najwyższego. Z tych, które przeszły przez urzędnicze sito, najważniejsze rozpatrywano na sesji piątkowej. Wtedy właśnie zapadały rozstrzygnięcia ostateczne.

Dziewięcioro sędziów zebrało się w przedsionku głównej sali sądowej, gdzie dokonali tradycyjnej ceremonii pomagania sobie wzajemnie w zakładaniu tog, nim jeszcze wymienili powitalne uściski dłoni i weszli do największej z czterech sal konferencyjnych. Bogato zdobiona białym dębem amerykańskim, mieściła wielki stół konferencyjny wyłożony czarną skórą, na którym leżały stosy notatników, zestawień i notatek. Poulson zasiadł na wschodnim krańcu stołu, swoim zwyczajowym miejscu. Temple Conover, senior wśród sędziów pomocniczych, miał fotel po stronie zachodniej, znowu wedle tradycji. Najmłodszy sędzia pomocniczy, Morgan Childs, zajął miejsce najbliżej drzwi, gdzie spełniał jednocześnie funkcje odźwiernego i sekretarza, posyłając po konieczne materiały i odbierając je.

– Dzień dobry, panie i panowie – powiedział Poulson. – Pierwszą sprawą, którą przychodzi nam dziś rozpatrzyć, jest...

Dziesięć minut przed dziesiątą rozległo się pukanie do drzwi. Poulson spojrzał na najmłodszego sędziego pomocniczego i uniósł w zdziwieniu brwi. Naruszenie świętości konferencji piątkowej było rzeczą niesłychaną. Temple Conover wyraził najpełniej odczucia wszystkich obecnych, kiedy warknął: – A któż to, do diabła?

– Zobaczymy – odpowiedział Morgan Childs.

Najmłodszy sędzia otworzył drzwi. Ukazała się postać urzędniczki Conovera, Laurie Rawls. – Lepiej, żeby to było coś ważnego – powiedział przewodniczący Sądu Najwyższego.

– Naprawdę jest, sir. Naprawdę... – zaczęła płakać.

– Ale co? – zapytał Poulson wstając i ruszył w kierunku drzwi.

– To straszne...

– Co jest straszne? – zapytał ponownie Poulson. Oczy wszystkich sędziów spoczywały teraz na niej.

– On... mój Boże, on nie żyje...

– Kto nie żyje? – wtrącił szybko Childs.

– Clarence...

– Clarence Sutherland?

– Tak... on... został... – Buchnęła płaczem i upadła wprost na Poulsona.

Ten przytrzymał ją przez moment, po czym łagodnie odsunął i wyszedł w kierunku hallu, a za nim pozostali. – Gdzie on jest?

– W Sądzie.

Poulson szybkim krokiem poprowadził całą grupę w głąb korytarza. Minęli ogromną powierzchnię wyłożonego marmurem z Alabamy Wielkiego Hallu i całe rzędy monolitowych kolumn; twarda posadzka odbijała echem ich kroki, a czarne togi powiewały w powietrzu. Strażnik stanął w postawie na baczność. Nigdy nie widział wszystkich dziewięciorga naraz, spacerujących w grupie przez miejsce dostępne dla publiczności.

Minęli olbrzymie podwójne odrzwia prowadzące do sali sądowej. Drzwi zamknęły się za nimi z ciężkim westchnieniem. Wspięli się po schodach i spojrzeli w kierunku sędziowskiej ławy, a następnie jakby z ociąganiem ruszyli w stronę jednego z dwóch wewnętrznych przejść między rzędami. Tam, usadowiony na fotelu przewodniczącego Sądu Najwyższego, spoczywał Clarence Sutherland. Głowę miał lekko przechyloną w bok, a więc i grzywa jasnych, lekko falowanych włosów opadała w tym kierunku. Zdawał się uśmiechać, choć naprawdę bardziej przypominało to grymas. Miał na sobie ten sam ciemnoszary garnitur, który Poulson pamiętał z poprzedniego dnia, zielony wzorzysty krawat zgrabnie sięgający jabłka Adama, a jasnoniebieska fildekosowa koszula ciasno opinała jego ciało. Niezwykle było tylko jego czoło. W samym środku widniała dziurka pokryta zakrzepłą krwią, która niewielkim strumyczkiem wypłynęła w dół poprzez prawe oko aż po górną wargę, gdzie koniec wąsów zatrzymał ją i nie pozwolił spłynąć niżej.

– Nie żyje – powiedział Morgan Childs, kiedy podszedł bliżej i schylił się, by przyjrzeć się dokładnie.

– To morderstwo – stwierdził Temple Conover.

– W Sądzie Najwyższym – dodał przewodniczący Sądu Najwyższego Jonathan

Poulson, jakby ferował wyrok.

ROZDZIAŁ 3

Porucznik Martin Teller ze Stołecznej Komendy Policji zjadł kawałek ciasta ze śliwkami. Telefon urywał się, odkąd znaleziono ciało Clarence'a Sutherlanda. Porucznik właśnie skończył rozmawiać z szefem służb ochrony Sądu Najwyższego, który wydał mu ważną przez całą dobę przepustkę, dającą nieograniczony wstęp do budynku aż do czasu zakończenia śledztwa. Teraz Martin rozmawiał z reporterem „Washington Post”:

– Wiesz więcej niż ja na tym etapie – powiedział policjant. – Tak, prawda, kaliber 22, i rzeczywiście siedział na krześle przewodniczącego Sądu Najwyższego, kiedy to się stało. Poza tym... co takiego? Kto ci to powiedział?... Nie możesz podać źródła informacji? No to ślicznie, ja też nie. Jasne, że dam znać zaraz, jak będę coś wiedział. – Ile razy przez te wszystkie lata mówił dokładnie to samo?

Odłożył słuchawkę i dokończył ciasto, popijając je resztką zimnej już kawy. Otworzył leżącą na biurku teczkę z napisem SUTHERLAND, ZABÓJSTWO i odczytał dwie jedyne kartki papieru tam umieszczone, potem zamknął teczkę i zapalił korzennego papierosa. Papierosy o smaku goździków odkrył przed sześcioma miesiącami, kiedy próbował rzucić palenie. Wymyślił sobie mianowicie, że są tak paskudne, iż dobrze się zastanowi, zanim coś takiego przypali. No i nie wyszło. Teraz palił dwie paczki korzennych papierosów dziennie.

Zadzwoił telefon. – Detektyw Teller – powiedział do słuchawki.

– Dzień dobry panu – odezwał się przyjemny damski głos po drugiej stronie. – Mówi Susanna Pinscher z Ministerstwa Sprawiedliwości. Dzwonię w sprawie przypadku Sutherlanda.

– Przypadku? – mruknął pod nosem. W Ministerstwie Sprawiedliwości nawet morderstwo było „przypadkiem” prawnym. – Czym mogę pani służyć?

– Otóż przypisano mnie tu w Ministerstwie do sprawy Sutherlanda. Dowiedziałam się też, że pan ją prowadzi w Stołecznej Policji, więc pomyślałam, że moglibyśmy skumulować środki.

Skumulować środki... o rany, co za wyrażenie. A z drugiej strony, miało to sens. – Okay.

– Panie poruczniku, czy moglibyśmy się spotkać dzisiaj po południu? Chciałabym ustalić jakiś system wymiany informacji.

– A ma pani jakież?

– Jakież co?

– Informacje. Bo ja, niestety, nie.

– Tylko informacje o zmarłym, okoliczności, w jakich został znaleziony i jak został zabity.

– No to remis.

Jej westchnienie nie uszło jego uwagi. Może powinien spróbować wykazać trochę więcej gotowości do współpracy. – Miałem ciężki ranek, Miss Pinscher. Przepraszam za opryskliwy ton. Zgoda, spotkajmy się.

– Czy trzecia po południu panu odpowiada?

– Nie, to niedobra pora. Będę wtedy rozmawiał z rodziną Sutherlanda. – Rozważył to w myślach, a potem zapytał: – Chce pani pojechać ze mną?

– Wie pan, ja... tak, dziękuję, chętnie.

– Spotkajmy się przed domem Sutherlanda o trzeciej. Wie pani, gdzie to jest?

– Mam adres. Jakiego samochodu mam szukać?

– Niech się pani nie przejmuję samochodem. Od razu mnie pani rozpozna.

– Naprawdę? A jak?

– Jestem najprzystojniejszym detektywem w policji, takim skrzyżowaniem Paula Newmana z Walterem Matthau.

– I skromniusim, jak słyszę.

– Tak, to cały ja. Do zobaczenia o trzeciej.

Odłożył słuchawkę, wstał, przeciągnął się i wyjrzał na huczący za oknem październikowy dzień Waszyngtonu. – Już prawie zima – mruknął do siebie, odwijając rękawy koszuli. Prawy mankiet zwisał luźno. Kiedy ubierał się rano, zauważył, że brakuje u niego guzika, ale zbyt się spieszył. Poza tym u wszystkich pozostałych koszul też brakowało guzików. Włożył marynarkę i podszedł do małego, przekrzywionego lustra obok drzwi. Bywały takie dni, kiedy zupełnie nie odczuwał swych czterdziestu sześciu lat, ale to nie był jeden z nich. Odbicie w lustrze było bezlitosne. Ostatnio przytył i poniżej wystających różowych policzków zaczęły mu się rozrastać podbródki. Wypadanie cienkich, brązowawych, prostych włosów posunęło się już tak daleko, że zmusiło go do obniżenia przedziałka tak, by dłuższymi włosami można było zaczesać łysinę. W średniej szkole przezywali go „księżycowa gęba”. Uśmiechnął się i wrócił do biurka, by zabrać teczkę dotyczącą Sutherlanda. Bez względu na to, jak obszedł się z nim czas, i tak wyglądał lepiej niż w średniej szkole. Przynajmniej pozbył się trądziku.

Pięć minut później siedział przy małym, mocno nadgryzionym zębem czasu stoliku konferencyjnym u swojego szefa, Doriana Marsa, cztery lata młodszego, magistra

kryminologii i doktora psychologii. Oprócz nich za stolikiem zasiadło też czterech innych detektywów przypisanych do sprawy Sutherlanda.

– To najważniejsza sprawa, jaką mi powierzono w dotychczasowej karierze – stwierdził Mars pykając fajkę. Spojrzał na Teller. – Do czasu jej rozwiązania ciśnienie będzie stale rosło jak w szybkowarze, Martin. Już teraz wszyscy gadają, że trzeba ją zacząć od kuchni. Co oznacza, że to dla nas sprawa gardłowa, jeśli się nie weźmiemy solidnie, do pracy...

Teller poważnie skinął głową i poprawił pod marynarką mankiet, u którego brakowało guzika. Otworzył teczkę Sutherlanda i powiedział: – Zostaniemy w kuchni, Dorian, bez względu na to, jak będzie gorąco – i zaraz zrobiło mu się przykro, że nie może się powstrzymać od małpowania świeżo nabytej skłonności bossa do wyświechtanych wyrażonek.

Spóźnił się pod dom Sutherlanda, wielki, szeroko rozpościerający się na czterech akrach w Chevy Chase budynek z czerwonej cegły, zdobiony białą sztukaterią. Część oryginalna była odbiciem federalnego stylu architektury, popularnego w czasach jej budowy w 1810 roku. Liczne dobudówki i skrzydła zmieniły budynek w formę bardziej eklektyczną.

Przed długim, wijącym się dojazdem do domu parkował samochód Wydziału Policji Stołecznej. Obok niego stali dwaj umundurowani policjanci. Jeszcze jeden wóz widniał kilka metrów dalej w górę drogi. Teller podjechał swym nie oznaczonym buickiem regalem do drugiego samochodu. Otworzyły się drzwi i z wozu wysiadła Susanna Pinscher z parą kształtnych nóg na dzień dobry. Teller od razu zauważył, jak piękną była kobietą. Na oko miała metr sześćdziesiąt wzrostu, ale sposób noszenia się sprawiał wrażenie, jakby była wyższa. Gęste, ciemne, lekko falowane włosy z pojedynczymi nieregularnymi pasemkami siwizny powiewały lekko na wietrze. Twarz miała zdecydowaną, z charakterem, wyrazistą, a każdy jej poszczególny element pozostawał w zgodzie z całością. Cera jasna, pełne, zmysłowe usta podkreślone czerwoną kredką i duże, ekspresyjne zielone oczy z właściwie dobranym tuszem do rzęs, i róż tak zgrabnie nałożony na policzki, że kolor zdawał się z nich wprost emanować.

Wyciągnęła rękę i uśmiechnęła się. Ucisnął wyciągniętą dłoń i powiedział: – Przepraszam za spóźnienie.

– Okay. Przyjechałam przed chwilą. Pan Martin Teller?

– Nie poznała mnie pani od razu?

Przekrzywiła zabawnie głowę i zmrużyła oczy. – Zdecydowanie Paul Newman. Nie widzę w panu wcale Matthau.

– Myślę, że będzie się nam dobrze współpracować, Miss Pinscher. Chodźmy.

Poszli w kierunku domu. Pozwolił się wyprzedzić, by przyjrzeć się jej figurze z tyłu. Delikatna, plisowana szkocka spódnica zgrabnie opinała jej biodra. Na białej bluzce miała niebieski sweterek. Nagle zatrzymała się, spojrzała przez ramię do tyłu i zapytała: – Idzie pan?

– Za panią. Na razie.

Służącej w uniformie powiedzieli, kim są, i ta poprosiła, by zaczekali w hallu. Teller rozejrzał się i cicho zagwizdał. – Jest większy niż całe moje mieszkanie.

– To wzięty psychiatra – powiedziała Susanna.

– A są w ogóle tacy, co nie biorą?

Służąca wróciła i poprowadziła ich przez obszerny gabinet i przez kolejne drzwi, a potem korytarzem do zupełnie innego skrzydła. Zapukała w masywne zasuwane drzwi. Rozwarły się i służąca zeszła na bok, by umożliwić im wejście do środka.

– Dzień dobry, nazywam się Vera Jones, jestem sekretarką doktora Sutherlanda. Mam nadzieję, że możecie państwo moment poczekać. Ta okropna historia wszystkich kosztowała bardzo dużo, szczególnie najbliższą rodzinę.

– Oczywiście – odpowiedziała Susanna.

Pokój do przyjmowania pacjentów, jednocześnie jej gabinet, był utrzymany w subtelnych, pastelowych odcieniach, przestronny i uderzająco uporządkowany. Na wypucowanym biurku dwa zaostrome ołówki leżały idealnie równolegle do siebie na dużym notatniku. Wielka księga przyjęć nie wysuwała się ani na milimetr poza róg biurka.

Przerazająco pedantyczne, jak ta pani, powiedział w duchu Teller.

Vera Jones sprawiała wrażenie ideału oddanej, świetnie zorganizowanej sekretarki. Pod czterdziestkę, wysoka i smukła, z fryzurą współgrającą z ubraniem, zupełnie niewyszukaną i wygodną. Jej twarz miała ostre rysy. Wąskie usta z pewnością mogły zacisnąć się w jeszcze węższą linię, osobliwie w zdenerwowaniu.

A jednak, pomyślał sobie Teller, równie dobrze mogła to być kobieta zmysłowa. Po rozwodzie doszedł do wniosku, że zmysłowość nie ma nic wspólnego z seksownością. Przesadnie seksowne kobiety, noszące prowokujące stroje, flirtujące i sprowadzające rozmowę na tory seksu, w większości wypadków były jednym wielkim oszustwem. Nauczył się doceniać subtelność, i ona właśnie go pociągała. Rzucił okiem na Susannę, która zajęła skórzane krzesło przy biurku Very, i zastanawiał się, jaki ona może mieć styl.

Vera usiadła za swoim biurkiem, sprawdziła ułożenie ołówków i westchnęła; jej piersi uniosły się pod swetrem koloru leśnej zieleni. Teller zauważył ich krągłość. Zajął takie samo krzesło jak Susanna, tyle że po drugiej stronie, i zapytał: – Od jak dawna pracuje pani dla doktora Sutherlanda, Miss Jones?

Ruch jej głowy był tak nagły, jakby pytanie ją przeraziło. – Od dwudziestu dwóch lat – odpowiedziała.

– To dość długo.

– Chyba tak. – Zamyśliła się, spojrzała na blat biurka. – Czy nie można byłoby przełożyć tej rozmowy?

– Dlaczego?

– Bo wydaje się taka... taka niekonieczna wobec osobistej tragedii, jaką przeżywa rodzina. Przecież chłopak nie jest jeszcze nawet pochowany.

– To nastąpi jutro, prawda?

– Tak.

Teller spojrział wpierw na Susannę i powiedział: – Miss Jones, mnie to także nie sprawia żadnej przyjemności, ale takie decyzje nie zależą ode mnie.

Na niewielkiej konsolce telefonicznej zabłysło słabe światełko i odezwał się delikatny dzwonek. – Przepraszam – powiedziała. Wstała i zniknęła za drzwiami.

– Co pani o nim wie? – zapytał Susanny Teller.

– O doktorze? Chyba to, że jest najslawniejszym psychiatrą w Waszyngtonie, powiernikiem bogatych i możnych, specjalnym doradcą byłej administracji, człowiekiem nadzwyczaj zamożnym i o wielkich wpływach, postacią światowej klasy w swojej profesji.

– A co o jego chłopaku?

– Clarence? Bardzo niewiele, prócz tego, że nie żyje, że z wszelkich możliwych miejsc zamordowano go w Sądzie Najwyższym. Skończył studia prawnicze z wyróżnieniem i najpewniej czekała go świetna kariera w dziedzinie prawa.

– Co jeszcze?

Wzruszyła ramionami.

– Odniosłam wrażenie, że stanowił jedną z najbardziej poszukiwanych partii w Waszyngtonie.

– To naturalne w mieście, gdzie przeważają kobiety.

Powróciła Vera i powiedziała miękko: – Doktor Sutherland przyjmie państwa teraz.

Jego gabinet był zdumiewająco mały, biorąc pod uwagę rozmiary reszty domu. Mały stolik kawowy przy beżowej kanapie służył mu za biurko. Dwa różowe fotele klubowe

zajmowały miejsca po przeciwnej stronie stoliczka. Tuż przy kanapce, pod oknem z kotarami, stała wygodna sofka z brązowej skóry. Za klubowymi fotelami, przy ścianie, znajdowała się wymyślna kanapka z czarnej skóry, z wezłowiec wijącym się na kształt szyi łabędzia.

– Pamiątka rodzinna – powiedział chłodnym tonem zza szklanego stoliczka Sutherland, zauważywszy zainteresowanie Teller. Doktor nawet nie wstał na ich przywitanie.

Teller uśmiechnął się. – Więc jej pan nie używa?

– Rzadko, jedynie wówczas, gdy pacjent sobie tego życzy. A większość nie ma takich zachcianek. Proszę siadać. Proszę, niech pan na niej usiądzie, jeśli sobie pan tego życzy.

Teller spojrzął na skórzaną kanapkę, odwrócił się do Sutherlanda i powiedział: – Dziękuję, chętnie skorzystam. – Usiadł na niej i wyciągnął nogę na całą jej długość. Susanna zajęła jeden z klubowych foteli. Doktor Sutherland rozparł się na swojej kanapce i obserwował gości niespokojnymi oczami spod krzaczastych brwi barwy soli z pieprzem. Bujna grzywa siwych włosów w każdej chwili groziła, że zmieni się w bałaganiarską szopę. Był pięknie opalony – kwarcówka czy wakacje na Karaibach? – zastanawiał się Teller. Ubrany był ze starannie zaplanowaną swobodą: na sztywny kant wyprasowane bryczesy, wysokie buty ze szklanym połyskiem, niebieska koszulka i jasnożółty cardigan. Oczywiście zorientował się, że jest poddawany oglądowi, ponieważ powiedział: – Przełożyłem wszystkie zajęcia zawodowe od czasu tej tragedii mojego syna.

– Zupełnie zrozumiałe – powiedziała Susanna.

– Proszę przyjąć kondolencje – rzekł Teller.

– Dziękuję.

– Miło z pana strony, że zdecydował się pan nas jednak przyjąć – dorzuciła Susanna.

– Nie oczekiwałem obojga. Pan Teller umawiał się ze mną. Czy mogę zapytać, jaki jest pani związek z tą sprawą?

– Och, proszę wybaczyć. Nazywam się Susanna Pinscher. Pracuję w Ministerstwie Sprawiedliwości. Oczywiście, kiedy zdarza się coś takiego kalibru, to i w nas się wali.

– Dla mnie wali się cały świat – powiedział doktor zdejmując okulary, które zmieniły barwę pod wpływem innego kąta padania światła, i przecierając oczy. – Czy któreś z państwa straciło dziecko? – zapytał.

– Ja nie – odpowiedział Teller. – Wiem, że to tragedia. Sam mam parę dzieciaków...

Sutherland włożył z powrotem okulary i spojrzął na Susannę. – Czy pani ma dzieci, Mrs. Pinscher?

– Miss Pinscher. Tak, mam troje. Mieszkają z moim byłym mężem.

- To bardzo współczesne.
- Tak było najlepiej dla nas obojga.
- Z pewnością. Taka teraz moda.
- Proszę?
- Dzieci pozostają z ojcem. Biologia przegrywa z zawodową karierą.

Teller wiedział, że ten kierunek rozmowy nie bardzo odpowiada Susannie. Wyprostował się na kanapie i powiedział: – To tylko wstęp, doktorze Sutherland. Nikt nie kocha wtrącania się do spraw rodzinnych w czas tragedii, ale będzie musiało tak być aż do momentu, kiedy dojdziemy do samej kuchni.

– Samej kuchni?

– To takie utarte powiedzonko. Pracuję u kogoś, kto uwielbia takie wyrażenia. Proszę pana, nie sądzę, byśmy o wielu sprawach mogli dzisiaj porozmawiać. Ważne jednak, że nawiązaliśmy kontakt, ponieważ...

– Ponieważ wspólnie z wieloma innymi ludźmi jestem jednym z podejrzanych o zabójstwo mojego syna.

Teller przytaknął.

- Rozumiem to, Mr. Teller.
- A co w przypadku pani Sutherland? Czy ona też to rozumie?
- W takim stopniu, w jakim potrzebuje. Ja nie zabiłem swojego syna.
- Nie wątpię. Z kogo jeszcze składa się rodzina?
- Jest jeszcze córka. Robi doktorat z literatury angielskiej na kalifornijskiej uczelni.

Teller zapytał: – Czy przyjedzie na pogrzeb?

– Przynajmniej w tym istnieje jakaś logika zdarzeń, Mr. Teller. – Sutherland wstał i jego wzrost zdumiał gości. Pozycja na kanapie wskazywała na znacznie niższego mężczyznę, ale kiedy się wyprostował, okazało się, że ma około dwóch metrów. Wyciągnął rękę i powiedział: – Proszę wybaczyć.

Podczas uścisku dłoni Teller zapytał: – Doktorze, a co z Mrs. Sutherland? Kiedy będziemy mogli się z nią zobaczyć?

- Oczywiście nieprędko. Jest na środkach uspokajających. Może pod koniec tygodnia.
- Rozumiem – powiedział Teller. – Bardzo dziękujemy za poświęcenie nam czasu.

Będziemy w kontakcie.

– Spodziewam się. – Wyszedł przez drzwi z tyłu gabinetu.

Teller i Susanna podeszli do biurka, za którym sztywno siedziała Vera Jones z dłońmi skrzyżowanymi na notatniku.

– Dziękujemy za pani czas – powiedziała Susanna kierując się w stronę zasuwanych drzwi.

Teller nie poszedł za nią. Podszedł do rzędów wbudowanych w ścianę półek i oglądał książki. – Czy on to wszystko przeczytał? – spytał.

– Sądzę, że tak – odpowiedziała Vera.

– Zawsze miałem wiele szacunku dla lekarzy, szczególnie takich o sławie doktora Sutherlanda. – Otwarcie podziwiał teraz duży krajobraz wiszący na ścianie za nią. – To też Sutherland, nieprawdaż? – zapytał.

– Tak.

– Graham Sutherland. Zawsze przedkładałem jego krajobrazy nad akwaforty. To krewny rodziny?

– Daleki. – Odprowadziła ich do drzwi na zewnątrz, przeznaczonych dla pacjentów.

– Dziękuję za poświęcenie nam czasu, Miss Jones – powiedział Teller. – A tak przy okazji, gdzie pani była w nocy, kiedy zamordowano Clarence'a?

– Tutaj, z doktorem Sutherlandem. Pracowaliśmy nad artykułem, który napisał do miesięcznika psychiatrycznego... on często publikuje.

– Jestem o tym przekonany. Do widzenia pani.

Teller odprowadził Susannę do samochodu. Zanim wsiadła, spojrzała raz jeszcze na dom, zagryzła wargę i powiedziała: – Dziwne.

– A znała pani jakiegoś psycha, który by taki nie był.

– Nie o niego idzie, a o nią. Niepokoi mnie. Żal mi jej.

– Dlaczego?

– Sama nie wiem, taki dziwny z niej typ, ten smutek w oczach.

– Wiem, o co pani chodzi. I jeszcze coś, ma pani jakieś plany na dzisiejszą kolację?

Nie umiałby powiedzieć, czy naprawdę nie była pewna planów, czy też tylko szukała wymówki. Wreszcie powiedziała: – Jestem zajęta.

– Cóż, może innym razem. Będziemy w kontakcie.

Patrzył, jak odjeżdżała, a potem sam wrócił samochodem do komendy Stołecznej Policji. O szóstej przyjechał do domu w Georgetown, nakarmił swoje dwa koty, samca o imieniu Pięknota i samicę wabiącą się Bestia, wstawił do piecyka gotowy obiad do podgrzania i zasiadł w swym ulubionym, kabłąkowato wygiętym fotelu. Na stoliku przy nim leżały dwie książki: powieść historyczna Stephanie Blake i wybór dzieł Camusa. Sięgnął po

Camusa, prawie natychmiast zasnął i obudził się dopiero wtedy, kiedy swąd przypalonego obiadu stał się już naprawdę nie do zniesienia.

Po drugiej stronie miasta, w obszernym i ze smakiem urządzonej mieszkanie, Susanna Pinscher powiedziała do telefonu w sypialni: – Ja też bardzo cię kocham. Zobaczymy się w najbliższy weekend. Okay. Kolorowych snów. Pozwól mi porozmawiać z tatusiem.

Jej były mąż podszedł do telefonu. Trójka ich dzieci mieszkała z nim z woli obojga rodziców, ale Susanna często je odwiedzała i spędziła z nimi całe poprzednie wakacje. Decyzja, by ojciec sprawował opiekę nad dziećmi, była bardzo trudna, ale – jak sobie ciągle wmawiała – jedynie słuszna.

– Wszystko w porządku?

– Okay. A u ciebie?

– Jestem wykończona. Dano mi sprawę Sutherlanda.

– To kawał roboty. Wszyscy o tym dzisiaj gadają.

– Nic dziwnego. Morderstwo w Sądzie Najwyższym. Po raz pierwszy.

– Trzymaj się, Susanna. Przyjedziesz na ten weekend?

– Tak. Dobranoc.

Pokręciła się trochę po mieszkaniu i w końcu znalazła się w kuchni, gdzie przyrządziła sobie zapiekankę i kawę. Nie jadła obiadu, wróciła do domu wprost z biura, z teczką wypełnioną papierzyskami. Potem przebrała się w podomkę i czytała aż do telefonu dzieci.

Kiedy znalazła się już w sypialni, zdjęła z półki książkę o sztuce, wskoczyła do łóżka i poszukała hasła Sutherland Graham, artysta brytyjski. Przeczytała, zamknęła książkę i zgasła światło, zastanawiając się, skąd niby detektyw Wydziału Stołecznego Policji wiedział cokolwiek na temat stosunkowo mało znanego brytyjskiego malarza.

Jak się do tego miały prawo i ład?...

ROZDZIAŁ 4

Sędzia Sądu Najwyższego Temple Conover siedział w słonecznym pokoju śniadaniowym swego domu w Bethesda. Na sobie miał bladoniebieski szlafrok, pantofle z niebieskiego aksamitu oraz czerwony wełniany szalik owinięty wokół szyi. Obok stała aluminiowa kanadyjska kula, której używał po ostatnim przebytym wylewie. Ostateczna wersja artykułu dla magazynu „Harper” o znacznym nasileniu się cenzury leżała przed nim na makatce.

Staroświecki zegar w jadalni wybił siódmą rano. Conover wlał do filiżanki resztki kawy przygotowanej przez gospodynię i wyrzwał przez okno na ogród w stylu japońskim, podarunek dla swojej drugiej żony, która była Japonką.

– Dzień dobry, Temp – zawołała od drzwi jego obecna żona. Długie blond włosy spadały jej na ramiona przykryte podomką w delikatnym odcieniu różu, spiętą dwoma guzikami na wysokości talii. Miała owalną, dziecięcą twarz opuchniętą od snu. Oparła się o framugę drzwi, wspierając palce nogi na drugiej stopie, a dół podomki rozchylił się ukazując białe, gładkie uda.

– Hello, Cecily – powiedział Conover. – Chcesz kawy?

Podeszła do stołu i zobaczyła, że dzbanek jest pusty. – przyniosę świeżą.

– Wezwij Carłę.

– Wolę to zrobić sama.

Dziesięć minut później wróciła z dzbankiem świeżo naparzonej kawy, nalała jej sobie do filiżanki i usiadła naprzeciw niego, zakładając kształtną nogę na równie zgrabnej drugiej. Temple zakaszłał. – Jak się dziś czujesz?

– No, skończyłem artykuł. – Popchnął go po stole w jej stronę. Rzuciła nań okiem, a potem upiła kawy z filiżanki.

– Jak się udał koncert? – zapytał.

– Jedna nuda.

– Gdzie poszłaś potem?

– Do domu Peggy na strzemiennego.

– To chyba nie jednego. Wróciłaś do domu dopiero koło drugiej.

– Rozmawialiśmy trochę. Okay?

– Mogłaś przynajmniej zadzwonić. – Znow zaczął kaszleć. Oczy zaszyły mu łzami i szybko napił się wody. Ruszyła w jego kierunku, ale machnął ręką, że nie potrzebuje pomocy.

Kiedy przestał już kaszleć, zapytał: – Dlaczego nie zadzwoniłaś? Wiesz przecież, że się niepokoję.

– Nie chciałam cię budzić.

– Kto tam był?

– Zwykła paczka, Temp. Mężczą mnie te pytania i podejrzenia za każdym razem, kiedy gdzieś wychodzę.

– Czyżby były bezzasadne, Cecily?

Gwałtownie wyrzuciła z siebie powietrze i odkładając filiżankę walnęła nią o stół z taką siłą, że zawartość się wylała. – Błagam, nie zaczynaj od początku. Jeden przypadek wcale jeszcze o niczym...

Przerwało jej nieprzypadkowe chrząknięcie, którym mężczyzna stojący w drzwiach pragnął zwrócić uwagę na swoją obecność. Był to Karl, wysoki, śniady mężczyzna w wieku mniej więcej trzydziestu lat. Miał na sobie ciasne dżinsy i szary podkoszulek, który podkreślał muskulaturę jego ramion i barków. Grzywa kręconych czarnych włosów okalała grubo ciosaną twarz, ciężkie powieki, pełne, zmysłowe usta i nos, którego nie powstydziliby się zawodowy bokser. Zatrudniono go sześć miesięcy temu jako człowieka do wszystkich robót, ogrodnika i okazjonalnego szofera sędziego Conovera. Mieszkał w jednym z trzech mieszkań przy garażach, na tyłach posiadłości.

– Przepraszam za wejście bez uprzedzenia – powiedział z lekkim niemieckim akcentem – ale chciałbym się dowiedzieć, czy będzie pan sobie życzył, by go gdzieś dzisiaj zawieźć. Powiedział pan wczoraj, że limuzyna sądowa chyba nie przyjedzie.

Temple spojrzał na młodego człowieka, który wpatrywał się w Cecily. – Za godzinę – powiedział. – Będę gotów za godzinę.

– Yes, sir. – Karl zniknął za drzwiami.

– Co się stało z sądowym samochodem, Temp?

– Jakaś drobna naprawa, albo jest potrzebny na pogrzeb.

– A ty się nie wybierasz? – zapytała.

– Oczywiście, że nie.

– Ale powinienes. Był przecież szefem biura.

Usiłował opanować drżenie prawej ręki, ale bezskutecznie, i natychmiast przeniosło się ono na całe ciało. Kula upadła na podłogę, a jego ręka opadła bezwładnie na dzbanek z kawą.

– Dobrze się czujesz, Temp?

– Popatrz tylko na siebie.

– O co ci chodzi?

– Mogłabyś mieć w sobie przynajmniej tyle przyzwoitości, żeby się okryć, kiedy obcy mężczyzna wchodzi do pokoju.

Spojrzała po sobie, a potem na niego. – Przecież, na Boga, mam na sobie szlafrok.

– Ale on ma zapięcia, czemu ich nie używasz?

– To śmieszne – powiedziała i przykryła połamami podomki gołe nogi, zakrywając jednocześnie piersi. – Przepraszam, ale muszę się ubrać na pogrzeb.

Temple oparł dłonie na stole i wolniutko dźwignął się na równe nogi. Ona podeszła, podniosła kulę i podała mu ją.

– Dlaczego idziesz na pogrzeb tego skurwiela, Cecily?

– Bo uważam, że wypada...

– Sutherland był podłym...

– Nie chcę o tym dyskutować, Temp. – Wyszła z pokoju. Poszedł za nią ciężkim, mozolnym krokiem, a zakończona gumą kula wyprzedzała każde stąpienie prawej nogi, którą włókł po podłodze. Doszedł w końcu do jej sypialni, otworzył drzwi i powiedział: – Obrażasz mnie, idąc na pogrzeb Sutherlanda.

Rzuciła szlafrok na łóżko i weszła do swojej łazienki.

– Ty dziwko – powiedział na tyle głośno, by usłyszała.

Oparta o umywalkę, przyglądała się swojemu odbiciu w lustrze. Wyprostowała się i powiedziała: – I pan, panie sędzio, ma czelność mówić o obrażaniu kogokolwiek?

Zachwiał się i złapał za drzwi, aby utrzymać równowagę. Drżenie całego ciała jeszcze się wzmogło. Zdawało się, że za moment się przewróci. Podbiegła do niego i pochwyciła go za ramię.

– Nie dotykaj mnie – powiedział stanowczo. Odstąpiła od niego. Podniósł kulę, jakby chciał nią uderzyć, po czym ją opuścił. – W porządku, jedź na ten przekłety pogrzeb i świętuj jego śmierć na moją cześć.

ROZDZIAŁ 5

Anglikański duchowny prowadzący pochówek Clarence'a Sutherlanda przyglądał się grupce trzydziestu ludzi, którzy przyszedli pożegnać zmarłego. Bliska omdlenia matka Clarence'a wspierała się na ramieniu męża. Ich córka, Jill, która w nocy przyleciała z Kalifornii, obejmowała matkę ramieniem.

Delegacja Sądu Najwyższego pod przewodnictwem sędziego pomocniczego Morgana Childsa trzymała się razem. Childs spojrział w górę na zagniewane niebo i zmrużył oczy, kiedy spadły pierwsze krople deszczu. Obok stała płacząca koleżanka Clarence'a, Laurie Rawls.

Martin Teller postawił kołnierz trencza. Już rano obudził się z bólem głowy wskazującym na początki grypy. Rzucił okiem na sekretarkę doktora Sutherlanda, Verę Jones, stojącą za rodziną. Była jedyną osobą w tym towarzystwie, która ubrała się odpowiednio na tę pogodę, łącznie z krótkimi botkami do kostki.

Korpulentny duchowny o nalanej twarzy nadal zdawał się łapać oddech po krótkim acz szybkim spacerze. Spojrział na modlitewnik, który trzymał w grubych palcach. *Wszchemogącemu Bogu powierzamy duszę naszego zmarłego brata, a jego ciało tej ziemi...*

Doktor Sutherland postąpił naprzód, wziął garstkę ziemi i rzucił na trumnę, kiedy grabarze zaczęli opuszczać ją w głąb dołu. Deszcz gęstniał i duchowny osłonił dłonią głowę. Mówił coraz szybciej.

Teller głośno kichnął, na moment odwracając uwagę trzech mężczyzn z ochrony sędziego Childsa.

- *Pan z wami* – powiedział ksiądz.
- *I z duchem twoim* – odpowiedziało kilka głosów.
- *Módlmy się. Panie, zmiłuj się nad nami.*
- *Chryste, zmiłuj się nad nami* – padła odpowiedź.
- *Panie, zmiłuj się nad nami.*

Teller patrzył, jak uczestnicy pogrzebu rozchodzą się do samochodów. Kiedy został sam, podszedł do grobu i spojrział w dół na trumnę. Kto cię załatwił, dzieciaku?

- Proszę stąd odejść – rzucił jeden z grabarzy.
- Ach, tak. Przepraszam.

Po powrocie do komendy czekało na niego kilka wiadomości telefonicznych, między innymi od Susanny Pinscher. Zadzwoił do niej.

– Był pan na pogrzebie? – spytała.

– Tak. Bardzo wzruszający. I mokry. Przeziębilem się.

– Tak od razu?

– Jak mi się pogorszy, zwrócę się o odszkodowanie za utratę zdrowia w trakcie wykonywania obowiązków służbowych. Wie pani co, Susanno? Myślałem o pani zeszłej nocy.

– Naprawdę? – W jej głosie słychać było cień uśmiechu.

– Tak jest. I w końcu wymyśliłem, do kogo jest pani podobna.

– Tak?

– Do Candice Bergen.

– To zaszczyt usłyszeć coś takiego od Paula Newmana.

– Zdecydowanie Candice Bergen.

– Zawsze się pan zastanawia, kogo ludzie przypominają?

– To takie hobby. Zjemy kolację w tym tygodniu?

– Może być ciężko. Ja...

– Żeby przedyskutować sprawę. Chciałbym się podzielić przemyśleniami.

– Chciałabym je poznać. Wie pan co, detektywie Teller? Niech więc to będzie sobota wieczorem. Na sobotę rano jestem umówiona z sędzią Childsem. Być może uda mi się też porozmawiać z innymi sędziami w ciągu tego tygodnia. Powiem panu, czego się dowiedziałam z tych rozmów.

– Załatwione. Podjadę po panią o siódmej. Gdzie pani mieszka?

W słuchawce zapanowała cisza. – Lubi pan hinduskie jedzenie? – zapytała w końcu.

– Nie.

– A kuchnię węgierską?

– Jasne, że lubię węgierskie potrawy, pod warunkiem, że nie każą mi wcześniej ukraść kurczaka. Jestem Węgrem, przynajmniej w połowie. Matka była stoicką Szwedką.

– No to znam sympatyczną restaurację węgierską, „Csiko’s”, na Connecticut Avenue w Northwest. W budynku Broadmoor Apartment. Może się tam spotkamy o siódmej? Zrobię rezerwację.

– Zgoda, do zobaczenia w restauracji, ale proszę zadzwonić, gdyby się pani dowiedziała czegoś ważnego.

– Dobrze. Będę w kontakcie.

Prawdą było, że Martin Teller był po części Węgrem. Natomiast kłamstwem było, że lubił węgierską kuchnię, a już osobliwie gulasz, czy cokolwiek z papryką. Jego zdaniem,

gotowanie dla ojca węgierskich potraw i konieczność ich spożywania były tym, co przedwcześnie posłało do grobu jego nordycką matkę.

ROZDZIAŁ 6

– Co ze znajomymi Sutherlanda? Przesłuchaliście ich? – zapytał Dorian Mars Teller.

– Właśnie to robimy.

– Za wolno. Dzwonił nadinspektor. Chce winy i kary.

– Co za oryginalność, Dorian. Dobrze, nie zawiodę go... A czego oczekuje, cudów? –

Teller zapalił korzennego.

– Życzyłbym sobie, żebyś tutaj nie palił tych papierosów. Są nie do zniesienia.

– Nie dla mnie.

– Proszę.

– Okay. – Zgasił papierosa ostrożnie, zostawiając sobie kosztowne resztki na potem.

– Przejrzyjmy, co mamy – powiedział Mars. – Wszyscy w sądzie zostali już przesłuchani?

Teller potrząsnął głową i popatrzył na niedopałek. – Oczywiście, że nie, Dorian. Umawianie się na rozmowę z ludźmi z Sądu Najwyższego zajmuje trochę czasu.

– Rozumiem. A co z rodziną?

– Nadal nad tym pracujemy. Ojciec, psychiatra, jest dość imponującym typem, dziwnym, ale bardzo pewnym siebie; arogancki jak sto diabłów, dobrze się ubiera. Siostrzyczka pracuje nad kalifornijskim doktoratem.

– Kalifornijskim czym? Kalifornijską polityką, kalifornijską geografią?

– W Kalifornii, Dorian. Tam go robi. Studiuje literaturę.

– Klasyczną? Angielską?

– Coś w tym rodzaju. Jak dotąd, nie miałem jeszcze przyjemności spotkać się z matką zmarłego.

– Dlaczego? Odkładanie spraw na później zajmuje bardzo dużo czasu.

– Bo jej jedyny synek został zastrzelony w Sądzie Najwyższym, co sprawia, że mama cierpi na migrenę.

– Porozmawiaj z nią. Porozmawiaj z kim sobie chcesz, ale miej w końcu coś konkretnego. Strasznie mnie przyciskają z góry.

– Rozumiem – powiedział Teller.

– Współpracujesz z Ministerstwem Sprawiedliwości?

– Jasne. Kontaktujemy się codziennie.

– To dobrze, Marty, powiedz mi, co czujesz przez skórę. Jak sądzisz, kto to zrobił?

Teller wzruszył ramionami. – Sprawa jest jak najbardziej otwarta. Przykro mi, ale nie jestem w stanie powiedzieć ci nic nawet na nosa. Przypuszczam tylko, że mogła to być kobieta.

– Dlaczego?

– Ze względu na jego styl życia. Chłopak był przystojny, świetnie ubrany, zaprzysiężony podrywacz, panienki na każdym kroku, więc pewnie wiele z nich wściekało się na niego, po tym spotkaniu jadę rzucić okiem na jego kawalerkę w Georgetown. Kazałem ją opieczętować w momencie, kiedy dowiedzieliśmy się o jego śmierci.

– Kobieta, mówisz?

– Może tak, może nie. Czasami myślę sobie, że tak mogło być, ale potem wydaje mi się, że to trochę jak z taniego powieścidla: kobieta wchodzi w środku nocy do Sądu Najwyższego i pakuje mu kulę w łeb, kiedy on sobie siedzi na fotelu przewodniczącego. Wtedy sobie myślę, że to może ktoś pracujący w Sądzie. Jego współpracownicy nie bardzo go kochali, wiesz?

– Dlaczego?

– Miał zbyt dużo do powiedzenia. Z tego, co słyszałem, interesowała go przede wszystkim władza. Może przyłapał któregoś z sędziów w kiblu na czymś, czego nie powinien był tam robić i potem bawił się z nim w policjantów i złodziei. Wybacz skojarzenie.

– Nie wygłupiaj się.

– Wcale się nie wygłupiam. Sędziowie Sądu Najwyższego to też ludzie, tacy sami jak ty i ja. Chodzą przecież do łazienek i...

– Wiem, wiem. Wróćmy do rodziny i znajomych. Ojciec, wspomniałeś, jest jakiś dziwny. Czy jest na tyle dziwny, by zabić własnego syna? A skoro tak, to dlaczego?

Teller podniósł z popielniczki zgaszonego papierosa i włożył go między wargi.

– Nie rób tego, Marty.

– Przecież nie podpalam. Ojciec, mówiłeś? Jaki ojciec zabija własnego syna?

– To się zdarza. Życie to teatr, a my wszyscy jesteśmy w nim aktorami.

– Jakże to słuszne i celne, szefie... Słuchaj, Dorian, zbyt wielu ludzi mogło zabić Clarence'a Sutherlanda. Zdaje się, że jest tyle samo motywów, co alibi. Będę szperał. Aha, zamówiłem do biura ścienną tablicę.

– Tablicę?

– Tak, nazywa się to tablica orientacyjna. Sprawa Sutherlanda może mieć tyle wątków, że zaczynam się w niej gubić. Więc pomyślałem sobie, że wrzucę to wszystko na tę tablicę. Jest wyposażona w strzałki i gwiazdki, a nawet błyszczące literki, kiedy chcesz zapisać na

niej coś superważnego. Może to dla ciebie niezbyt istotne, ale ja czegoś takiego potrzebowałem. Poza tym była tania.

– Jak tania?

– Stówa. Zapisałem rachunek na konto sprawy Sutherlanda.

– Sto dolarów? – Mars westchnął. – Szkoda, że wcześniej nie porozumiałeś się ze mną.

– Przepraszam.

– No dobrze, zaakceptuję to. Przyjmę wszystko, byle tylko sprawa posuwała się do przodu.

– Tak będzie, wierz mi, Dorian.

– Chcę, żebyśmy spotykali się tutaj co rano o dziewiątej, aż do czasu zakończenia sprawy Sutherlanda.

– Oczywiście, wedle rozkazu, Dorian. O dziewiątej, co rano, tutaj.

Teller pojechał do mieszkania Clarence'a Sutherlanda w Georgetown. Przed domkiem stał umundurowany policjant. Wejście było zalepione na krzyż żółtą taśmą, a napis na drzwiach głosił: ZAKAZ WEJŚCIA.

– Jak leci? – spytał Teller policjanta.

– Nieźle, poruczniku. A u pana?

– Też nie najgorzej. Ktoś tu zaglądał?

– Ludzie z naszego wydziału, i to chyba wszystko. Panie poruczniku, jeśli można, gdyby pan miał zamiar tu przez chwilę zostać, może mógłbym skoczyć na kawę?

– Jasne. Umówmy się za jakieś pół godziny. Tyle mam tylko czasu.

Wszedł do niewielkiego przedsionka. Drzwi na lewo prowadziły do mieszkania Sutherlanda. Schody na prawo wiodły do innego mieszkania na górze. Teller wyciągnął z kieszeni klucz, otworzył drzwi Clarence'a i wszedł do środka.

Living room był duży i bogato urządzony. Z całości wyodrębnił się zamknięty krąg kanap w kolorze daktylowym. Nad nim wisiał duży ekran. Teller podszedł do niego i zobaczył, że jest podłączony do wymyślnego systemu telewizyjnego, na który składała się między innymi kamera do rejestracji obrazu techniką video. Obok widniała długa półka ze starannie poukładanymi dziesiątkami kaset video.

Wszedł do sypialni. Była tej samej wielkości co *living room*. Lustro zajmujące całą tylną ścianę sprawiało, że wielkie owalne łóżce wydawało się olbrzymie. I w tym pomieszczeniu widniał duży monitor telewizyjny, a obok łóżka, w zasięgu ręki, także

kosztowny zestaw stereofoniczny.

– Cóż to, u diabła, ma być? – zapytał sam siebie, podchodząc do konsoletki z guziczkami i przełącznikami, stojącej obok łóża. Nacisnął jeden z guzików i mały żyrandol wykonany z kawałeczków lustra zaczął wirować pod sufitem. Przesunął jakiś przełącznik. Zabłyśnął reflektor dający karmazynowe światło, które padało na żyrandol nad łóżkiem. Promień światła odbijał się od kawałeczków lustra dając mozaikę refleksów w każdym zakątku pokoju.

– Wielkie nieba – mruknął Teller, bawiąc się innymi guzikami i włącznikami. Wkrótce cały pokój wirował różnokolorowymi światełkami, czerwienią i błękitem, łącznie z efektem stroboskopowym, który łapał wszystko, nawet jego rękę wsuniętą w pole jego oddziaływania, w klatkowe zdjęcie.

Wyłączył światła, po czym wysunął szufladę w stoliku obok łóżka. Nie spodziewał się, że natrafi na coś bardzo ciekawego. Wstępna rewizja mieszkania odkryła cały zestaw tak zwanych rekreacyjnych środków stymulujących, nic z prawdziwie groźnych narkotyków, ale wystarczająco dużo, by posłać kogoś do więzienia, gdyby tak potoczyły się sprawy. Z mieszkania zabrano notes telefoniczny, który dostarczono Tellerowi do komendy. Przekazał go jednemu z detektywów wraz z poleceniem, by skontaktował się z każdą osobą w nim wymienioną.

Wyjął z szuflady jedyny znajdujący się w niej przedmiot, swego rodzaju pamiętnik. Zapiski składały się z dat i nazwisk, a właściwie jedynie z imion, po których następował inicjał nazwiska. Zaintrygowały go symbole, które towarzyszyły każdemu imieniu. Znaki te wyrysowano starannie różnymi kolorami, a składały się na nie gwiazdy i kółeczka, wykrzykniki i znaki zapytania, oraz okazjonalne przymiotniki typu: „bombowa... nudna... obiecująca...”

– Pracowity chłopak – mruknął do siebie Teller, wkładając książkę do kieszeni płaszcza. W starych, dobrych czasach takich typów określano mianem zbereźników.

Obejrzał pozostałą część mieszkania, po czym wrócił do *living roomu*, gdzie przyjrzał się dokładniej videokasetom na półce. Kilka zawierało stare filmy, a większość była pornosami najpodlejszego autoramentu. Nalepka na jednym z domowych wytworów głosiła CINDY I JA, KWIECIEŃ. Zaiste chwytające za serce.

– Przepraszam pana – odezwał się jakiś głos od drzwi wejściowych, które Teller zapomniał zamknąć za sobą.

– Tak?

– Czy pan jest detektywem?

– A kim pan jest?

– Nazywam się Wally Plum. Mieszkam na górze.

– Czym mogę panu służyć?

– Mógłby pan odwołać tych cerberów sprzed wejścia? W końcu mieszkam tutaj i nie podoba mi się, jak mnie zatrzymują za każdym razem, kiedy wchodzę do swojego mieszkania.

– Bardzo mi przykro, ale przecież wpuszczają pana, czyż nie?

– Nie o to chodzi.

Teller przyjrzał się uważniej Wally'emu Plumowi. Był szczupłym i tak zwanym przystojnym mężczyzną, jak wielu innych młodych panów w Waszyngtonie. Miał twarz o regularnych rysach i zdumiewająco śniadą cerę przy jasnych włosach i brwiach. Zaczynał trochę łysieć, ale troskliwe ułożenie fryzury pozwalało na maksymalne wykorzystanie tego, co mu pozostało. Na sobie miał jakby trochę przyciasny, dwurzędowy ciemnoszary garnitur i niebieską koszulę z białym kołnierzykiem spiętym cienką złotą zapinką pod gładkim krawatem koloru kasztanowego.

– Mr. Plum – powiedział Teller – przykro mi, że musi pan to znosić, ale zostało popełnione morderstwo...

– Wiem, Clarence był moim przyjacielem.

– Tak? Jak dobrze się znaliście?

Plum roześmiał się. – Jeśli panu powiem, czy wejdę do grona podejrzanych?

– Niewykluczone.

– Byliśmy dobrymi przyjaciółmi. Wynajmowałem od niego mieszkanie.

– To znaczy, że był właścicielem tego domku?

– Tak.

– Nieźle, jak na pensję urzędnika w sądzie.

– Miał wsparcie.

– Rodzina?

– Tak.

– Nieźle mieszkanko. Przeglądałem właśnie jego kolekcję kaset.

Znowu wybuch śmiechu. – Miał parę dobrych kawałków.

– A co pan może powiedzieć o tej? – Wyciągnął z półki CINDY I JA, KWIECIEŃ i podał kasetę Plumowi.

– Ach, o tej. Czasami robiliśmy sobie różne żarty.

– Znaczy jakie? Filmowaliście siebie wzajemnie?

– Jasne.

Teller odebrał kasetę Plumowi i odłożył ją na półkę. – Ta sypialnia – powiedział – wygląda na typową pułapkę.

– Nieźle służyła Clarence’owi.

Teller potrząsnął głową i przez *living room* podszedł do jednej z kanap. Najpierw wypróbował dotykiem jedną z poduszek, a następnie usiadł na niej. – Wie pan, panie Plum, czasem mi się wydaje, że świat mi uciekł.

– Jak to?

– No, całe to wyposażenie. Nic z tego nie rozumiem.

– Pokoleniowa przepaść. Rzeczy się zmieniają.

– Tak, wiem. – Zapalił papierosa. – Mam dwie córki i kiedy ich słucham, najczęściej czuję się tak, jakbym siedział na tureckim kazaniu. No cóż, skoro już pan tu jest, proszę mi opowiedzieć o Clarensie Sutherlandzie.

Plum usiadł na krześle przy drzwiach i założył nogę na nogę. – A co by pan chciał wiedzieć?

– Cokolwiek mi pan może powiedzieć. Niech pan zacznie od tego, co lubił najbardziej.

– Przecież widział pan to mieszkanie.

– To znaczy, oprócz tego.

– Prócz tego nic się nie liczyło.

– Niechże pan da spokój, przecież musiał mieć jakieś hobby, jakieś pasje inne niż dziewczyny. Gdzie się obracał?

– W różnych miejscach.

– Czy pan z nim tam bywał? Pijaliście razem?

– Clarence nie pił, no, może czasem kieliszek wina.

– Narkotyki?

– Nie.

– Znaleziono ich mnóstwo w tym mieszkaniu.

– Nic mi na ten temat nie wiadomo.

– W takim razie szkoda. Byłbym może wówczas bardziej skłonny, żeby pana skreślić z listy podejrzanych. – A jeśli jeszcze ten chłopak by w to uwierzył, to tak jakby wierzył w dobre wróżki. Do diabła, a może pan, Plum, sam był jedną z...

Plum uniósł brwi. – Aha, więc to tak. Czy Clarence brał narkotyki? Nie, no może czasem coś dzieciennego, czego używa prawie każdy...

– Na przykład co? Marihuanę?

- Tak.
- Kokainkę?
- Od czasu do czasu. Pan na przykład pije. To znowu różnica pokoleń.
- Nie jestem w nastroju, żeby się z panem spierać – powiedział Teller.
- To dobrze. Czy chciałby pan wiedzieć coś jeszcze na temat Clarence’a?
- A inni znajomi. Z kim bywał oprócz pana?
- My nie bywaliśmy, panie poruczniku.
- No to jakkolwiek się to teraz nazywa.
- Clarence miał wielu znajomych. Mimo jego wysoko postawionej rodziny, miał znajomych z bardzo różnych środowisk. Często cieszyły go same doły społeczne. Clarence uwielbiał zadawać się z bardzo dziwnymi typami.
- Niech mi pan poda jakieś przykłady.
- Chodzi panu o nazwiska?
- Jeśli je pan zna.
- Nie pamiętam nazwisk. Wie pan, bywały tu przyjęcia. Albo ich zapraszał, albo po prostu spotykał gdzieś w knajpie i...
- Mężczyźni czy kobiety?
- Przeważnie kobiety.
- Przeważnie? Czy on był...
- Gajem? Nie. Biseksualistą? Nie. Clarence, mówiąc pańskim językiem, był absolutnie normalny.
- Ale chyba trochę myślał genitaliami.
- To zależy od punktu widzenia. Panie poruczniku, Clarence, z mojego punktu widzenia, był normalnym, zdrowym, amerykańskim mężczyzną, który chciał się zabawić, zanim przyjdzie czas na małą stabilizację.
- Czy miał jakąś stałą dziewczynę? Kogoś, z kim się regularnie spotykał? Może był – proszę wybaczyć niemodne określenie – w kimś zakochany?
- Nic mi o tym nie wiadomo.
- Czy zna pan kobietę, która mogłaby chcieć go zabić?
- Nie.
- Czy zna pan jakieś kobiety, które były w nim zakochane?
- Jasne, kilka. Clarence lubił ten dodatkowy smaczek.
- Proszę wymienić choć jedno nazwisko.
- Laurie Rawls.

– Z Sądu?

– Zgadza się. Strasznie go wpieprzała, bo dzwoniła o różnych wściekłych porach, wpadała tutaj w czasie, kiedy były u niego inne i robiła awantury. Ta panienka to chodzący kłopot. Niby rozumiała wolną miłość, ale tak naprawdę interesowało ją tylko hodowanie dzieciaków i gotowanie obiadków dla mężusia.

– To brzmi, jakby dziewczyna była całkiem w porządku.

– Sprawa gustu.

– Rozumiem, że nie trafiła w gust Clarence’a.

– Rozumuje pan prawidłowo. Już panu mówiłem...

– A co jeszcze mógłby mi pan powiedzieć?

– Chyba nic specjalnego. Czasem widywał się ze starszymi paniami. Taki teraz szpan. Starsze panienki szaleją dziś za młodziami. Chyba czują się wtedy młodsze.

– Gdyby nie pan, pomyślałbym, że czują się wtedy starsze.

– No... zresztą nieważne. W każdym razie widywał się z paroma od czasu do czasu.

– Nazwiska?

– Nie znam ich. Niestety.

Teller podniósł się i raz jeszcze rzucił okiem na pokój. – No cóż, panie Plum, dziękuję za pański czas i za rozmowę. Bardzo pouczającą.

– Cała przyjemność po mojej stronie. Porozmawia pan z tymi facetami na zewnątrz?

– Oczywiście. A skoro o nich mowa, to nie żadne cerbery, tylko policjanci wykonujący swoje obowiązki. Koniec kazania.

– Nie ma się o co obrażać. Tak mi się powiedziało.

– Tak, wiem. I jeszcze jedno, co pan robił w noc, kiedy zamordowano Clarence’a?

– Byłem w łóżku.

– Sam?

– Jasne, że nie.

– Ze starszą, przepraszam, panienką?

– Nie bardzo wiem, ile miała lat.

– A pamięta pan jej imię?

– Tak naprawdę... chyba nie bardzo... a musi pan wiedzieć?

– Jeśli pan nie, to ja też nie. Jeszcze raz dziękuję.

Teller siedział w biurze aż do siódmej, potem pojechał do domu, gdzie znów wrzucił

gotowy zamrożony obiad do kuchenki i nastawił płytę *Der Rosenkavalier*. Kiedy z głośników popłynął walc, zaczął tańczyć z partnerką obecną tylko w jego wyobraźni, którą, oczywiście, była Susanna Pinscher. – Ślicznie wyglądasz, kochanie. – Ona spogląda mu w oczy i mówi: – A ty jesteś najatrakcyjniejszym mężczyzną, jakiego w życiu spotkałam...

Bestia, jego kotka, wystraszona jakimś dźwiękiem z zewnątrz, skoczyła z kanapy wprost na obracający się krążek. Igła wbiła się w płytę i przy gwałtownym przesuwie wydała kakofonię zgrzytów i syków, które wypełniły cały pokój.

– A niech cię – wrzasnął na nią Teller. Umknęła przed klapssem i skuliła się pod krzesłem. Wziął butelkę dzinu z kuchni, nalał sobie drinka, usiadł w fotelu i wygłosił toast do pustego pokoju. – Pani zdrowie, Susanno Pinscher, gdziekolwiek pani jest, i za ciebie, Clarensie Sutherlandzie, gdziekolwiek teraz przebywasz. – Wypił połowę ze szklaneczki i dodał: – Dupa jaś, a nie przepaść pokoleniowa.

ROZDZIAŁ 7

Sobotni ranek był chłodny i czysty. Susanna wcześniej wstała z łóżka. Gimnastykowała się przez dwadzieścia minut, nastawiła mechanizm na maksymalne ciśnienie pulsacyjne i wzięła gorący prysznic, potem włożyła na siebie bordowy golf, a na to ciemnoszary żakiet z wełnianej gabardyny, wskoczyła w parę botków i poszła do garażu po samochód. Miała dość dużo czasu do umówionego spotkania z sędzią Childsem, więc zatrzymała się po drodze w pobliskiej restauracyjce, kupiła „Washington Post” i przeczytała ją przy kawie i porcji melona.

Pół godziny później zjechała z autostrady George’a Washingtona na wysokości znaku, który kierował do KRAJOWEGO PORTU LOTNICZEGO, a następnie odszukała drogę prowadzącą do części awiacji ogólnej lotniska.

Lotnicza przeszłość Morgana Childsa była świetnie znana milionom Amerykanów, a Susanna jeszcze raz dokładnie przejrzała przed przyjazdem artykuły prasowe, które rozpropagowały tę jego pasję. Childs był najbardziej znanym człowiekiem spośród dziewięciorga sędziów Sądu Najwyższego. As lotnictwa myśliwskiego w Korei, zestrzelony w czasie jednego z lotów, dostał się do niewoli, z której uciekł po sześciu miesiącach. Dramatyczne szczegóły jego ucieczki i heroizm kolejnych wyczynów przyciągnęły uwagę mediów, które następnie szeroko je rozpropagowały. Jego zdjęcie ukazało się na okładce magazynu „Time”. Ekipy telewizyjne nagrywały jego dokonania w Korei i przesyłały do kraju żywe reportaże o bohaterze wojennym. Powrócił do Stanów Zjednoczonych z wieloma odznaczeniami, niezwykle podziwiany i pożądany jako mówca i bohater programów telewizyjnych. W końcu publiczne zainteresowanie jego osobą zmalowało na tyle, że mógł powrócić do wykonywania zawodu prawnika, później został sędzią okręgowym, a następnie uzyskał nominację do Sądu Najwyższego, będąc najmłodszą osobą w historii tak uhonorowaną.

Susanna zaparkowała samochód na parkingu dla zwiedzających i udała się w kierunku rzędka niewielkich samolotów. Na jego końcu stał hangar. Wrota były otwarte, więc weszła do środka. Jakiś młody człowiek w trzyczęściowym garniturze zastąpił jej drogę i zapytał grzecznie: – Czy mogę pani w czymś pomóc, ma’am?

Z początku chciała go zapytać, jakim prawem zastępuje jej drogę, ale domyśliła się, że sędzia Childs z pewnością ma ochronę osobistą i że ten młody człowiek właśnie do niej należy. – Nazywam się Susanna Pinscher. Jestem umówiona z sędzią Childsem.

– A tak, Miss Pinscher, sędzia wspominał mi, że pani się zjawi.

Spojrzała w kierunku wskazanym jego palcem. W rogu hangaru dostrzegła Morgana Childsa w oliwkowym roboczym kombinezonie. Jego głowa i ramiona niknęły we wnętrzu osłony silnika przykrytego plandeką jednomotorowego piper colta z roku 1964. Usłyszał, że nadchodzi, wyprostował się i uśmiech rozjaśnił mu opaloną, zniszczoną twarz o mocno zarysowanej szczęce. – Hm – powiedział – chętnie uściskałbym pani dłoń, ale nie ma żadnego sensu, byśmy oboje mieli ręce ubrudzone smarem. – Miał całkiem czarne ręce i poplamiony jeden policzek.

Susanna uśmiechnęła się. – Sam pan dokonuje napraw?

– Tak jest. Do tego zawsze składam sobie spadochron. Poza tym, lubię dłużyć w trzewiach tego zwierzaka.

Dotknęła plandeki przykrywającej skrzydło. – Czy to pana własność?

– Tak. Mam go od lat. Mam nadzieję, że nie ma mi pani za złe propozycji spotkania tutaj. Sądziłem, że tutaj będzie spokojniej i bardziej kameralnie niż w Sądzie. Przepraszam. Nie chciałbym zapomnieć o jednym drobiazgu. – Nachylił się znowu nad silnikiem i dokręcił coś kluczem dynamometrycznym.

Susanna przysunęła się bliżej i obserwowała jego ruchy. Miał palce robotnika, grube i sprawne. Jak mój ojciec, pomyślała. Nagle uświadomiła sobie, jak wiele wspólnego miał Childs z jej ojcem. Obydwaj nosili fryzurę na jeża, co było w tych czasach anachronizmem. Jej ojciec, który na emeryturze przeniósł się do St. Heleny w Kalifornii, ciepłego okręgu na północ od San Francisco, gdzie uprawiało się winorośle, całe lata pracował jako pilot w Pan Amie. On też lubił bawić się różnymi mechanizmami; nie istniała rzecz, której nie potrafiłby naprawić.

Childs wyprostował się, oparł o samolot i wytarł dłonie w brudną od smaru szmatę. – Porozmawiajmy więc, Miss Pinscher. Co mi wiadomo o morderstwie popełnionym na Clarensie Sutherlandzie? Jestem pewien, że dużo mniej niż pani. Kiedy znaleziono ciało, byłem w towarzystwie innych sędziów, również doznałem szoku i nie mogło mi się pomieścić w głowie, że nie dość, iż zamordowano urzędnika Sądu Najwyższego, to jeszcze siedział on na miejscu przewodniczącego, w sali sądowej, gdzie popełniono zabójstwo.

– Domyślam się, że stwierdzenie na temat szoku jest wręcz eufemizmem.

– Tak, chyba ma pani rację. Reprezentowałem skład sędziów na pogrzebie.

– Czytałam o tym w prasie i zastanawiałam się, dlaczego nie przyszli wszyscy.

– Zbyt dużo pilnych spraw zawodowych w Sądzie.

Przez moment się zawahała, po czym spytała: – Czy któryś z sędziów... to znaczy... nie

bardzo wiem, jak to ująć... Czy któryś z waszego grona mógł mieć powody...

– By nie uczestniczyć w pogrzebie ze względu na niechęć do Sutherlanda? Wątpię w to.

– Dlaczego właśnie pana wybrano, panie sędzio? Czy pan był bliższy Sutherlandowi niż pozostali? Wiem, że pracował przede wszystkim dla sędziego głównego, Poulsona.

Childs wzruszył ramionami i cisnął szmatę na zarzucony narzędziami stolik obok. – Po prostu S.M.S.P., Miss Pinscher.

– S.M.S.P.?

– Stanowisko Ma Swoje Przywileje. Jestem najmłodszym sędzią. Prosili o ochotnika i wybrali mnie.

– Jak w wojsku.

– Dokładnie.

– Proszę mi powiedzieć coś na temat Clarence'a – powiedziała. – Próbuję sobie przedstawić jakiś jego obraz.

– Clarence'a Sutherlanda? No cóż, dokładny opis tej postaci nie jest wcale rzeczą prostą. Był dość enigmatycznym młodym człowiekiem. – Silny podmuch chłodnego październikowego wiatru wleciał przez otwarte wrota hangaru i zdmuchnął ze stolika na ziemię parę okularów lotniczych. Childs podniósł je, starannie złożył i wsunął do kieszeni roboczego kombinezonu. Spojrzał w kierunku otwartych wrót hangaru i powiedział: – Miałem nadzieję na spędzenie godziny w powietrzu, Miss Pinscher. Boję się, że dzisiaj rano mam tylko tyle czasu. Może byśmy kontynuowali tę rozmowę w powietrzu?

– W tym? – spytała wskazując na colta.

– Tak. To dobry samolot, solidny, świetny w powietrzu. Decyzja należy do pani.

– Bardzo chętnie... tak mi się przynajmniej zdaje...

Polecieli na północ, na wysokości dwóch tysięcy trzystu metrów. Childs mówił dość dużo na temat samolotu – miał silnik Lycoming, zakres 325 mil, maksymalną prędkość 120 mil na godzinę i osiągał pułap czterech tysięcy metrów.

Susanna chodziła kiedyś na kurs pilotażu, z którego zrezygnowała tuż przed uzyskaniem licencji. Lot z Childsem przywrócił wspomnienia tamtych dni: głębokie odczucie wyzwolenia z okowów ziemi, radość... Patrzyła w dół na domki, które zdawały się plastikowymi symbolami na planszy do gry w „Monopol”, maleńkie samochody ciągnące się sznurkiem po autostradach, tory wyścigowe, które mogłaby pomieścić na dłoni.

– Sprawia to pani przyjemność? – spytał Childs.

– Wielką – odpowiedziała przekrzykując ryk silnika.

– Ja jestem tu, w górze, najszcześniejszy. Rzeczy oglądane z tej perspektywy zdają się mieć więcej sensu.

– Rozumiem, ale muszę znaleźć jakiś sensowny powód śmierci Sutherlanda.

– Oczywiście. Niech pani strzela.

– Kto go nie lubił?

Childs zaśmiał się i rzucił samolot w ostry skręt w prawo. – Czas wracać – stwierdził.

– Ze względu na pytanie?

– Nie, ze względu na czas. Jestem umówiony. – Spojrzał na wskaźniki i trochę się skrzywił. – Kto go nie lubił? Powiedziałbym, że wielu.

– Łącznie z panem?

– Tak, niestety też. Clarence to był... powiedzmy... kawał... rozpuszczonego dzieciaka. Zakładał z góry, że należy mu się dobre życie, i pewnie się nie mylił. Mnóstwo pieniędzy, poparcie rodziny, bystry umysł i przystojna twarz. Kobiety zakochiwały się w jego chłopięcym wyglądzie, w bezbronny chłopaczku w ciele mężczyzny. Z pewnością był typem podrywacza.

– Czy dlatego go pan nienawidził? – zapytała Susanna.

Childs spojrział na nią zdziwiony. – Nienawidził? Dlaczego miałbym go nienawidzić? Nie lubiłem go, ale nie nienawidziłem. Chyba w sumie było mi go żal.

– Dlaczego, sir?

– Bo był taki podobny do wielu młodych mężczyzn w dzisiejszych czasach, Miss Pinscher. Postawić ich w trudnej sytuacji i nie wiedzą nawet, jak zabrać się do wysikania nosa. Cały czas są pod parasolem ochronnym, prowadzeni za rączkę. Nigdy nie stają się naprawdę mężczyznami, chociaż za takich się uważają, bo noszą garnitury i mają kobiet na pęczki. – Wskazał ręką na okienko samolotu. – Jesteśmy już nad lotniskiem... Więc takie jest moje odczucie, Miss Pinscher, to dzieciaki, a nie mężczyźni. Cholernie mięczakowaci jak na mój gust, i to bez względu na to, jak niesprawiedliwie może to zabrzmieć.

Susanna obserwowała, jak Childs przygotowuje się do lądowania, koordynuje podchodzenie z kontrolą naziemną, leci równolegle do pasa, zawraca półkątem, po czym ostrym skrętem w lewo wchodzi na linię szerokiego pasa betonu.

– Dziękuję bardzo za przejażdżkę – powiedziała, kiedy zatrzymali się w miejscu wyznaczonym dla jego samolotu.

– Cieszę się, że sprawiła pani przyjemność. – Odprowadził ją do samochodu. – Czy mogę pani powiedzieć, co o tym sędzię? My, sędziowie, uwielbiamy wygłaszać sądy.

– Z chęcią pana wysłucham.

– Clarence’a zabiła najprawdopodobniej kobieta. Wiem, że media przyjęłyby to z radością, ale boję się, że traci pani czas przesłuchując mężczyzn, nie wyłączając tych z Sądu. Bóg świadkiem, że nikt z nas nie jest doskonały, mówiąc oględnie, ale Clarence bardzo podle traktował kobiety. I wszyscy o tym wiedzą. Nie mam dla pani żadnych dowodów, ani nawet ewentualnych podejrzanych, ale jest rzeczą wielce prawdopodobną, że jedna z jego kobiet wściekła się na tyle, by szukać zemsty.

– Ale nie ma pan na myśli nikogo konkretnego?

– Nie. Z tego, co wiem, lista jego ofiar zajęłaby dość gruby zeszyt.

Susanna uściśnęła mu rękę i jeszcze raz podziękowała za lot.

– Proszę się tu jeszcze kiedyś pokazać, Miss Pinscher. Dobrze się z panią lata.

ROZDZIAŁ 8

– Dość wytwornie jak na węgierską knajpkę – powiedział Martin Teller siadając z Susanną do stołu w „Csiko’s”. – Czuję się jak udzielny książę.

Zaśmiała się. – Trochę przesadzają, ale mnie się podoba. Niech pan tylko poczeka na cygańskich skrzypków.

Zamówili drinki, Bloody Mary dla niej, dzin – nie wódka – z lodem dla niego. Martin rozsiadł się wygodnie w fotelu i rozejrzał wokół: firany i draperie w stylu austriackim, wypolerowany mosiądz i naturalne drewno, wysokie łuki sufitu z rokokową sztukaterią i pojedynczy czerwony goździk na każdym stoliku. – Bardzo pięknie – stwierdził sącąc drinka. – Czy ma pani w sobie coś węgierskiego?

– Jestem mieszańcem, trochę tego, odrobinę owego, w tym kapka krwi węgierskiej.

Kelner przyniósł karty. – Jak poszła rozmowa z Childsem dziś rano? – zapytał.

Odłożyła menu i spojrzała na niego znad szklanki. – Chyba dziwacznie, ale ostatnio w ogóle ludzie wydają mi się dziwni.

– Pod jakim względem Childs jest dziwaczny?

– Trudno powiedzieć. Jest miły, przyjazny, otwarty. Wziął mnie z sobą na przejażdżkę samolotem.

Teller zrobił cwaniacką minę i poruszył palcami, jakby obracał w nich cygaro. – Swoim samolotem, co? Myślałem, że jest żonaty, ma czworo dzieci i prowadzi spokojny żywot na przedmieściu Waszyngtonu.

Susanna zdjęła okulary. – Niechże pan nie będzie śmieszny. Miał niewiele czasu, więc w powietrzu miałam okazję zadania mu kilku pytań.

Teller machnął ręką. – Proszę na mnie nie zwracać uwagi. Jestem trochę zdenerwowany. Musiałem pojechać do weterynarza z Pięknotą.

– To pies?

– Kot, jeden z dwóch. Okropnie linieje.

– Hm. – Włożyła powtórnie okulary i zajęła się menu.

Martin wybrał pieczoną kaczkę wymienioną jako specjalność restauracji. – Niech pan uważa na czerwoną kapustę – ostrzegła go – smakuje tak, jakby była sfermentowana. – Sama zamówiła *szekely gulyas*, bigos z wieprzowiny duszonej w kapuście z papryką i śmietaną.

– Miss Pinscher, proszę mi opowiedzieć o pozostałej części tygodnia. Czy rozmawiała pani z innymi sędziami?

– Nie, tylko z Childsem. On uważa, że Sutherlanda zamordowała kobieta, że Clarence był kobieciarzem i doprowadził jedną z nich do takiego szału, że popełniła zabójstwo.

– Rozmawiałem z kilkoma pracownikami Sądu i ich opinie są podobne.

Susanna oparła się o tył krzesła. – Znaczący, kobieta sobie wchodzi do głównej sali Sądu Najwyższego Stanów Zjednoczonych i zabija szefa biura, tak?

– Z kobietami nigdy nie wiadomo, Miss Pinscher. Bez urazy, oczywiście. Czy mogę pani mówić po imieniu?

– Oczywiście. Chyba, że woli pan nadal dodawać przed nazwiskiem słowo „panna”.

– Jak mawiał poeta: „Panna przy nazwisku najlepsza z odzysku”.

– To naprawdę urocze stwierdzenie... Poruczniku, nie chcę psuć przyjęcia, ale facet padł trupem nie z własnej ręki. Może byśmy więc powrócili do meritum.

Przytaknęła poważnie głową, ale ubłagała odroczenie do czasu zakończenia jabłkowego strudla i kawy serwowanej w szklankach z misternej roboty srebrnymi trzymadełkami.

– Teraz lepiej – powiedział klepiąc się po brzuchu. – A jakie jest twoje zdanie? Czy Childs ma rację w temacie sprawczyń, jak by to ujął mój szef? Czy Sutherlanda załatwiła kobieta?

– To chyba logiczne.

– Jaka jest prywatna opinia Childsa o Sutherlandzie?

– Nie lubił go, twierdził, że był z pokolenia mięczaków.

– Tak, to pasuje do Childsa. Trochę o nim przeczytałem w tym tygodniu. Twardziel w każdym calu, typowy wojak. Nie zdawałem sobie przedtem sprawy, że wywodzi się z biednego środowiska. Zawsze mi się zdawało, że ludzie o jego pozycji muszą się dobrze urodzić.

– Trzeba mu oddać sprawiedliwość. To bohater typowo amerykańskiej historii sukcesu.

– No tak. Dotarłem do tego cyklu publikowanego przez „Life”, napisanego przez Dana Braziera. Dobrze się czyta.

Przytaknęła. – Też to czytałam. Interesujący jest także wątek przyjaźni między Childsem a Brazierem – dorzuciła, mówiąc o serdecznej zażyłości, która się zawiązała między nimi w tamtych latach.

Brazier był korespondentem wojennym UPI w Korei. Podobnie jak Childs dostał się do północnokoreańskiej niewoli w czasie walk na pierwszej linii frontu, i wylądowali w tym samym obozie jenieckim. W ucieczce kierowanej przez Childsa uczestniczyło jeszcze pięciu innych jeńców, wśród nich Brazier. Od tego czasu stali się nierozłączni, a Brazier zyskał

niemal wyłącznie na pisanie o bohaterze wojennym, co zaowocowało między innymi cyklem reportaży w „Life”, odzwierciedlających ich bliskie stosunki.

Po wojnie Brazier miał kłopoty zdrowotne ściśle związane z okresem spędzonym w niewoli. Musiał się poddać amputacji nogi. Rok później rzucił dziennikarstwo. Wedle informacji Susanny, żył w zapomnieniu gdzieś w okolicach San Francisco.

– Czy Childs wspiera go w jakiś sposób? – spytał Teller.

– Nie wiem. Z tego, co słyszałam, do niedawna jeszcze to robił. – Morgan Childs od lat posyłał każdego miesiąca czek Danowi Brazierowi. Usiłował nie nadawać temu rozgłosu, ale rzecz dotarła do prasy, która doniosła o jego szczodroblewości, co jeszcze bardziej wzmocniło jego publiczny obraz bohaterskiego, lojalnego i oddanego człowieka.

– Napijemy się jeszcze czegoś? – zapytał Teller.

– Nie, dziękuję. Powinnam pojechać do domu. Miałam spędzić ten weekend z dziećmi, ale moje plany przewracało spotkanie z sędzią Childsem. Chcę się z nimi zobaczyć jak najwcześniej, czyli jutro rano.

– Ja rzadko widuję się z moimi dziećmi. Mam dwie córki, obie w college’u. Pojawiają się od przypadku do przypadku, ale większość czasu spędzają ze swoją matką w Paryżu.

Zrobiła wielkie oczy. – W Paryżu, we Francji?

– Nie, w Paryżu w stanie Kentucky. Ona wyszła tam za jakiegoś faceta. Chyba dobry chłop, opiekuje się nią troskliwie, co zdjęło ze mnie obowiązki alimentacyjne... Aha, nie wiem, co lubisz robić poza pracą, ale mam dwa bilety na Cav-Pag w Kennedy Center na przyszły weekend.

– Cav-Pag?

– Dwie jednoaktowe opery, *Cavalleria Rusticana* i *Pagliacci*. Zazwyczaj wystawiają je razem i wtedy nazywa się je Cav-Pag. Lubisz operę?

– Rozumiem, że ty ją lubisz?

– Uwielbiam. Całkiem ze mnie niezły tenor pod prysznicem.

– Mogę ci dać odpowiedź w środku tygodnia?

– Jasne.

Zaparkowała samochód niedaleko od restauracji. Odprowadził ją do wozu.

– Dziękuję za pyszną kolację – powiedziała. – Wcale nie zakładałam, że zapłacisz rachunek, zwłaszcza że to ja wybrałam restaurację.

– Wspaniały wybór. Poza tym każdy cent został wydany na właściwy cel. Lubię z tobą rozmawiać.

– Dziękuję. Nie znam się zbyt na operze, ale chciałabym z tobą pójść na tę... jak się to nazywa?

– Cav-Pag. Wspaniale. Skontaktuję się z tobą w środku tygodnia.

Popatrzył, jak odjeżdża, potem wsiadł do swojego samochodu i pojechał do Georgetown na ulicę M Northwest. Zaparkował w niedozwolonym miejscu, chociaż nowy nadinspektor nawoływał, by wziąć się za policjantów, którzy wykorzystywali swoją pozycję do takich celów. Następnie przeszedł kilkadziesiąt metrów i otworzył drzwi do klubu Juliego.

Ciemne, zakopcone dymem z papierosów i zatłoczone pomieszczenie było długie i wąskie, a bar biegł po jego prawej stronie niemal przez pół długości. W środku, po lewej, widniał zestaw instrumentów klawiszowych, organów, akustycznych pianin i elektronicznej maszyny rytmicznej, która imitowała dźwięki perkusji.

– Hello, Marty – powiedział Julie, kiedy ten zasiadł na jedynym wolnym stołku przy barze. Stało tam dziesięć stołków, siedem zajętych przez panie w średnim wieku, z których każda go znała. Kelnerka podała mu bez zamówienia dżin z tonikiem, a Julie zagrał wiązanke starych melodii do wspólnego śpiewania: *If You Were a Tulip, Down by the Riverside, Ain't She Sweet...* Teller nucił razem z innymi. W godzinę i cztery dziny później, z mikrofonem w ręce, wykonywał swoją popisową parodię Franka Sinatry, ciągnąc dźwięki z głębi duszy, przymykając oczy i cierpiąc ku uciesze bywalców.

– Dobranoc, Marty – powiedział Julie, kiedy Teller na niepewnych nogach kierował się do wyjścia, pozdrawiając gości.

– Zaśpiewaj *My Way* – wymamrotał pijany przy barze.

– Następnym razem – powiedział Teller. Wciągnął głęboko w płuca zimne powietrze nocy, odszukał swój samochód i pojechał do domu, śpiewając *My Way* przez całą drogę aż po wejściowe drzwi do domu.

– Dupa jaś, a nie przepaść pokoleniowa.

ROZDZIAŁ 9

– Przelećmy to wszystko – powiedział Teller do detektywów zebranych w jego gabinecie. Dość znaczna ich grupka została skierowana do Sądu Najwyższego, by wstępnie przesłuchać prawie wszystkich pracowników, nie wyłączając dziewięciorga sędziów.

– Czuję się jak kompletny idiota, wpytując sędziego Sądu Najwyższego o miejsce pobytu w noc, kiedy popełniono morderstwo – stwierdził jeden z nich.

– I co ci odpowiedział? – spytał Teller.

– Nie odpowiedział, a odpowiedziała. Rozmawiałem z sędzią Tilling-Masters.

– No i co odpowiedziała?

– Że była z rodziną na przyjęciu.

– Sprawdziłeś?

– Tak.

– Kto następny? – spytał Teller.

Sprawdzili listę. Z dziewięciorga sędziów sześcioro miało alibi, które dało się potwierdzić.

– Czyje alibi ma dziury? – zapytał Teller.

– Conovera, Poulsona i Childsa.

– Kłamali?

– Nie, ale są niepewne – powiedział tego detektywa o nazwisku Vasilone. – Na przykład, Marty, Poulson miał być też na przyjęciu, ale rozmawiałem z kimś, kto tam był, i ten ktoś twierdzi, że Poulson wyszedł o godzinie innej niż ta, którą mi podał. Nadal próbuję się skontaktować z innymi ludźmi, którzy uczestniczyli w tym przyjęciu.

– Co z Conoverem?

– Twierdzi, że był w domu sam i pracował nad artykułem.

– A żona?

– Wyszła na przyjęcie, tak przynajmniej utrzymuje mąż. Pytałem go o służbę, ale powiedział, że dał im wszystkim wolny wieczór.

Teller otarł czoło. – Teraz Childs.

Kolejny detektyw składał raport na temat Childsa: – Twierdzi, że tej nocy dłużył w samolocie na lotnisku.

– O tej porze?

– O to samo zapytałem, Marty, ale on stwierdził, że dopiero w takich godzinach ma

czas, żeby się pobawić.

– Ktoś to potwierdził?

– Strażnik na lotnisku mówi, że widział go, jak wjeżdżał, ale nie wie, kiedy odjechał.

– Dobrze” to załatwia górę. A co z innymi pracownikami? – Otrzymał listę ludzi, których zajęć tamtej nocy nie dało się definitywnie potwierdzić.

– Jest jeszcze wielu do przesłuchania – powiedział Vasilone. – Ale na to trzeba czasu.

– Wiem – stwierdził Teller. – Walczcie dalej. Raporty mają być składane codziennie.

Kiedy wyszli z jego gabinetu, rozparł się na krześle, położył nogi na biurko i zamknął na chwilę oczy. Kiedy je otworzył, jego wzrok padł na fotografię córek. – Gdybyście tylko wiedziały, co muszę robić, żeby zarabiać pieniądze, może byście nie były tak skore do proszenia o nie. – Co przypomniało mu, że już czas na wysłanie im comiesięcznych czeków. Wypisał je każdej z osobna i włożył do kopert karteczki podpisane: „Serdeczności – Tato”, po czym wrzucił je do skrzynki przed komendą. Miał nadzieję, że docenią ten gest.

ROZDZIAŁ 10

Sędzia przewodniczący Poulson przeszedł szybkim krokiem przez swoje biuro, odpowiadając po drodze na pozdrowienia sekretarek i urzędników. Wszedł do swojego gabinetu, rzucił pakiet akt na biurko i spojrzął na zegar-barometr stojący na półce za krzesłem. Konferencja prawników przeciągnęła się o pół godziny, tak więc wszystkie pozostałe zajęcia dnia dzisiejszego będą skracane, w pośpiechu.

Poulson nienawidził strony administracyjnej swej pracy w Sądzie Najwyższym. Rozwagał ten aspekt sprawy, kiedy prezydent Jorgens zaproponował mu stanowisko. Funkcja sędziego pomocniczego miała wiele zalet w porównaniu z urzędem sędziego głównego. Pozostałych ośmiu sędziów zajmowało się jedynie prawem w czystej postaci, natomiast szczegóły administracyjne spadały na niego, cała ta biurokratyczna nuda. Poza tym do jego obowiązków należało przewodniczenie takim spotkaniom jak konferencja prawników, która nie była niczym innym jak prawniczym lobby.

Z drugiej zaś strony, pomyślał sobie wyjmując z małej lodówki w kolorze orzecha butelkę Bailey's Irish Cream, istniały jednak i kompensacje. Ponieważ był szefem, Sąd nazywano „Sądem Poulsona”. W oficjalnym protokole federalnym zajmował trzecią pozycję, jakkolwiek w opinii niektórych ludzi, z racji politycznej impotencji wiceprezydenta, w rzeczywistości sędzia przewodniczący był osobistością numer dwa w państwie.

Z kolei znowu, myślał nalewając sobie trochę likieru do szklanki i odkładając butelkę z powrotem do lodówki, za tę pozycję trzeba było płacić stosowną cenę. Pozostali sędziowie byli względnie anonimowi, mogli prowadzić w miarę prywatne życie bez poszukiwaczy sensacji i kolekcjonerów autografów, wszyscy, oczywiście z wyjątkiem Marjorie Tilling-Masters, której powołanie do składu Sądu Najwyższego wywołało sensację.

Rozległo się pukanie do drzwi. – Proszę – powiedział.

Weszła sekretarka z notatnikiem w ręce. Przeszła obok niego i położyła zapiski na biurku. – Panie sędzio, oto nazwiska ludzi, którzy dzwonili w czasie pana nieobecności.

– Dziękuję – powiedział. Spojrzął na listę. – Pinscher? Znowu dzwoniła?

– Yes, sir.

– W porządku.

– Czeka Mr. Smithers.

– A o co chodzi?

– O film, sir.

– Ach, tak. Przyjmę go za chwilę.

– Yes, sir.

Począł, aż wyszła i dopiero wtedy opróżnił szklanę. Wyjął z biurka chusteczkę higieniczną i wytarł szklanę, po czym postawił ją na zwykłym miejscu na półce, gdzie, jak wiedział, znajdują ją sprzątający. Nerwowo potarł prawy kciuk innymi palcami. Jego żona, Clara, twierdziła, że jego prawy kciuk to remedium na wszelkie nerwowe sytuacje. Pomasażował wierzchołek nosa, gdzie odcisnęły mu się okulary i zadzwonił do sekretarki: – Niech wejdzie.

Walther Smithers pojawił się w drzwiach. W ręku miał skórzaną dyplomatę. Reprezentował Stowarzyszenie Prawników Amerykańskich.

– Dzień dobry, Mr. Smithers – powiedział Poulson wyciągając do niego rękę.

– Dzień dobry, panie sędzio przewodniczący. Dziękuję, że zechciał pan znaleźć dla mnie czas.

– Obawiam się, że dzisiejszego popołudnia mam go, niestety, bardzo niewiele. Próbuję dokładnie przestrzegać bardzo wypełnionego planu dnia, ale i tak sprawy wymykają się spod kontroli.

Smithers usiadł i otworzył walizeczkę. Podał Poulsonowi zestaw dokumentów i powiedział: – Sądzę, że to całkowicie wyjaśnia naszą propozycję, panie przewodniczący. Kiedy dowiedziałem się, że wykazał pan zainteresowanie nagraniem nowego filmu dla turystów odwiedzających Sąd Najwyższy, rozpocząłem natychmiast rozmowy z naszymi ludźmi od *public information*. Panuje powszechna opinia, że nowy film powinien ukazywać Sąd w dzisiejszej postaci. W końcu, nie jest to już Sąd Burgera, ale Sąd Poulsona.

Poulson zerknął na pisemną propozycję. – Mr. Smithers – powiedział – jestem bardzo wdzięczny za współpracę i poparcie Stowarzyszenia Prawników Amerykańskich. Od dłuższego czasu koledzy dobrodusznie żartują sobie na temat nowego filmu. Kilku z nich, szczególnie krotochwilnych, oskarża mnie nawet, że pragnę tylko zaspokoić własną egoistyczną zachciankę. Jednak moją prawdziwą intencją jest jak najdokładniejsze pokazanie narodowi amerykańskiemu współczesnego obrazu najwyższego sądu w kraju. Sąd Najwyższy zmienił się w sposób zasadniczy, nie tylko ze względu na nowe twarze, ale przede wszystkim w filozofii działania, filozofii, niech mi będzie wolno dodać, która odzwierciedla istotę narodu amerykańskiego w sposób, który uważam za właściwy i konieczny. Od czasu objęcia stanowiska wprowadziłem w Sądzie zmiany, które są odbiciem tej właśnie filozofii, więc uważam, iż ten nowy film powinien je przedstawić. Mam jednak niejaki zastrzeżenia.

– Jakiego rodzaju, sir?

– Finansowanie filmu przez Stowarzyszenie Prawników Amerykańskich uważam za rzecz nieodpowiednią. Jakkolwiek nie zachodzi tu żaden konflikt interesów, to jednak sądzę, że niektóre siły mogą mieć względem tego obiekcje. Dlatego w rozmowie telefonicznej wyraziłem życzenie, by SPA wyprodukowało ten nowy, uwspółcześniony film we współpracy z Towarzystwem Historycznym Sądu Najwyższego. I wolałbym, by w czołówce wymieniono nazwę Towarzystwa Historycznego.

– Nie będzie z tym żadnego problemu, panie sędzio przewodniczący.

– Dobrze. Z niecierpliwością oczekuję więc realizacji i zapewniam o całkowitej współpracy Sądu.

Smithers zdał sobie sprawę, że w ten oto sposób Poulson zgrabnie zakończył rozmowę. Wstał więc, uściskał mu dłoń i obiecał, że wkrótce zgłosi się z dokładnym scenariuszem. Po jego wyjściu Poulson wziął z szafki szczoteczkę do zębów i pastę, i skierował się do swej prywatnej łazienki, gdzie dokładnie wyczyścił zęby. Powrócił do gabinetu, sprawdził swój wygląd w lustrze i zadzwonił do sekretariatu: – Proszę, by sądowy samochód czekał na mnie za chwilę przed wejściem – powiedział.

– Yes, sir.

W chwilę później wsiadał już do samochodu. – Do Ministerstwa Skarbu – rzucił szoferowi w uniformie.

Oczekiwał ich młody człowiek i poprowadził Poulsona do windy, która zawiozła ich do podziemi Ministerstwa Skarbu. Młody człowiek prowadził go słabo oświetlonym, długim korytarzem aż do Białego Domu. Tam wsiedli do windy, wyszli na wyższym poziomie i stanęli przed Oval Office.

– Proszę tu zaczekać, sir – powiedział młody człowiek, przeszedł przez duży dywan i odbył ściszym głosem rozmowę z kobietą, siedzącą za biurkiem. Następnie powrócił do przewodniczącego i powiedział: – Za chwilę pana przyjmie, sir.

W chwilę później kobieta powiedziała: – Proszę za mną, sir. – Otworzyła drzwi i stanął w Oval Office.

Prezydent Jorgens siedział za biurkiem. Uśmiechnął się i wyszedł zza biurka, by uściskać Poulsonowi dłoń. – Miło pana znów widzieć, panie sędzio przewodniczący. Cieszę się, że w nawale obowiązków znalazł pan chwilę czasu.

– Jestem do usług, panie prezydencie. Jak się pan miewa?

– Doskonale. Rekiny mogą sobie szaleć do woli, ale jeszcze nie zapomniałem, jak się pływa. Proszę spocząć.

– Dziękuję.

Jorgens dotknął amerykańskiej flagi wracając na swoje miejsce, usiadł i położył nogi na biurko. – Jonathan, jak wygląda ta sprawa aborcji?

Bezpośredniość tego pytania zaskoczyła Poulsona. Niepewnie poruszył stopami i mimowolnie dotknął koniuszka nosa ręką. Po chwili powiedział: – Jest już bliska rozstrzygnięcia, panie prezydencie. Nikt, ani w Sądzie, ani w życiu publicznym nie jest za aborcją. Ale zachodzi pewna kwestia prawna występująca tu pod mianem *Nidel kontra Illinois*. Tak więc osobiste nastawienia nie bardzo wchodzą tu w rachubę...

– To tylko prawnicze gadanie. Sądowy żargon, Jonathanie. Prowadziłem kampanię pod hasłem wyrugowania ze społeczeństwa zła oraz powrotu do fundamentalnych wartości. Mieliśmy już prezydenta, który to obiecywał i nie dotrzymał słowa. Sądziłem, że rozumiesz to wszystko.

– Oczywiście, panie prezydencie, ale poszczególni członkowie Sądu Najwyższego mają różne poglądy na prawo. Rozmawiałem dziś rano z sędzią Childsem. Zorientowałem się, że najprawdopodobniej opowie się za Illinois, ale jednocześnie odniosłem wrażenie, że samo zagadnienie prawne nie daje mu spokoju. W przeciwieństwie do Kongresu, w Sądzie osobiste przekonania nie muszą być zgodne ze sposobem głosowania sędziego.

– Lub sędziny?

– To prawda, niemniej sędzę, że sędzia Tilling-Masters poprze stanowisko stanu Illinois. Takie przynajmniej mam odczucie.

– I ja mam taką nadzieję.

Prezydent założył ręce na kark i przeciągnął się. Poulson zauważył, że jeden z obcasów jego butów był nieco znoszony. Przez moment chciał zwrócić na to prezydentowi uwagę, ale po namyśle postanowił, że może lepiej nie. W końcu obcas może się kojarzyć z obcesowością, co chyba niespecjalnie ubawi prezydenta. Zamiast tego powiedział więc: – Zamówiłem nowy film dla zwiedzających.

– Film?

– Taki, który zwiedzający oglądają w małej sali kinowej w Sądzie. Chcę, by go uwspółcześniono.

– To bardzo dobrze, Jonathanie. A powróćmy do tej sprawy z aborcją. Czy istnieje cokolwiek, co mogę zrobić ja lub moi ludzie, by pomóc w racjonalnym rozwiązaniu tej kwestii?

Poulson, zastanawiając się nad odpowiedzią, uważnie obserwował twarz prezydenta. Randolph Jorgens był człowiekiem pewnym siebie. Mierzył dobrze ponad sześć stóp i dbał o dobrą kondycję fizyczną w salce gimnastycznej Białego Domu. Pobrużdżona opalona skóra

twarzą świadczyła o pochodzeniu ze stanu Arizona. Uśmiech miał szeroki i sympatyczny, i pojawiający się zawsze we właściwym momencie. Jego niebieskie, zimne oczy nie przegapiły praktycznie niczego, zarówno kiedy budował swe olbrzymie imperium przemysłowe, jak i wtedy, gdy wkroczył na arenę polityczną. Hardy, to słowo, które krążyło po Waszyngtonie – hardy, twardy i ogromnie sprytny.

– Trudno mi rozważyć możliwość wniesienia czegoś do sprawy ze strony rządu, panie prezydencie. – Poulson tak naprawdę chciał powiedzieć, że cała ta rozmowa była zupełnie nie na miejscu. Sąd wszak miał być miejscem świętym, stanowić bastion niezależnych myśli i opinii bez względu na próby wywierania nań wpływu przez sfery rządowe, nie wyłączając prezydenta Stanów Zjednoczonych.

Mianowanie Poulsona na przewodniczącego Sądu Najwyższego przez Jorgensa było przed zatwierdzeniem obszernie dyskutowane. Wyczerpujące dochodzenie prowadzone przez FBI oraz badania podjęte przez Senat na własną rękę były niesłychanie denerwującym przeżyciem dla całej rodziny. Poulson prócz tego zdawał sobie sprawę, że prezydent zarządził jeszcze swoje prywatne dochodzenie przy pomocy Izby Skarbowej i, wedle plotek, niektórych specjalistów z CIA. Ogłoszenie przez Jorgensa wyboru poprzedziły długotrwałe, wyczerpujące rozmowy między obu panami. Rozmowy skupiały się na ocenach i stanowisku w kwestiach politycznych i społecznych. Poulson z pewnością pasował do zapatrywań Jorgensa na sposób pełnienia funkcji przewodniczącego Sądu Najwyższego oraz promowanych przez niego wartości.

Przesłuchanie w Komisji Prawnej Senatu przed zatwierdzeniem na to stanowisko składało się z pytań bardzo zapalczywych, a momentami wręcz wrogich, zależnie od pytającego. Jeden z liberalnych senatorów wyraził niepokój, w jakim stopniu Poulson zachowa niezależność od nowej administracji. Poulson odpowiedział w sposób następujący: – Panie senatorze, jestem tylko istotą ludzką. Mam swoje słabostki, podobnie jak inni ludzie, nie wyłączając szanownych członków Senatu Stanów Zjednoczonych. Jednocześnie jednak jestem człowiekiem, który prawu poświęcił całe życie. Wierzę w prawo ponad wszystko. Bez prawa przestaniemy być społeczeństwem cywilizowanym. Istniało wiele przypadków w mojej karierze, kiedy osobiste odczucia stawały w bezpośrednim konflikcie z prawoznawstwem. W każdym z tych przypadków zwyciężyło prawo, i tak samo będzie, jeśli zostanę zatwierdzony na stanowisko przewodniczącego Sądu Najwyższego Stanów Zjednoczonych.

I rzeczywiście wierzył w to, co mówił.

– Życzę sobie codziennych raportów na temat tej kwestii – powiedział Jorgens.

– Oczywiście, panie prezydencie.

– A jak tam Conover, Jonathanie? Domyślam się, że będzie głosował za powódką.

– To jest wielce prawdopodobne, panie prezydencie.

– Cholerny stary dureń.

Poulson nic nie odpowiedział. Mimo że nie podobał mu się styl życia i zaprzysięgły, jego zdaniem zdecydowanie błędny, liberalizm Temple'a Conovera, to jednak szanował seniora za nieugiętość jego zasad.

– Czy mogę w czymś jeszcze pomóc, panie prezydencie?

– Co się dzieje z tą sprawą Sutherlanda, Jonathanie? Gdzie jesteście?

– Po prostu nie wiem. Z naszej strony staramy się ściśle współpracować z organami powołanymi do prowadzenia tej sprawy...

– Nie podoba mi się to wszystko.

– To znaczy, panie prezydencie?

– Nie podobają mi się wszystkie układy tego skurwiela.

– Tak, jak wszyscy wiemy, nie było to najszcześniejsze. Ja sam, na przykład, nigdy nie miałem nawet ochoty zatrudnić go w swoim biurze.

– To dlaczegoś to zrobił?

To pytanie zatrzęsło Poulsonem. Prezydent wiedział przecież, dlaczego musiał to zrobić, więc pytanie było prowokacyjne. Mimo wszystko Poulson czuł się zmuszony do odpowiedzi. – Jak pan wie, jego ojciec odegrał tu rolę służebną. Poza tym, bez względu na osobiste wady Clarence'a Sutherlanda, był to bardzo zdolny, młody człowiek. Nie pamiętam aplikanta z czasów mojej kadencji, który by tak świetnie pisał sprawozdania sądowe. Oczywiście, gdybym tylko znał w odpowiednim czasie jego drugą stronę...

– Gdybanie to strata czasu, Jonathanie. Szkoda, że nie zorientowałeś się nieco wcześniej, co się wyprawia na twoich oczach, w twoich włościach. Kiedy w końcu na to wpadłeś i przesłałeś stosowny raport, drzwi zostały już dawno wyważone i stały otworem od dłuższego czasu.

– Wydaje mi się, sir, iż...

– Do diabła, w tym całym bałaganie zostały zagrożone żywotne interesy rządowe, a nawet sprawa bezpieczeństwa narodowego. – Twarz poczerwieniała mu z gniewu. – Cała góra siatki wywiadowczej mogła zostać skompromitowana, przynajmniej istniało takie zagrożenie, podobnie jak i ta instytucja. Dziś rano otrzymałem informacje z CIA, i to co wiedział... przez ojca... było niesłychanie niebezpieczne.

Nagle wstał i uśmiechnął się, wyszedł zza biurka i klepnął Poulsona po plecach. Pod wpływem jego zaraźliwego uśmiechu i serdeczności powróciło wrażenie, że znowu jest się

jego najlepszym przyjacielem.

– Musimy sprawować kontrolę, Jonathanie, rzeczy nie mogą wymykać nam się z rąk.

– Oczywiście. Dziękuję, panie prezydencie.

– To ja dziękuję, Jonathanie. Przekaż, proszę, pozdrowienia Mrs. Poulson.

– Dziękuję, sir, nie omieszkam. Ukłony dla First Lady.

Poulson wrócił tą samą drogą do podziemi Ministerstwa Skarbu, gdzie oczekiwał na niego samochód. – Do Sądu, sir? – zapytał szofer.

– Nie, do domu, proszę. Jestem zmęczony, bardzo zmęczony. – Oparł się na siedzeniu i przymknął oczy. Przepocona i zimna koszula lepiała mu się do ciała.

Vera Jones zapukała do drzwi gabinetu doktora Sutherlanda. Powiedział, by wejść. Miał pacjenta, jednego z dyrektorów w Ministerstwie Rolnictwa. – Przepraszam bardzo, że przeszkadzam, doktorze. Dzwoni Mr. L. Twierdzi, że to pilna sprawa.

Sutherland zwrócił się do swojego pacjenta: – Proszę wybaczyć na moment. – Tylnymi drzwiami wyszedł do zaplecza swego gabinetu i nacisnął świecący się guzik telefonu. – Hello, Mr. L. – powiedział.

– Hello, doktorze Sutherland. Mamy spotkanie jutro o dziesiątej rano.

– Oczywiście przyjdę. Dziękuję za telefon.

Człowiek, który telefonował do Sutherlanda, delikatnie odłożył słuchawkę, wyszedł ze swojego gabinetu i długim, wyłożonym dywanem korytarzem szedł w kierunku dębowych drzwi Oval Office, zapukał i usłyszał „wejść”.

– Umówiłem spotkanie, sir – powiedział.

– Dziękuję, Craig.

Craig wyszedł. Prezydent Randolph Jorgens wstał, podrapał się po brzuchu i pogłaskał dłonią skórzanego konika stojącego na biurku. – Potrzebuję wakacji – powiedział sam do siebie.

ROZDZIAŁ 11

Susanna Pinscher siedziała w budynku Ministerstwa Sprawiedliwości u swojego szefa, Matta Mitchella. Duże krople deszczu waliły o okno jego pokoju; miasto opanował chłodny front z północy. Choć zegar wskazywał dopiero trzecią po południu, na zewnątrz było ciemno jak w nocy.

– Pewna jesteś, że nie chcesz herbaty, Susanno – zapytał Mitchell. – Przecież jesteś kompletnie przemoczona. Złapiesz zapalenie płuc.

– Okay, proszę o herbatę.

– I włóż to na siebie. – Rzucił jej na kolana beżowy wełniany sweter. – Trzymam go w biurze na wypadek, gdyby mnie dopadł deszcz. Co zdarza się zdecydowanie za często – uśmiechnął się.

Okryła się swetrem i wstrząsnął nią dreszcz. Kiedy wracała z biura przewodniczącego Sądu Najwyższego, Poulsona, złapała ją burza. Jak tylko się dało, próbowała skorzystać z osłony podziemnego tunelu na Constitution Avenue, ale potem była już wystawiona na deszcz przez resztę drogi.

Mitchell powrócił z parującą filiżanką herbaty. Wręczył jej napój, spojrzął w dół na jej stopy i stwierdził: – Robisz mi kałuże na podłodze.

– Nic na to nie mogę poradzić.

Od gorącej filiżanki rozchodziło się jej po rękach przyjemne ciepło. Wdychała zapach herbaty, pijąc małymi łyżkami.

– Więc, Susanno, jak ci poszło z Poulsonem?

– Jest dość miły i chyba skłonny do współpracy. Robi jedynie trudności co do miejsca przesłuchań.

– Rozumiem, że nie chce, by je prowadzić w Sądzie.

– Uważa, że na Sądzie dokonano już i tak poważnego gwałtu i dopytuje się, dlaczego to nie można prowadzić śledztwa poza budynkiem sądowym.

– Pewnie ma trochę racji. Pierwszą rzeczą, jaką zrobił Poulson po objęciu funkcji, było dokładniejsze zasunięcie kurtyny przed ciekawskimi, co też dzieje się w Sądzie. Każdy urzędnik widziany choćby w rozmowie z reporterem zostaje natychmiast zwolniony, bez żadnych wyjaśnień czy usprawiedliwień. Nie wolno im nawet powiedzieć *no comment*. Całkowite otwarcie Sądu na dochodzenie Stołecznej Komendy to jak zaproszenie każdego reportera w tym mieście na spotkanie dla szerokiej publiczności. Policjanci są biologicznie

nieprzystosowani do trzymania gęby na kłódkę.

– Matt, zdaje sobie sprawę, że Sąd Najwyższy to miejsce szczególne, ale popełniono w nim morderstwo. Zawsze mnie uczono, że przesłuchuje się na miejscu zbrodni.

– Tym razem jest jednak trochę inaczej, Susanno. Po pierwsze, nieczęsto uczestniczymy w sprawach o morderstwo. Po drugie, Stołeczna Komenda już przesłuchiwała wszystkich pracowników Sądu wewnątrz budynku. Całe to miejsce przeszukano z lupą w dłoni, a jeśli prezydent zdecyduje się mianować specjalnego prokuratora do tej sprawy, to działalność Sądu dozna jeszcze większego uszczerbku. – Usiadł na krawędzi biurka. – Jest jeszcze w tym wszystkim inny aspekt, o którym, być może, nie pomyślałaś. Gdyby zamordowano sędziego Sądu Najwyższego, wtedy wszystko miałoby jakoś więcej sensu. Ale faktem jest, że popełniono zabójstwo na aplikancie i gdyby zastrzelono go gdziekolwiek indziej, a nie właśnie w tym miejscu, byłoby to tylko zwyczajne dochodzenie prowadzone przez policję.

– Tak, gdyby.

– Okay, ale pozostaje faktem, że są rzeczy istotniejsze niż morderstwo Clarence’a Sutherlanda. Ktoś musi stać na straży praworządności w tym kraju. A tym właśnie zajmuje się ten Sąd.

– A co, jeśli morderca zasiada w tymże Sądzie Najwyższym i stoi na straży praworządności w tym kraju?

Już miał odpowiedzieć, ale powstrzymał się, potrząsnął głową, wstał i podszedł do okna. – Co za paskudny dzień. – Odwrócił się i powiedział do niej: – Tak naprawdę, chyba w to nie wierzysz, co?

– Że mordercą Clarence’a Sutherlanda może być jeden z dziewięciorga sędziów? Nie, nie wierzę, ale przecież istnieje i taka możliwość, prawda?

– Nie.

– Więc kto?

Powrócił do biurka i pochylił się nad nią. – Susanno, siej wkoło takimi przypuszczeniami, a twoje dni w tym mieście, na tym stanowisku są policzone.

Odstawiła pustą filiżankę na jego biurko i przysunęła się do niego jeszcze bliżej. – Sądziłam, że idzie tu o znalezienie mordercy Sutherlanda, bez względu na okoliczności i uwarunkowania.

– To prawda, ale trzymajmy się pewnych granic. Uczestniczymy w tym wszystkim po części na pokaz... Rozmawiałem dziś rano z zastępcą prokuratora generalnego i...

– Na pokaz? To ja rezygnuję.

– Rezygnujesz? Przecież to bez sensu.

– Właśnie, że tak... nie dość, że mój szef mówi mi, że zlecone mi zadanie to pic na wodę, ale jeszcze w dodatku dowiaduję się, że to wspaniałe, potężne Ministerstwo, do którego chcąc się dostać, wypruwałam sobie żyły, zajmuje się *show businessem*.

– Uspokój się.

– To powiedz coś, żeby mi pomóc.

– Pracuj nadal pełną parą nad sprawą Sutherlanda, ale jednocześnie, proszę, nie trać z oczu skali ważności. Są jeszcze inne sprawy równie istotne jak śmierć Sutherlanda.

– Spróbuję. – Susanna oddała mu sweter, włożyła przemoczone pantofelki i podeszła do drzwi. – Matt – powiedziała – nie chcę być namolna, naprawdę nie, ale muszę mieć pewność, że robię coś sensownego.

– Robisz. Chyba niechcący przedstawiłem ci to w złym świetle, Susanno. Proszę, nie przejmuj się tym, co powiedziałem.

Będzie próbować.

ROZDZIAŁ 12

Susanna Pinscher i Martin Teller stali w Grand Foyer w Kennedy Center Opera House, jednej z trzech wielkich sal widowiskowych, które składały się na ten potężny kompleks służący sztuce. Zakończyło się przedstawienie *Cavalleria Rusticana* i trwała przerwa.

– Podobało ci się? – spytał Teller.

– Bardzo.

– Niezły budynek, co?

– Już tu kiedyś byłam.

– Na operze?

– Nie, na chińskich akrobatkach. Wtedy to miejsce wywarło na mnie to samo wrażenie, co dzisiaj. Jest wielkie, napuszone i jakby sztywne.

– Miłośnicy opery to uwielbiają. Chyba sami czują się wtedy bardziej eleganccy, albo coś takiego. Ale muszę przyznać, że za każdym razem, kiedy ciemniej światła tego wielkiego żyrandola, sam mam gęsią skórę. Drinka?

– Straszny tłok – powiedziała wskazując na tłum otaczający mały barek.

– Nie ma się czym przejmować – powiedział. – Należę do Towarzystwa Złotego Kręgu.

– A cóż to, na Boga, takiego?

– Grupka ludzi, którzy płacą tysiące dolców rocznie za przywilej dostania poza kolejnością drinka podczas antraktu. Pewnie ciężko ci zrozumieć, jak na coś takiego stać zwykłego gliniarza, ale ja sam piore sobie skarpetki, a oszczędzone pieniądze przeznaczam na rzeczy wyższe.

– I tak jestem pełna podziwu, bez względu na te skarpetki.

Podano im koniak w olbrzymich koniakówkach. Stuknęli się kieliszkami, a potem on stwierdził: – Za uleganie słabościom.

Uśmiechnęła się. – Proszę mi powiedzieć, detektywie Teller, dlaczego człowiek, który spędza dzień po dniu w pracy, zajmując się marginesem życia, wydaje tysiące dolarów rocznie, by otrzeć się o miłośników opery?

– Źle to rozumiesz. – Przynął się do niej. – Nie znoszę tych ludzi. Faktem pozostaje natomiast, że to co robię dzień w dzień, sprawia, że pragnę czegoś innego. Opera daje mi to wszystko. To piękna bajka po ośmiu godzinach rzeczywistości. Teraz rozumiesz?

– Tak. – Stuknęła się z nim kieliszkiem i wypila.

Druga część wieczoru, *Pagliacci*, była nieco słabsza od pierwszej.

– O ile się orientuję, mówią, że taki rodzaj pisania nazywa się *verismo* – stwierdził Teller, kiedy wyszli z bogatych wnętrz opery i skierowali się do jego samochodu. – Oznacza to „realizm”, ale chyba nie ma tej siły co tradycyjna opera. Puccini bije ich wszystkich na głowę, nie wyłączając swoich rodaków.

– Jesteś bardzo... interesującym mężczyzną – powiedziała, kiedy wyjeżdżali z parkingu.

– Chciałaś powiedzieć „dziwnym”.

– Wcale nie, ale chyba by to do ciebie pasowało.

– Poza tym korzystam z usług czyścibutów i oddaję brudy do pralni, czyli nie wszystko robię sam.

– Czyli typowy kawaler?

– Typowy?

– Nie, przepraszam. Było wspaniale, naprawdę. Dziękuję.

– Dokąd jedziemy?

– Do domu.

– Jesteś głodna?

– Nie.

– A może masz ochotę na śpiewanie?

– Po słuchaniu tych wspaniałych głosów?

– No, nie byli znowu tak świetni. Mam lepsze płyty.

– Boję się, że i tak nie zauważyłabym różnicy. Cholernie mało opery miałam w dzieciństwie.

– Ditto. Sam rozsmakowałem się w niej dość późno... Słuchaj, znam takie sympatyczne miejsce w Georgetown. Przychodzi tam kupa wariatów, ale są to w istocie bardzo mili ludzie, którzy po prostu lubią posiedzieć, popić i pośpiewać. Jestem zaprzyjaźniony z właścicielem. Gra na pianinie. Zrobił milion dolarów na frytkach, a potem rzucił ten interes i otworzył klub. Nie wiem, czy ci się spodoba, ale podają tam sandwicze ze stekiem i chleb czosnkowy, aż do zamknięcia, i bywa, że muzyka jest niezła...

– A podają fryty?

– Najlepsze w stolicy.

– To jedziemy.

Zamiast usiąść na tradycyjnym miejscu przy barze w okolicy pianina, Teller zaprowadził ją do stolika odległego od orkiestry. Mówili niewiele, a ona obserwowała

sobotnich bywalców klubu.

– No i co? – zapytał ją po paru drinkach i kanapkach.

– Nie mam na razie zdania. Jeszcze ich nie próbowałam.

– Chodzi mi o to miejsce. Przyjemna atmosfera, co?

– Tak, ale...

– Jakie ale?

– Trochę to smutne patrzeć na ludzi w barze dla samotnych...

– Dla samotnych? To wcale nie jest bar dla samotnych. Przecież bym tu nie przychodził.

– Nie chciałam cię urazić. Jakoś mi tak smutno, kiedy patrzę na kobiety siedzące wokół pianina. Powinny mieć jakieś inne towarzystwo...

– Ale właśnie to jest najprzyjemniejsze w klubie Juliego, Susanno. To w zasadzie nie bar, ale klub, i nie ma tutaj gonienia za partnerem czy partnerką jak w prawdziwych barach dla samotnych. Kobiety tu przychodzące czują się bezpieczne.

– Pewnie masz rację, śmieszne, ale pomyślałam sobie o sekretarce doktora Sutherlanda... Verze Jones.

Teller pokroił swój stek i włożył kęs do ust. – Dobry. Nie pozwól, by ci wystygł.

– Myślisz, że ona była kiedyś zamężna?

– Vera Jones? Większość ludzi była kiedyś zamężna albo żonata, chociaż ona wygląda, jakby to doświadczenie było jej, jak dotąd, nie znane. Jednak jakoś nie pasuje mi do baru dla samotnych. Chyba nie w jej stylu...

– A jaki ona ma styl?

– Jest cicha, pewnie trzyma się jednego mężczyzny, może ma od dwudziestu lat romans z żonatym facetem.

– Doktorem Sutherlandem?

– To mało prawdopodobne, ale nigdy nie wiadomo. Naprawdę sędzę, że jest na tyle lojalna i dyskretna, by być metresą od dwudziestu lat, nie uważasz?

– Tak. Czy sądzisz, że jest atrakcyjną kobietą?

– Tak, na swój chłodny sposób.

– Ukryte namiętności, jak mówią w romansidłach?

– Możliwe.

– Więc sensowna podejrzana?

– Jak każdy w tym stadium dochodzenia.

– Nie wyłączając dziewięciorga sędziów?

– Nie wyłączając dziewięciorga sędziów. Wiesz, kim się interesuję?

– Boję się zapytać.

Zaśmiał się i powiedział: – Tą urzędniczką sądową, Laurie Rawls. Była na pogrzebie i ryczała przez cały czas. Podejrzewam, że ich stosunki nie ograniczały się tylko do spraw zawodowych.

– *Cherchez la femme...*

– Co?

– Potwierdza to radę sędziego Childsa. Szukajcie kobiety. Czy przesłuchałeś Laurie Rawls?

– Nie ja sam, ale jeden z moich ludzi. Nic ciekawego. Powiedziała, że lubiła Clarence'a i dobrze się jej z nim pracowało. Jej alibi jest nie do podważenia, podobnie jak w przypadku wielu innych.

– Jeśli chcesz, porozmawiam z nią. Może się otworzy w rozmowie z drugą kobietą.

– Możliwe. Dowiedziałem się, że została na jakiś czas przypisana do przewodniczącego. Przedtem pracowała dla starego Conovera.

– Zadzwoń do niej w poniedziałek rano.

Julie, właściciel klubu, podszedł do stolika i zapytał Martina, czy ma ochotę zaśpiewać. Teller potrząsnął głową, ale Susanna nalegała: – Nigdy w życiu nie słyszałam śpiewającego detektywa.

– Bo coś takiego nie istnieje – powiedział i podszedł do instrumentów. Wziął do ręki mikrofon, a Julie zagrał wstęp do „*As Time Goes By*”.

Pamiętaj, to warunek, że pocałunek to zawsze pocałunek,

A westchnienie to nadal westchnienie.

Wspomnienia zostają w nas, chociaż upływa czas.

Uśmiechnął się do Susanny przed drugą zwrotką. Skinęła głową na znak, że jej się podoba, i przysunęła krzesło bliżej ściany. Uwagę dzieliła między słuchanie jego dźwięcznego głosu a rozmyślanie o sprawie, dzięki której znaleźli się tutaj dzisiejszego wieczoru – morderstwie Clarence'a Sutherlanda. Cała sprawa zaczynała ją przytłaczać. Mnogość podejrzanych i komplikacje związane z faktem, że rzecz przydarzyła się w Sądzie Najwyższym Stanów Zjednoczonych.

Do jej nozdrzy docierał nieznośny zapach czosnku, a gwar rozmów przy sąsiednich

stolikach po prostu ją ogłuszał. Przymknęła oczy w nadziei, że ból, który zaczął się z tyłu głowy, a teraz rozchodził się w górę aż po czoło, choć na moment ustanie. Otworzyła oczy i zobaczyła niewyraźnie postać Martina.

*Świat zawsze przygarnie kochanków,
Chociaż upływa czas.*

Przytrzymał przez moment ostatnią nutę, a Julie zagrał na koniec wspaniały akord. Oklaski, oklaski. Teller odłożył mikrofon na pianino i skierował się do stolika.

– Ostrzegałem cię.

– Byłeś wspaniały.

Usiadł i przyjrzał się jej uważnie. – Nie wyglądasz najlepiej, czy źle się czujesz?

– Ja... chyba znowu mam początki migreny. Zdarzają mi się od czasu do czasu.

– Bardzo mi przykro. Chodźmy, odwiozę cię do domu.

Podjechali pod jej mieszkanie. Teller chwycił kluczyk, ale nie wyłączył silnika. – Odprowadzę cię.

– Nie, nie trzeba. Już jest lepiej. Dziękuję za naprawę wspaniały wieczór.

– Chciałbym bardzo, żebyś czuła się trochę lepiej. – Zwrócił się w jej stronę i przysunął się bliżej. – Chciałbym też cię pocałować.

– Więc, poruczniku, niechże pan to zrobi.

ROZDZIAŁ 13

Temple Conover siedział w swoim gabinecie ubrany w stary, luźny szary sweter. Zmienił czarne buty, w których przyjechał rano, na znoszone wsuwane pantofle. Było prawie południe. Wkrótce miał się udać na *lunch* do Ambasady Brytyjskiej na Massachusetts Avenue, waszyngtońskiej alei znanej pod nazwą „Rzędu Ambasad”, gdzie miał otrzymać honorową nagrodę od angielskiego odpowiednika Stowarzyszenia Prawników Amerykańskich za lata „oddanej służby w przestrzeganiu zasad wolności i sprawiedliwości”. Miał się tam spotkać z Cecily, która, wedle planu, po *lunchu* odwiezie go na lotnisko, skąd sędzia uda się do Dallas, gdzie wygłosi mowę na dorocznym oficjalnym obiedzie teksaskiego Stowarzyszenia Prawników.

Podszedł do maszyny i szybko napisał notatkę do przewodniczącego Poulsona.

Jonathanie – Pomimo mojego ciągłego utyskiwania, że i tak mamy tu za dużo urzędników, zabieranie mi Miss Rawls w najgorętszym okresie rozpatrywania wszelkich petycji i odwołań jest po prostu nie do zniesienia. Wiem, że straciłeś Sutherlanda, ale będę bardzo wdzięczny, gdybyś zechciał potraktować ten transfer za „czasowy” w minimalnym wymiarze. – Temple C.

Zawołał przez otwarte drzwi na swoją główną sekretarkę, przysadzistą kobietę w średnim wieku o imieniu Joan, która pracowała dla niego od sześciu lat. Weszła do gabinetu.

– Proszę, żeby ta koperta dotarła jak najszybciej do szefa. – Wręczył jej notatkę. – Gdzie jest Bill i Marisa? – zapytał o dwóch z trzech aplikantów, którzy jeszcze pozostali w jego biurze.

– W bibliotece.

– Proszę ich tu natychmiast sprowadzić.

– Yes, sir.

Pojawili się dziesięć minut później i zajęli krzesła przed jego biurkiem. Temple wskazał dłonią stosy petycji o rozstrzygnięcie sporu, prośby do Sądu Najwyższego o rozpatrzenie odwołań od decyzji sądów niższego szczebla. Z pięciu tysięcy takich petycji rocznie jedynie około dwóch setek przyjmowano do rozpatrzenia. Każdy z sędziów był zobligowany do analizy pięciu tysięcy petycji, a następnie miał podać te, które, jego czy jej

zdaniem, powinien rozpatrzyć Sąd. Przyjęcie sprawy do rozpoznania wymagało akceptacji minimum czterech lub czworga z dziewięciorga sędziów.

Wkrótce po objęciu stanowiska przewodniczącego Poulson usiłował ustanowić specjalną komórkę do podejmowania takich decyzji, rzekomo po to, by odciążyć sędziów, ale w głosowaniu propozycja ta została odrzucona, a Conover był jej głównym przeciwnikiem. Sędzia senior miał wrażenie, że stanowiło to próbę zyskania przez Poulsona dodatkowej władzy nad Sądem, co powtarzało się, według Conovera, z zadziwiającą regularnością.

Tak naprawdę, jedynie urzędnicy prawni uczciwie przeglądali petycje, następnie przedstawiali je sędziom, dla których pracowali, w formie jedno – lub dwustronicowych skrótów.

Conover wskazał na grubą teczkę ze skrótami petycji, które zdaniem urzędników wymagały rozpatrzenia przez niego. – Przeczytałem to wszystko i zgadzam się z waszymi opiniami, ale co z tego, jeśli nie znajdziemy trzech innych sędziów, którzy nas poprą?

– Myślę, że to możliwe, sir, w przypadku petycji dotyczących dyskryminacji w pracy oraz ekologii – powiedział Bill. – Rozmawiałem dziś rano z pomocnikami sędziny Tilling-Masters, którzy sądzą, że ona będzie głosowała za przyjęciem tych petycji do rozpatrzenia. Znamy stanowisko szefa. Sędzia Childs też nie zmieni stanowiska w tej sprawie, ale...

Drugi pomocnik, urzędniczka prawna Marisa dodała: – Peg O'Malley, który pracuje dla sędziego Simsa, przypuszcza, że on może się zgodzić na poparcie sprawy o dyskryminowanie pod warunkiem, że zawęzi się ją do kwestii wynagrodzenia, a pominie dyskryminację seksualną.

Conover obrócił swój fotel z wysokim oparciem i jęknął poczuwszy ból rozchodzący się od biodra aż po bark. – Nie sądzę, by to było właściwe – powiedział zmienionym głosem.

– Popracuję trochę nad nią – powiedziała Marisa.

– Nie warto. Wolałbym się raczej skoncentrować na kwestii ekologicznej i dwóch petycjach dotyczących państwa i kościoła.

– Yes, sir.

Piętnaście minut później, po tym, jak Bill udzielił mu pomocy przy zakładaniu butów i marynarki, Conover stał przed biurkiem Joan, która pomagała mu włożyć płaszcz. – Czy życzy pan sobie, żeby pana odprowadzić? – spytała.

– Nie.

Podawała mu kulę, a on wsunął przedramię do metalowego kołnierza. – Chcę, żeby te opinie były gotowe do rozpowszechnienia po moim powrocie.

Druga z jego sekretarek, Helen, życzyła mu spokojnej i szczęśliwej podróży.

Podziękował jej, a potem powiedział: – Mrs. Conover przyjedzie odebrać bilety do teatru, które mają być tu dostarczone po południu. Proszę przypilnować, żeby je otrzymała.

– Oczywiście, sir.

Obie sekretarki patrzyły, jak wolniutko i z wysiłkiem opuszcza pokój.

– Biedny człowiek – powiedziała na głos Joan.

– Strasznie jest patrzeć, jak cierpi – dorzuciła Helen.

– Kiedy go tak obserwuję, czasem przychodzi mi na myśl sędzia Douglas – powiedziała Joan.

– Mnie też, szczególnie, kiedy pojawia się jego żona.

Joan potrząsnęła ręką i powiedziała z naciskiem: – Jediną rzeczą, która ich w tej materii łączy, to młode żony. Żona sędziego Douglasa to była prawdziwa lady, bezgranicznie oddana mu aż do chwili jego śmierci. Szkoda, że nie mogę wyrazić tej samej opinii o Mrs. Conover.

Helen zaczęła coś mówić, ale Joan jej przerwała: – No, dość tego. Prywatne życie sędziego Conovera to jego sprawa osobista. Mam jedynie nadzieję, że ta potworna sprawa Mr. Sutherlanda nie spowoduje, że zaleją nas te wszystkie nieczystości. Ale dosyć, bierzmy się do pisania opinii. Jeśli nie znajdzie ich na biurku po powrocie z Dallas, będziemy musiały poszukać sobie innej pracy, najlepiej, żeby płacili za plotkowanie.

ROZDZIAŁ 14

– Jestem zachwycona, że znalazła pani dla mnie czas w porze *lunchu* – powiedziała Susanna Pinscher do Laurie Rawls, kiedy spotkały się przy frontowych drzwiach American Cafe's Capitol Hill na Massachusetts Avenue. Susanna zadzwoniła do Laurie, by umówić się z nią na spotkanie, i zasugerowała wspólny *lunch*. Aplikantka Laurie Rawls odmówiła lunchu, ale następnego dnia zatelefonowała i zmieniła zdanie.

Dostały jasny drewniany stolik w rogu sali. Susanna usiadła na krześle i przyjrzała się swemu młodemu gościowi. Laurie Rawls spodobała się jej od momentu, kiedy spotkała ją po raz pierwszy. Była w niej jakaś zupełna otwartość, żywość umysłu i gotowość do poznawania świata. Nie miała na twarzy żadnego makijażu, który by przykrywał jej niemal przezroczystą, jasną skórę o tym samym zdrowym blasku, co krótkie, proste kasztanowe włosy. Ubrana była w popielatą plisowaną spódnicę, zapiętą pod samą szyję bluzkę w stonowanym odcieniu różu i niebieskawy blezer z symbolem swej *alma mater*, George Washington University.

– Zaskoczyła mnie pani swoim telefonem i zgodą na *lunch* – powiedziała Susanna po zamówieniu dla siebie białego wina i kieliszka wiśniówki dla Laurie.

– Dlaczego? Dlatego, że jestem jedną z podejrzanych? Tak naprawdę, Miss Pinscher, interesuję się panią. Jak widać, zdołała pani odnieść sukcesy w dziedzinie, którą jestem bardzo zainteresowana. Sądziłam, że ten lunch może okazać się pożyteczny dla mnie, a niekoniecznie dla pani.

Susannie podobała się jej szczerość. – Ministerstwo Sprawiedliwości nie jest znowu takie cudowne, ale bywają tam interesujące momenty...

– Z pewnością.

– Zapewne podobnie jak w Sądzie Najwyższym.

– Podoba mi się praca aplikanta. Moi znajomi robią to samo w innych miejscach, ale praca w najwyższym sądzie w kraju jest... jest po prostu czymś szczególnym.

– Słyszałam, że po morderstwie Sutherlanda została pani oddelegowana do pracy w biurze sędziego Poulsona. Z pewnością to ciężkie przeżycie... mówię o stracie, i to w tak brutalny sposób, kogoś, z kim się blisko współpracowało.

– Tak. – Sięgnęła po kieliszek i w zamyśleniu pociągnęła długi łyk, potem odstawiła naczynie na stół i wzięła menu. – Umieram z głodu. Mają tu coś, co by pani szczególnie polecała?

– Czasem miewają tu dobre zapiekanki z mięsem, i może...

– Chyba zdecyduję się na sałatkę po kalifornijsku.

– A ja zostanę przy indyku. Jeszcze drinka?

– Ja już nie, ale proszę się nie krępować.

Susanna zamówiła dla siebie kolejny kieliszek wina i zapytała: – Jak dobrze znała pani Clarence’a Sutherlanda?

Laurie na moment zawahała się z odpowiedzią. – Chyba tak dobrze, jak pozostali w Sądzie. – Wyrzuciła to z siebie trochę zbyt bezceremonialnie, pomyślała Susanna. Laurie dodała: – Clarence bywał niekiedy... trudny.

– W jakim sensie?

– Pracował dla przewodniczącego Poulsona, był szefem biura aplikantów prawnych. Bywały momenty, kiedy niesłuchanie irytował innych urzędników. Niektórzy uważali nawet, że potrafi być okrutny...

– Rozumiem... – I, co oczywiste, pomyślała sobie Susanna, Laurie należała do tego grona. Susanna postanowiła rozwinąć ten wątek rozmowy, ale nie bezpośrednio. – Widziałam zdjęcia Clarence’a Sutherlanda. Był zdecydowanie przystojnym mężczyzną.

Twarz Laurie zupełnie straciła kolory, jakby odpłynęła z niej krew.

Podano im *lunch*. Susanna opowiadała o swojej pracy w Ministerstwie Sprawiedliwości, o swojej wcześniejszej praktyce zawodowej i o wydarzeniach, które spowodowały, że znalazła się w końcu w Waszyngtonie na obecnym stanowisku. W końcu, nagle, zadecydowała, że nadszedł odpowiedni moment: – Laurie, czy kochała się pani w Sutherlandzie?

Przez moment miała wrażenie, jakby zadała jej potężny cios. Twarz jej przybrała kamienny wyraz, po czym Laurie bezwiednie rozejrzała się po ludziach w restauracji.

– Może nie powinnam była zadać tego pytania?

– Ma pani przecież prawo pytać o wszystko. Prowadzi pani w końcu śledztwo w sprawie morderstwa i rozumiem, że jestem jedną z podejrzanych. Zdaję sobie też sprawę, że praktycznie nie mam alibi. Stałam w ulicznym korku w przypuszczalnym czasie popełnienia morderstwa. I byłam sama.

– Tak, wiem. Prawdą jest także, że pani, podobnie jak wiele innych osób, jest w gronie podejrzanych. Chciałabym jednak, by pani zdawała sobie sprawę, że wcale nie interesuje mnie sprawianie ludziom bólu w trakcie rozwiązywania tej sprawy...

– Z pewnością... No dobrze, zadała mi pani pytanie... i odpowiem jak prawnik prawnikowi, że nasze stosunki przekraczały granice kontaktów czysto zawodowych.

– A jak kobieta kobiecie – powiedziała Susanna – czy on był zakochany w pani?

Wykrzywiła twarz. – Clarence był wolny od takich słabostek jak uleganie uczuciom...

– Mówiono mi, że był kobieciarzem.

– Co za osobliwe, staroświeckie określenie...

– To sprawa uznania.

– Może „niedojrzały” byłoby określeniem bardziej precyzyjnym.

Susanna uśmiechnęła się. – Tak... był młodym człowiekiem...

– Teraz jest martwym młodym człowiekiem. – Z głosu Laurie powiało chłodem, twarz nabrała lodowatego wyrazu. – Jeśli to pani zaakceptuje, to ja osobiście mam dość dyskusji na temat Clarence’a Sutherlanda.

– Przepraszam za wścibianie nosa w pani prywatne sprawy.

– Rozumiem, że ma pani do wykonania określone zadanie, ale... – Laurie spuściła wzrok, a potem podniosła głowę, a uśmiech przylepiony do warg sprawiał nienaturalne wrażenie. – Miss Pinscher, przepraszam... Jestem dorosłą kobietą... Mam na to dyplom i jestem aplikantem w biurze Sądu Najwyższego. Niech pani strzela, proszę pytać o wszystko, co się pani podoba. Spróbuję odpowiedzieć najuczciwiej, jak tylko potrafię.

Susanna otrzymała rachunek. – W porządku, Laurie. Czy zabiła pani Clarence’a?

Zaczęła odpowiadać, potem się trochę zgubiła i powiedziała z nerwowym śmiechem: – Oczywiście, że nie.

– To dobrze. Ma pani jakieś podejrzenia, kto to mógł zrobić?

– Żadnych.

– A możliwości? Jakaś teorię?

– A mamy czas?

– W końcu jeśli był tak nie lubiany...?

– Chyba raczej znieawidzony, co będzie odpowiedniejszym słowem.

– Ale nie przez panią.

– Mówi się, że te dwa uczucia są sobie bliskie – czasem nierozzerwalnie połączone.

– Laurie, czy uważa pani, że zabiła go kobieta, kobieta, którą skrzywdził, jak to uczynił w pani przypadku?

– Nie wiem. Było ich tak cholernie dużo. Istniało też wielu mężczyzn, którzy mieli powody, by nienawidzić Clarence’a z całego serca.

– Mężowie z rogami?

– Pewnie tak, ale nie ich miałam na myśli... Szczerze mówiąc... – jej ton stał się pewniejszy i bardziej konfidencyjny – pozostawało dla mnie zawsze tajemnicą, jak Clarence był w stanie utrzymać pozycję szefa biura.

– Czyżby? Dano mi do zrozumienia, że bez względu na wszystko był bardzo inteligentny, sprawny i znał się na swojej pracy.

– Tak jest, był na pewno jednym z najgenialniejszych ludzi, jakich w życiu spotkałam. Ale miał też sadystyczną stronę, która odpychała od niego ludzi. Rzeczy, które wyprawiał... potrafił być okrutny zupełnie bez powodu... nawet wobec swoich zwierzchników... Inni aplikanci czekali z dnia na dzień, aż przewodniczący Poulson wyleje go, ale, oczywiście, nigdy to nie nastąpiło...

– Dlaczego nie?

Zawahała się przez chwilę. – Sędzia Poulson to gentleman, przyzwoity człowiek. Ale, między nami mówiąc, ma swoje słabości. Niektórzy utrzymują, że Clarence wykorzystywał je, by pozostać na swoim stanowisku.

– Jakie słabości?

Laurie wzruszyła ramionami. – Clarence wiedział coś na temat Poulsona, co mogłoby go skompromitować. Nie mam pojęcia, o co chodziło.

W tym wypadku nie była z Susanną całkiem szczerą. Wróciła myślami do pewnego wieczoru w Sądzie, kiedy przebywała wraz z Clarence'em w swoim biurze. Właśnie odczytywała analizę napisaną przez niego...

– Zazdroszczę ci – powiedziała.

– Czego?

– Twojej umiejętności zabrania się do czegoś tak skomplikowanego jak ta sprawa, rozłożenia jej na czynniki pierwsze i napisania wniosków w tak logiczny, spójny i zwięzły sposób.

Zaśmiał się. – To zwyczajna kombinacja genów, wybitnego intelektu, wrażliwości, wrodzonego talentu i dziedzicznego instynktu przetrwania.

– Sędzia Conover nie podziela tego zdania – stwierdziła Laurie, przesuając do niego swe krzesło tak, by mogła zobaczyć, co on czyta. Był to jeden z wielu protokołów dotyczących sporu *Nidel kontra Illinois* w sprawie aborcji.

– Stara śpiewka – powiedział nie podnosząc nawet oczu.

– Powiedział, że jesteś bezlitosny i bez zasad.

Clarence podniósł wzrok i uśmiechnął się. – A co cię obchodzi zdanie tego stetryczalego dziwaka?

Rozparł się wygodnie na krześle i wolno potrząsnął głową. – Ci sędziowie... Sadzają swoje tyłki na tych zaszczytnych stołkach, bo przez całe życie pełnili właściwe funkcje polityczne, spotykali się z właściwymi ludźmi i mówili właściwe rzeczy. A potem zarzucili na

siebie te czarne togi i zajmują się uchwalaniem praw, przynajmniej wtedy, kiedy mają chwilę oddechu między awanturami z żoną, przymilaniem się do jakiegoś senatora bądź wizytami u swojego psychologa.

– Jak twój ojciec...

– Tak, jak mój kochany tatuś, psychoanalityk gwiazd, powiernik ludzi u władzy, głaskający ich *ego*, by poczuli się godni zajmowanych stanowisk... Wiesz co, Laurie? Przez naciśnięcie odpowiednich guziczków można spowodować, że ci sami ludzie zaczną się przed tobą płaszczyć. – Zwrócił się do niej i przyciągnął do siebie jej podbródek. – Daj mi całusa.

– Nie tutaj.

– Przecież nikogo nie ma. No, daj.

Zaczął ją pieścić. Odepchnęła go. – Clarence, daj spokój... później.

– Dlaczego? Bo znajdujemy się w tych nietykalnych pomieszczeniach? Słuchaj, Laurie, zdradzę ci pewien sekret. Poulson ma szufladę pełną prywatnych strachów. Wiem dobrze, która to szuflada, i jak one wyglądają. Dzisiaj po południu zaczął się mnie na poważnie czepiać, więc wspomniałem mu, oczywiście w miły sposób, o jednym z nich. I szybciotko spasował. Oczywiście, zachował swoją godność. Ostatecznie, przewodniczący Sądu Najwyższego, sędzia Poulson, to człowiek wielce godny. Uwierz mi, była to prawdziwa rozkosz. A temu staremu głupkowi możesz powiedzieć, że jeśli nie przestanie wygadywać na mnie, to publicznie zdradzę sekretne strefy erogenne jego żony.

Laurie wstała, wygładziła sukienkę i stwierdziła, że musi już iść.

Clarence zerknął na zegarek. – Mam godzinę czasu. – Wstał i objął ją. – Mamy więc dość czasu, żeby...

Wyrwała mu się i na przekór sobie samej otworzyła drzwi i wyszła, starając się zatrzaskać za sobą jego szyderczy śmiech, który pędził za nią w głąb korytarza...

Susanna położyła pieniądze na rachunku i podniosła torebkę z podłogi. – A co z innymi sędziami i pozostałymi aplikantami? Czy ktoś z nich mógł na tyle mocno nienawidzić, by...

– To raczej mało prawdopodobne... Clarence bywał irytujący i trudny, ale żeby sędzia mógł... – zaprzeczyła ruchem głowy.

Powiedziały sobie „do widzenia” na chodniku i obiecały pozostawać w kontakcie.

Susanna wróciła do swojego biura, gdzie zrobiła notatki z rozmowy przy *lunchu*.

Niżej, w dół Constitution Avenue Laurie Rawls zamknęła za sobą drzwi do gabinetu sędziego Jonathana Poulsona i usiadła na jednym z krzeseł. Poulson siedział za swoim biurkiem. – No i jak poszło na *lunchu*?

– Świetnie, sir. To miła, inteligentna kobieta wykonująca swoją pracę.

– No tak. Mam nadzieję, że nie gniewa się pani na mnie za nakłonienie ją do przyjęcia tego zaproszenia na *lunch*. Kiedy mi pani o tym wspomniała, pierwszą myślą było stanowczo odmówić Miss Pinscher. W końcu wszystko ma swoje granice, i to obojętnie, czy popełniono morderstwo, czy też nie. Ale z drugiej strony wydało mi się to dobrą możliwością sprawdzenia, jakie postępy w śledztwie zrobiło Ministerstwo oraz Stołeczna Komenda. Chcę, żeby ta sprawa została zakończona jak najszybciej, by Sąd mógł spokojnie powrócić do swych normalnych zadań. Czego dowiedziała się pani na temat postępów śledztwa?

– Niestety, niewiele, ale było dla mnie rzeczą oczywistą, panie sędzio, że niezbyt dużo zrobiono do tej pory. Lista podejrzanych jest zdecydowanie tak samo obszerna i nadal otwarta, jak w pierwszym dniu dochodzenia.

– Rozumiem... no cóż, przykro to słyszeć.

– Czy mogłabym dziś wyjść wcześniej, sir? Nie czuję się najlepiej.

– Oczywiście.

Zabrała swoje rzeczy z biura i poszła tylnymi schodami do Wielkiego Hallu imponującego splendorem marmurów. Medalionowe wizerunki stanowiących prawa oraz symbole heraldyczne na płaskorzeźbie spoglądały na nią, kiedy zbliżała się do sali sądowej. Dwaj członkowie specjalnej ochrony pilnowali wejścia do niej. – Hello, Miss Rawls – pozdrowił ją jeden z nich.

– Hello – odpowiedziała, bezwiednie zatrzymując się w odległości kilku metrów od wielkiej sali, która stanowiła arenę największych prawnych bitew stoczonych w tym kraju. Chciała odejść, ale jej nogi zdawały się być przyrośnięte do marmurowej posadzki. Zaczęła się cała trząść, albo przynajmniej miała takie wrażenie, a jej oczy napełniły się łzami, chociaż postanowiła, że je zdławi.

Za nią rozległ się jakiś dziwny dźwięk.

– Przepraszam – powiedział jeden ze strażników schylając się po upuszczoną pinezkę.

– Ależ pani podskoczyła, Miss Rawls.

– Tak, obawiam się, że jestem ostatnio trochę rozstrojona. Chyba wszyscy jesteśmy.

ROZDZIAŁ 15

Usłyszał jej kroki na schodach, grzebanie w torebce, zgrzyt klucza w zamku. Otworzył się drzwi i weszła do małego, zagraconego mieszkania.

– Gdzie byłaś? – spytał Dan Brazier. Siedział w swoim wózku inwalidzkim przy oknie. Na zewnątrz, na Broadwayu, w dzielnicy San Francisco o nazwie North Beach, dzień właśnie przechodził w noc i ostatnie błyski zachodzącego słońca skapały w czerwieni cały świat. O tej porze dnia brud na szybach rysował się grubą warstwą, lata jego gromadzenia się na zewnątrz i ciemnobrunatna powłoka smoły i nikotyny wewnątrz.

Sheryl Figgs, która mieszkała z Brazierem, położyła torbę z zakupami na dużym kwadratowym stole na środku *living roomu* i podała mu pocztę.

– Gdzie byłaś? – powtórzył Brazier przeglądając koperty.

– Zrobiłam zakupy po drodze do domu. Jak się czujesz? – Zauważyła, że butelka dżinu, którą kupiła ledwie wczoraj, była już prawie opróżniona.

Brazier rozdarł kopertę i popatrzył na czek od sędziego Sądu Najwyższego, Morgana Childsa. Jak zwykle, czek został wypisany z prywatnego konta w Maryland, a na adresie zwrotnym figurował jedynie numer skrzynki pocztowej.

– Dostałeś swój czek inwalidzki – powiedziała Sheryl.

Brazier otworzył i tę kopertę, a potem rzucił oba чеki na kiepskiej jakości imitację orientального dywanu.

– Pytałam, jak się czujesz? – powiedziała, zrzucając buty i ściągnając przez głowę szkarłatny sweter. Nie była kobietą nieatrakcyjną, chociaż grymas opuszczonych w dół kącików ust sprawiał wrażenie ustawicznego smutku. Jej blond włosy robiły wrażenie zaniedbanych; obojętnie, jak często by je myła, i tak wyglądały na nieświeże. Twarz miała szczupłą, ściągniętą i nadzwyczaj bladą. Młodzieńczy trądzik pozostawił na niej siateczkę drobnych śladów, które łagodziła makijażem. Biała skóra na ramionach, nogach i brzuchu była miękka i zwiotczała, jak u osoby w podeszłym wieku. – Te cholerne rozstępy – mawiała, kiedy byli w łóżku. – Czworo dzieciaków tego się do tego przyczyniło.

Kiedy pewnego dnia powtórzyła to kolejny raz, Brazier zareagował złością: – Narzekasz na rozstępy brzucha, a ja nie mam nóg. – Rzadko wspominał o swoim inwalidztwie, i potem przez dobrych kilka dni czuła się winna, że wywołała ten temat.

Przyniosła mu lodu, a on wlał sobie do szklanki resztki dżinu. Dla siebie przygotowała bourbon z wodą i usiadła przy stole. – Przyniosłam gazetę – powiedziała.

– Sama ją sobie przeczytaj. – Nie przestawał gapić się w okno, a dżin połyskiwał w promieniach odchodzącego dnia.

Rozłożyła gazetę i zaczęła czytać. – Hej – powiedziała – jest tu cały artykuł o twoim kumplu Childsie.

Brazier odwrócił się w jej stronę z szyderczym uśmiechem. – Co tam piszą?

Przez chwilę czytała w milczeniu. – Właściwie to nie o nim. Chodzi o morderstwo popełnione na Sutherlandzie. Posłuchaj tylko. Kobieta, która prowadzi dochodzenie z ramienia Ministerstwa Sprawiedliwości – o nazwisku Pinscher, Susanna Pinscher – przesłuchiwała go w samolocie.

Brazier jęknął.

– Jest tu napisane, że wszyscy wzbraniają się przed publicznym wyrażeniem opinii, ale reporter twierdzi, że ma swoje doświadczenia. Podobno dochodzenie zawęży się do kobiet, które miał Sutherland... a był niezłym podrywaczem.

– Jest tam coś jeszcze na temat Childsa?

– Nic. Aha, piszą, że wszyscy sędziowie próbują utrzymać w tajemnicy wyniki dochodzenia w Sądzie. – Odłożyła gazetę i spojrzała na Braziera. – To rozumiałe. Nikt nie życzy sobie myszgowania po Sądzie Najwyższym...

– Daj mi na to rzucić okiem – powiedział Brazier. Podała mu gazetę, a on przeczytał artykuł, potem rzucił pismo na czeki i podjechał wózkami do stołu. – Co jest na kolację?

– Chyba zrobię kotlety mielone. Chcesz do tego sałatkę?

– Nie. Wychodzę na chwilę. Ile czasu ci trzeba na te kotlety?

– Nie wiem. Muszę spojrzeć do książki kucharskiej. Chyba z godzinę. Dokąd się wybierasz?

– Za róg, na drinka. Ale wrócę. Pomóż mi się dostać na dół.

Wiedziała, że nie ma sensu się z nim spierać. Woląaby, żeby został, kiedy ona będzie przygotowywać jedzenie. Czasami, kiedy nie wypił za dużo, siadywali sobie w kuchni i rozmawiali. Uwielbiała rozmawiać z Danem Brazierem, kiedy był trzeźwy. Był najmądrzejszym człowiekiem, jakiego w życiu spotkała, i chociaż wiedziała, że to nieprawda, zdarzało się, że potrafił dać jej odczuć, iż ona jest dla niego intelektualnym partnerem, kimś, kogo szanuje i słucha z uwagą. Kiedy był trzeźwy.

Wyjęła z szafy czarno-czerwona flanelowa marynarkę i pomogła mu ją włożyć, po czym wywiozła go przez drzwi na wąską klatkę, skąd długi rząd schodów wiódł na ulicę. Patrzyła, jak wysuwa się z wózka, a potem, używając poręczy po obu stronach, dosłownie znosi się w dół. Szła za nim popychając wózek, odwracając oczy od tej bolesnej sceny i

podtrzymując rozmowę, by ten wysiłek szybciej mu upłynął. – Mr. Valente rozmawiał dzisiaj ze mną – rzuciła. – Powiedział, że chce przeredagować podręczniki komputerowego oprogramowania i że chciałby ci zaproponować wykonanie części tej pracy. Pamięta twoje artykuły z magazynów i mówi, że chciałby cię poznać. Powiedziałam, że spróbuję cię umówić z nim któregoś dnia na *lunch* i...

Dan osiągnął parter, więc szybko wsunęła pod niego wózek. – Gdybym chciał znowu pisać, to wziąłbym sobie jakiegoś pieprzonego agenta, Sheryl. Nie chcę, żebyś się za mną u kogokolwiek wstawiała, a temu swojemu Valente możesz powiedzieć, żeby pilnował swojego nosa. Co ty w ogóle wyprawiasz, czemu się z nim zadajesz?

– Ale, na miły Bóg, Dan, przecież to mój szef. Jest żonaty i...

– Otwórz drzwi.

Otworzyła i wyjechała na ulicę.

– Za godzinę – powiedziała.

– Tak, za godzinę.

Przygotowała mięso na kotlety, dodała bułkę tartą, trochę czosnku i przypraw, i włożyła wszystko do piecyka. Pieczołowicie ułożyła listki sałaty na talerzykach i zaniósła je na stół, po czym równie starannie złożyła dwie serwetki, układając na nich sztuce. Zadowolona, że zrobiła wszystko do czasu, aż mielone będą gotowe, usiadła w *living roomie* i włączyła biało-czarny telewizor na wiadomości lokalne. Patrzyła z uwagą przez kilka minut, a potem zaczęła myśleć o czymś innym, najpierw o migającym, jaskrawo czerwono-zielonym neonie nad oknem klubu topless niedaleko w dół ulicy, potem o rzędzie fotografii stojących na stolyczku obok jej krzesła. Podniosła jedno ze zdjęć i przypatrzyła mu się uważniej. Na fotografii widnieli dwaj mężczyźni, Dan Brazier i Morgan Childs, ten drugi obecnie w Sądzie Najwyższym. Zdjęcie zrobiono w Korei, tuż po ich powrocie z niewoli. Obaj uśmiechali się szeroko. Obejmowali się ramionami, a Childs dwoma wzniesionymi palcami pokazywał znak V, czyli zwycięstwo. – Jacy przystojni – pomyślała Sheryl. Brazier nadal był przystojny, może nawet bardziej niż wtedy, gdy zrobiono to zdjęcie. Sprawiali wrażenie bardzo do siebie podobnych. Brazier i Childs, poorane, męskie, kanciaste twarze i mocne, wysunięte do przodu podbródki, jasne spojrzenie oczu, które przenikały człowieka na wskroś, muskularne ciała mężczyzn gotowych do działania, takie, jak u kowbojów, myślała sobie czasem.

Tułów Braziera stał się ogromnie silny od czasu, gdy stracił obie nogi. Odmawiał zdecydowanie noszenia jakiegokolwiek typu protezy: – Nie chcę żadnych sztucznych nóg. – Chociaż wiedziała, że kiedy po zakończeniu wojny mieszkał w Waszyngtonie, jednak był w szpitalu i przymierzał je. Nigdy nie lubił mówić o tamtych latach i wiedziała, że nie należy

zadawać mu żadnych pytań. Kiedy zadreślało się go pytaniami, stawał się bardzo wybuchowy, co nastąpiło, kiedy spytała go o doktora Chestera Sutherlanda, ojca zamordowanego aplikanta.

Kiedyś, szukając czegoś tam w szufladzie, natknęła się na stare, kieszonkowe kalendarzyki. Jeden z nich pochodził z waszyngtońskich czasów Braziera i zawierał nazwisko doktora Chestera Sutherlanda, jego adres i numer telefonu. Na następnych stronach pojawiły się wpisy „Dr S.” przy kolejnych datach. Wtedy nic to dla niej nie znaczyło. Brazier odwiedził setki lekarzy próbując uratować nogi. Ale po przeczytaniu w lokalnej gazecie o zamordowaniu Clarence’a Sutherlanda, sięgnęła do tej szuflady, by potwierdzić, co zapamiętała.

Spiker odczytał informację o trójkącie miłosnym z okolicy Zatoki, w którym nieporozumienia zakończyły się zamordowaniem jednego z kochanków. Przypomniała sobie, co Brazier powiedział na temat jej szefa, pana Valente. Oskarżył ją, że zadaje się z innym mężczyzną, chociaż wcale tak nie było. Ale rozumiała. Człowiek bez nóg tylko po części czuł się mężczyzną. Ale nie miał racji. Dan Brazier był w większym stopniu mężczyzną niż ci, których w życiu spotkała... silnym i mądrym, wrażliwym i zadowolającym kochankiem... Kiedy był trzeźwy.

Zapach mięsa napłynął z kuchni i był to zapach miły. Sheryl lubiła gotować, szczególnie dla Dana. Poszła do kuchni, otworzyła piecyk i spojrzała na smażące się kotlety. – Nieźle wyglądają. – A potem dodała znacznie smutniejszym tonem: – Proszę, wróć do domu, Dan. Proszę, nie zmuszaj mnie, bym je jadła sama.

Zbyt wiele posiłków zjadała w tym domu samotnie.

ROZDZIAŁ 16

Był to jeden z tych dni, co zapowiadają zimę – chłodny i ponury. Ostatnie liście opadły z drzew i wszystko to, co dotąd zakrywały, było widoczne jak na dłoni.

Doktor Chester Sutherland spoglądał na świat przez przyciemnione szyby limuzyny, która przyjechała po niego pod dom. Patrzył na połyskujące wieże Georgetown University i rzekę Potomac płynącą spokojnym nurtem. Z przodu przez nagie szkielety drzew widniał czysto biały, olbrzymi budynek otoczony całymi milami wysokiego na cztery metry metalowego płotu. Duży napis na George Washington Parkway identyfikował go jako CENTRAL INTELLIGENCE AGENCY. Do roku 1973 tabliczka utrzymywała, że to FAIRBANK HIGHWAY RESEARCH STATION. Ale później, jak na ironię, prezydent Nixon, w duchu rządów bardziej otwartych, nakazał, by oznakowanie wskazywało rzeczy, jakimi naprawdę są, i, jak twierdzą niektórzy, CIA nigdy już nie była ta sama.

Limuzynę przywitała przy bramie grupa strażników. Sprawdzono dokładnie przepustki i dokumenty, zanim mogli ruszyć w drogę do następnego punktu kontrolnego. W końcu długa czarna limuzyna dojechała do podziemnego garażu, gdzie czekał na Sutherlanda surowo wyglądający, ubrany w granatowy garnitur młody człowiek, który nosił identyfikator na łańcuszku zawieszonym na szyi. Poszli na górę, mijając po drodze nie oznakowany szereg drzwi, aż do jadalni, której okna wychodziły na lasy Langley w Virginii. Stolik przykryty jasnoniebieskim lnianym obrusem, na którym widniały srebrne sztucce i porcelana, przygotowano na cztery osoby. Przewodnik Sutherlanda, który wspomniał, że pracuje w dziale *public affairs* Agencji, przeprosił i cichutko opuścił pomieszczenie. Chwilę później otworzyły się drzwi i wszedł wysoki człowiek po pięćdziesiątce, przeszedł przez grubą, królewsko bogatą niebieski dywan i wyciągnął rękę. – Doktorze Sutherland, jestem Roland McCaw, zastępca dyrektora do spraw nauki i technologii.

Sutherland uścisnął mu dłoń. – Witam, Bill Stalk wspominał mi o panu. Powiedział, że przyszedł pan z marynarki.

– Tak jest. Nadal próbuję stanąć mocno na swych lądowych nogach tu, w tym towarzystwie. Drinka?

Sutherland odmówił ruchem głowy.

McCaw podszedł do barku na kółkach i nalał sobie duży kielich żytniówki oraz wodę sodową do szklanki obok. Sutherland cały czas go obserwował. Nosił się jak typowy wojskowy, trochę zbyt sztywno, co sprawiało, że garnitur leżał na nim mniej więcej tak, jak

każde ubranie na wieszaku.

– Bill zaraz się tu zjawi, doktorze. Proszę łaskawie spocząć. – Wskazał na krzesło, które przeznaczono dla Sutherlanda. Doktor usiadł i ostrożnie założył nogę na nogę tak, by zachować ostry kant swych popielatych flanelowych spodni. Miał jeszcze na sobie słomkową marynarkę sportową z kaszmiru, niebieską płócienną koszulę i włóczkowy krawat w kolorze kasztanowym. Była sobota, a w weekendy nie cierpiał kompletnych garniturów. Poza tym zdawał sobie sprawę, że ludzie, z którymi ma się spotkać, będą wszyscy właśnie w garniturach. Chciał się trochę od nich odróżnić.

William Stalk, dyrektor działu nauki i technologii Centralnej Agencji Wywiadowczej, wszedł do pokoju. – Ależ, proszę, nie wstawaj, Chester – powiedział, kiedy Sutherland zaczął się podnosić. – Hello, Roland. Widzę, że wcześniej wystartowałeś. – Podeszedł do barku i nalał sobie wódki z tonikiem. – Straszna tragedia z twoim chłopakiem, Chester. Bardzo mi przykro.

– Dziękuję.

Czwartym człowiekiem przy stole był malutki, szczupły Hindus z grubymi szklami na nosie, doktor Zoltar Kalmani. Sutherland znał jego prace z branżowych specjalistycznych artykułów. Zajmował się głównie dziedziną modyfikacji zachowań środkami farmakologicznymi, nie wyłączając narkotyków. Popijał białe wino i palił cienkie, długie cygaretki, które, jak stwierdził piskliwym, śpiewnym głosikiem, nie zawierały saletry indyjskiej, tak więc nie przeszkadzały mu w jego życiu seksualnym. Jego śmiech przypominał raczej chichot.

Rozmowa dotyczyła tematów ogólnych, a dwaj kelnerzy w białych marynarkach serwowali zestaw z krewetek, filet z ryby o nazwie sola z migdałami lub mięso z rusztu po londyńsku, sałatę z vinaigrette, małe gotowane ziemniaki, kawę, i cytrynowy lub malinowy sorbet. (CIA była dumna ze swych gentlemanских manier – w przeciwieństwie do istoty swych operacji).

Kiedy stół został opróżniony, Bill Stalk podeszedł do drzwi i przekręcił zamek. – Koniak? – zapytał. McCaw skorzystał z oferty, inni podziękowali.

Stalk wrócił do stołu, wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki mały notatnik i otworzył go na stronie, na której widniało sześć krótkich linijek, każda z kolejnym numerem. Z tej samej kieszonki wyciągnął automatyczny ołówek, wcisnął guziczek i powiedział: – Numer jeden. Doktor Kalmani kontynuuje niektóre prace z programu o kryptonimie MKULTRA, do którego tak bardzo się przyczyniłeś, Chester.

Sutherland zmienił ułożenie nóg i przytaknął. – Jeśli można, napiłbym się teraz koniaku.

Stalk podał mu alkohol i powrócił do swojego notatnika. – Oczywiście, zawęziliśmy zakres naszych eksperymentów, ale zapewne wyjdzie to tylko temu zadaniu na dobre. Publiczna krytyka, której poddano ten program, spowodowała przewartościowanie niektórych jego elementów, co, pragnąłbym dodać, nie stanowi pod żadnym względem krytyki twojego w nim udziału, Chester.

– Rozumiem.

– Był to wówczas moment, kiedy należało sprawdzać każdą możliwą furtkę. Pominięcie takiej sfery możliwości stanowiłoby ogromną stratę. Teraz, kiedy publiczne zainteresowanie tym programem nieco osłabło, zarzucenie ustaleń z poprzednich prac byłoby co najmniej niestosowne. Czy zgadzasz się z tą opinią, Chester?

Przytaknął.

Tak naprawdę Sutherland myślał sobie, jak pięknie byłoby, gdyby się tu w ogóle nie znajdował. Nie bardzo rozumiał, dlaczego wezwano go na to spotkanie. Tydzień temu spotkał się z prezydentem Jorgensem, z którym przedyskutowano szczegółowo kontynuację programu badawczego. Obecnie to nie była już jego sprawa. Od sześciu lat nie miał nic wspólnego z badaniami prowadzonymi przez CIA.

W czasie, kiedy go zwerbowano, miało to jeszcze jakiś sens. Jego zainteresowanie medycyną poszło w tym samym, co u wielu z jego kolegów, kierunku – prowadzenia badań. Tu istniały największe możliwości i łatwość zdobycia funduszy. Imponowało mu, kiedy zwróciła się do niego CIA, i przez osiem lat część swego czasu poświęcił programowi pod nazwą MKULTRA, supertajnemu zadaniu, w którym badano wpływ narkotyków i hipnozy na efektywną kontrolę zachowań i mózgu. Hipnoza stanowiła jego specjalność, jakkolwiek uczestniczył także w wielu badaniach farmakologicznych. Dostał od CIA wolną rękę; pieniądze nie stanowiły żadnego problemu. Chodziło o bezpieczeństwo narodowe, przynajmniej tak mu powiedziano.

Ale właśnie wtedy szperacze z gazet wykryli stosowanie narkotyków wobec nieświadomych tego pacjentów. Napisano nawet kilka książek, które w większym jeszcze stopniu udostępniły szerokiej publiczności założenia programu. Rodziny osób, które zmarły w trakcie badań eksperymentalnych, wytoczyły rządowi sprawy przed sądem. Program natychmiast został wycofany, lekarze w nim uczestniczący cichaczem powrócili do swych praktyk prywatnych, a ich nazwiska usunięto z dokumentów, które musiano przedstawić zgodnie z Ustawą o Dostępie do Informacji.

Kiedy to wszystko nastąpiło, Sutherland odetchnął z ulgą. Uwielbiał badania, ale konieczność osiągnięcia wyników zaczęła mu przeszkadzać w pracy zawodowej i prywatnym

życiu. Przede wszystkim nie życzył sobie, by o jego udziale w programie rządowym dowiedziała się opinia publiczna. Wszystko jedno, czy to kwestia bezpieczeństwa narodowego, czy nie, jest w tym coś śmierzącego, pomyślał.

Bill Stalk przeszedł do punktu numer dwa ze swego notatnika. Sutherland słuchał cierpliwie, zmuszając umysł do koncentracji na wypowiedzi dyrektora najbardziej sekretne działu CIA, który w końcu omówił wszystkie sześć punktów.

– Zdaje się, że udało wam się zbudować solidny program badawczy oparty na dawnych doświadczeniach – stwierdził Sutherland. – Życzę wszystkiego najlepszego.

– Dzięki tobie, Chester, i ludziom twego pokroju, mamy fundamenty, na których możemy budować. Ślepe zaułki same się rozjaśniły, co pozwala nam zwrócić się ku możliwościom, które zaowocują lepszymi rezultatami.

– Ludzie nie rozumieją konieczności takich badań – stwierdził doktor Kalmani. – Przyszłość wolnego świata zależy od tego, czy będziemy awangardą w zakresie możliwości kontrolowania ludzkich zachowań.

Stalk opowiedział dowcip, z którego wszyscy uprzejmie się zaśmiali. McCaw zapalił cygaro i z zadowoleniem wydmuchiwał dym. Sutherland zerknął na zegarek. Czas, by opuścić to towarzystwo.

– Czy któryś z was nie zechciałby postrzelać do rzutków? – zapytał Stalk. – Na trzecią mam zarezerwowaną strzelnicę.

– Ja muszę wracać – powiedział Sutherland. – Mam późnym popołudniem pacjentów.

– Za ciężko pracujesz, Chester.

– To przekleństwo mojego protestanckiego pochodzenia. Jeśli już omówiliśmy wszystko, chciałbym odejść. Dziękuję za wprowadzenie mnie w wasze przyszłe plany. Nie widzę w nich swojego bezpośredniego udziału, ale dziękuję, że, jako byłego współpracownika, zechcieliście mnie o nich poinformować. Doktorze Kalmani, miło mi było pana poznać.

– I mnie pana, doktorze Sutherland. Mam nadzieję, że będziemy się w przyszłości widywać częściej.

Bill Stalk podniósł się, uściśnął dłoń Sutherlanda i powiedział ścisłym głosem: – Chester, czy mógłbyś na moment wejść do mojego gabinetu?

Sutherland spojrzał na pozostałych. Naprawdę nie miał już czasu, ale nie wypadało odmówić prośbie dyrektora. – Tak, oczywiście – odpowiedział.

Gabinet Stalka mieścił się w rogu budynku. Był bardzo surowo urządzone: zwykle biurko i półka na książki z oprawnymi w skórę dziełami klasyków.

- Naprawdę muszę już iść – powiedział Sutherland.
- Wiem, Chester, ale to, że cię tu poprosiłem, ma niewiele wspólnego z naszą rozmową przy *lunchu*.
- Domyśliłem się.
- Byłem tego pewien. Wśród ekspertów pracujących nad tym programem miałeś najlepszy instynkt.
- Miłe, co mówisz, ale będę szczerzy, Bill – jestem bardzo zadowolony, że już w tym wszystkim nie uczestniczę. Po co mnie tu wezwwał? Czy jest jakiś problem, który mnie dotyczy? – Spodziewał się, jaka będzie odpowiedź, ale chciał to od niego usłyszeć.
- Bezpieczeństwo, Chester, o to chodziło i chodzi. Kontynuacja programu zależy od utrzymania wszystkiego w tajemnicy. Oczywiście, musieliśmy niektóre rzeczy ujawnić zgodnie z Ustawą o Dostępie do Informacji. Wiesz przecież, że nie mieliśmy żadnego wyboru, ale wyczyściliśmy dokumenty najlepiej, jak się dało. Otrzymałem informację od... powiedzmy, z jakiegoś wysoko postawionego i wiarygodnego źródła, że w nowym łańcuszku może być słabe ogniwo... i że tym ogniwem możesz być właśnie ty.
- Ze względu na mojego syna.
- Dokładnie. To kolejna rzecz, którą zawsze u ciebie podziwiałem, że potrafisz jednym cięciem dostać się do szpiku kości. – Zachmurzył się i odchrząknął. – Chester, istnieje uzasadniona obawa o bezpieczeństwo twoich dokumentów.
- Dlaczego?
- Ponieważ niektórzy członkowie twojej najbliższej...
- Rodziny?
- Tak, oraz inni, mogą mieć w nie wgląd i praktycznie mogliby skompromitować nasze obecne działania.
- Ale mój syn nie żyje, sir.
- A czy to on miał dostęp do nich?
- Do czego?
- Dokumentów na temat MKULTRA.
- Nie było żadnych dokumentów.
- Nie tak mi to przekazano.
- A kto ci podał tę inną wersję?
- Pewne wiarygodne źródło.
- Ja jestem najbardziej wiarygodnym źródłem.
- Niewątpliwie, Chester. Kiedy usłyszałem te domniemania na temat twojego syna,

byłem absolutnie zszokowany. Kiedyś go przecież poznałem i wywarł na mnie swą inteligencją olbrzymie wrażenie. Był synem, z którego ojciec miał prawo być dumny. Czułbym się szczęśliwy, gdybym sam miał takiego...

Sutherland ledwie się powstrzymał przed ostrą reakcją. Miał wybuchnąć, powiedział: – Śmierć Clarence’a stanowi tragiczną stratę dla wszystkich jego bliskich, i usiłujemy się w jakiś sposób pogodzić z tym faktem. Jeśli to już wszystko, Bill, chciałbym wrócić do swojego domu i swojej rodziny.

Stalk wyszedł zza biurka i objął Sutherlanda ramieniem. – Chester, przepraszam, jeśli poruszyłem zbyt drażliwy temat. Nie ma żadnych powodów, by robić coś takiego, bez względu na sprawę bezpieczeństwa narodowego. Ale mam obowiązek uchronić nas przed słabymi punktami. Jestem pewien, że to rozumiesz.

– Tak, oczywiście. Dziękuję za *lunch*, Bill, do zobaczenia. Stalk przycisnął guzik na swoim biurku, a następnie odprowadził Sutherlanda do drzwi, nadal obejmując go ramieniem. – Wiesz, Chester – powiedział – zdaję sobie sprawę, że kiedyś już o tym mówiliśmy i obiecuję ci, że to będzie moje ostatnie pytanie na ten temat. Czy jesteś absolutnie pewien, że nie masz u siebie żadnych dokumentów na temat MKULTRA?

Sutherland trzymał już rękę na gałce od drzwi, którą właśnie przekreślił. Spojrzał Stalkowi w oczy i powiedział dobitnie, choć cichym głosem: – Tak, jestem pewien. Baw się dobrze na strzelnicy.

ROZDZIAŁ 17

Ośmioro z dziewięciorga sędziów Sądu Najwyższego zasiadło w głównej sali posiedzeń. Brakowało Temple'a Conovera. Zadzwoił wcześniej, że jest chory, ale obiecał pojawić się później, jeszcze tego samego dnia.

Jonathan Poulson przytoczył swoje argumenty za stanem Illinois w sprawie *Nidel kontra Illinois*. Wiele z tego, co powiedział, zostało wcześniej, na początku tygodnia, przedstawione w jego długim memorandum. Było to typowe Poulsonowskie memo, długie i dywagacyjne, rozwlekłe, z wieloma powtórzeniami, pozbawione jasności myśli i stylu. Przynajmniej tak postrzegają jego pisemne oświadczenia większość aplikantów, a i sędziowie w zasadzie podzielali tę opinię.

Niektórych sędziów najbardziej irytowało jednak podkreślanie w memorandum potrzeby wydania jednomyślnego werdyktu przez Sąd, tak by sądom niższej instancji w całym kraju przekazać jasne i oczywiste przesłanie na temat aborcji. Poulson zdawał się tym razem sugerować, że rzeczą mniej istotną są opinie poszczególnych sędziów o faktach przedstawionych w sprawie *Nidel kontra Illinois*, natomiast najważniejsze jest to, by orzeczenie odzwierciedlało antyaborcyjne nastawienie rządu, które z kolei stanowiło odbicie moralności całego narodu. – To przecież nonsens – jak to ujął jeden z sędziów, mówiąc do swych aplikantów. – Jeśli istnieją sprawy, co do których w ogóle nie można uzyskać jednomyślności, to z pewnością ta właśnie jest jedną z nich.

Kiedy Poulson zakończył przedstawianie swoich argumentów na posiedzeniu, przypadła kolej na wypowiedź seniora wśród pozostałych. Ponieważ Conover był nieobecny, przyszedł czas na następnego w hierarchii. Następnie sędziowie wyrazili swoje poglądy sformułowane na podstawie zebranego w aktach materiału i argumentów usłyszanych w sądzie.

– Nie rozumiem, dlaczego nie zajmujemy się tą sprawą od czysto prawnej strony – stwierdziła sędzia Tilling-Masters. – Jeśli intencją członków Sądu Najwyższego jest istotne i wiążące rozstrzygnięcie kwestii aborcji z punktu widzenia prawa, filozofii i moralności, to *Nidel kontra Illinois* nie jest absolutnie przypadkiem, na którym można by taki werdykt oprzeć. Mówiłam to od samego początku. I dlatego głosowałam przeciw przyjmowaniu tej sprawy do rozpatrzenia.

– Zgadzam się – powiedział Morgan Childs ze swojego miejsca przy drzwiach. – Zakres tej sprawy jest zbyt wąski. Przy jej rozpatrywaniu każe się nam decydować, czy rząd

federalny ma prawo nakazywać stanowi, co ma robić z pieniędzmi przeznaczonymi na opiekę zdrowotną. Ale przecież chodzi tu o fundusze stanowe, a nie federalne. – Wziął otwarte na odpowiednich stronach księgi i zaczął cytować inne przypadki, które jego zdaniem łączyły się ze sporem *Nidel kontra Illinois*. – Jestem przekonany, że stan Illinois ma prawo sam decydować o sposobie wydawania funduszy na służbę zdrowia. Oczywiście, jeżeli kwestionowane są prawa jednostki, to winien się tu znaleźć ten właśnie element, ale sprawa nam przedstawiona nie wydaje się go zawierać.

Poulson entuzjastycznie podchwycił ten wątek i powiedział: – Czy możemy dokonać wstępnego głosowania?

Przeszli wokół stołu, zaczynając od szefa. Wynik brzmiał cztery do czterech.

– Przykro mi, ale nie mogę tego zaakceptować – stwierdził Poulson. – Być może istnieją dodatkowe przesłanki, które moglibyśmy rozważyć powtórnie. – Znowu zaczął przedstawiać swoje argumenty za Illinois, kiedy jeden z sędziów, szczupły intelektualista o nazwisku Ronald Fine, drugi po Temple’u Conoverze w grupie seniorów, który w kwestiach społecznych często podobnie jak on głosował, przerwał szefowi. – Panie przewodniczący – powiedział cichym, zrównoważonym głosem, w którym pobrzmiwał południowy akcent – uważam, że dokonaliśmy wstępnego głosowania w tej sprawie. W związku z wynikiem, głos sędziego Conovera będzie miał znaczenie decydujące, i jestem przekonany, że... cóż, powiedzmy, że wszyscy możemy się spodziewać, po której stronie opowie się sędzia senior.

Poulson zdawał sobie sprawę, że w obu kwestiach Fine ma całkowitą rację. A jednak nie chciał zakończyć posiedzenia będąc we frakcji przegrywającej.

– Niech mi będzie wolno zatelefonować do sędziego Conovera – powiedział Fine – i poinformować go o wyniku głosowania.

– Proszę – powiedział Poulson. Czuł, jak ogarnia go uczucie niepokoju; najchętniej zaraz powróciłby do zacisza swojego gabinetu.

W pomieszczeniu panowała zupełna cisza, kiedy Fine prosił o połączenie z domem Conovera. – Tak, panie sędzio, tak właśnie wygląda wynik głosowania... Słucham?... Oczywiście, przekażę tę informację pozostałym... Chwileczkę, chce z panem rozmawiać sędzia Poulson.

Podał słuchawkę Poulsonowi. – Temple, jak się czujesz?... Lepiej? To dobra wiadomość. Rozumiem, że głosujesz za Nidel... Tak, rozumiem. Chciałbym z tobą porozmawiać, jeśli uda ci się przyjechać po południu... Tak, dziękuję, ty też.

– Czyli pięć do czterech – mruknął Childs – za powódką. Coś mi się zdaje, że wcale nie taki będzie ostateczny wynik.

– Przeważnie tak bywa – powiedział Augustus Smith, jedyny ciemnoskóry sędzia. Nazywany przez przyjaciół „Gus”, był najbardziej niefrasobliwy z całej dziewiątki: błyskotliwy i skory do lekkiego dowcipu. – Jeśli Temple będzie uzasadniał stanowisko większości – powiedział – to, jak znam życie, ktoś natychmiast dostrzeże argumenty strony przeciwnej. Czy powiedział, że sam napisze opinię większości? – spytał Fine’a.

– Nie, ale można się domyślać, że zechce to zrobić.

Wedle sądowych zasad sędzia senior reprezentujący większość miał prawo albo sam napisać wstępną opinię, albo wyznaczyć do tego celu innego sędziego z tej grupy. Gdyby przewodniczący Poulson był w grupie reprezentującej stanowisko większości, jemu przypadłoby to prawo. Obecnie jednak był w mniejszości, a więc każdy z sędziów w tej grupie mógł napisać osobną opinię, odmienną od werdyktu ogółu.

W drodze do gabinetu Poulson powstrzymywał złość. Zdawał sobie świetnie sprawę, że w świetle wyniku głosowania jego wołanie o jednomyślność okazało się daremne. Nie dość, że Sąd Poulsona nie zdoła mocnym, jednolitym głosem przekazać całemu narodowi stanowiska odzwierciedlającego obietnicę prezydenta Jorgensa z kampanii wyborczej o przywróceniu zasad moralności, to jeszcze temu apelowi zadano bolesny cios, co stanowi istotne zwycięstwo społecznych libertynów, których nie cierpiał on sam i Jorgens.

Usiadł w skórzanym fotelu z wysokim oparciem i wdychał w siebie spokój gabinetu. Początkowy gniew i niepokój nieco zelzały. Przecież to dopiero początek batalii. Jeśli kiedykolwiek zachodziła konieczność, by przewodniczący namawiał w kularach swych kolegów do czegokolwiek, to właśnie teraz. Przypomniawszy sobie komentarz Augustusa Smitha i pomyślał, jak był celny. Temple Conover sformułuje zbyt śmiało stanowisko większości. Jak zwykle, poniesie go. Jego umiłowanie reform społecznych, w połączeniu z wiekiem i wrodzonym wybuchowym usposobieniem, praktycznie załatwi sprawę tak, że bardziej umiarkowani sędziowie, którzy głosowali za powódką, mogą ostatecznie zmienić końcowy werdykt.

Poulson umówił się na *lunch* w Narodowym Klubie Prawnika ze starym znajomym ze studiów prawniczych oraz jego synem, także prawnikiem. Młody człowiek zadawał pytania, które sprawiły Poulsonowi radość. Odpowiedział mu, że z wszystkich instytucji amerykańskich jedynie Sąd Najwyższy był całkowicie niezależny od politycznych rozgrywek i nacisków. Jest to zespół, stwierdził, złożony z dziewięciu jednostek, zróżnicowanych pod względem pochodzenia, wykształcenia i praktyki, i dzięki temu może interpretować Konstytucję niezależnie od danej osoby czy grupy nacisku. Zakończył czymś w rodzaju krótkiego przemówienia, ale kiedy przerwał na moment, by przekonać się, czy młody

człowiek słucha go z uwagą, czuł, jak ogarnia go prawdziwa duma. W końcu zawsze czcił świętość i niezależność prawa i właśnie dlatego ciężko pracował całymi latami, by zdobyć swe pierwsze sędziowskie mianowanie i uciec od wszystkich nacisków, przepychanek, utarczek i znajomości.

Młody człowiek zapytał o opinię Poulsona na temat sekretności Sądu. Sformułował to pytanie bardzo oględnie, tak by nie czynić aluzji do krytyki Sądu Poulsona, przedstawionej niedawno w środkach masowego przekazu, które uznały go za najbardziej sekretny w historii.

Poulson uśmiechnął się: – Odpowiem na to pytanie cytując mojego poprzednika, przewodniczącego Warrena Burgera. Nigdy nie zapomnę mowy, którą wygłosił na Konferencji Prawniczej w Ohio jakieś dziesięć miesięcy przed jego zaprzysiężeniem na prezesa Sądu Najwyższego. Nie jest to stuprocentowo dokładne przytoczenie, ale na pewno bliskie oryginału. Sędzia Burger powiedział: „Sąd, który jest szczyblem ostatnim, od którego nie ma już odwołania, wymaga więcej uwagi i kontroli niż jakikolwiek inny. Władza, od której nie ma odwołania, może łącznie prowadzić do samouwielbienia i odrzucenia wszelkiej surowej samokontroli”. Te słowa sumują także moje odczucia na ten temat. „W kraju takim jak nasz, żadna instytucja publiczna, ani też ludzie nią kierujący, nie mogą stać ponad publiczną debatą”.

Ojciec młodego prawnika ledwie powstrzymał się od uśmiechu. Jego przyjaciel, obecnie przewodniczący Poulson, w rzeczywistości zasunął tak doładnie kurtynę zasłaniającą wszelkie działania Sądu, jak nikt dotąd w historii. Wrócił myślami do czasów, kiedy obaj robili wszystko, by jakoś wystartować. Ich wspólny znajomy określił Poulsona: „najbardziej paranoiczny facet, jakiego widziałem”. Kiedy to określenie dotarło do Poulsona, ten uśmiechnął się i powiedział: – „To, że się jest paranoikiem, nie oznacza jeszcze, że nie próbują cię dopaść”.

– No cóż, muszę już wracać – stwierdził Poulson. – Powodzenia, młody człowieku, w pańskiej karierze zawodowej. Gdybym mógł cokolwiek dla pana zrobić, proszę śmiało mi o tym powiedzieć. Pański ojciec i ja znamy się od prastarych czasów.

W drodze do wyjścia kolega zapytał Poulsona, jakie ważniejsze sprawy rozpatruje obecnie Sąd. Poulson wymienił pospiesznie kilka, na końcu *Nidel kontra Illinois*.

– Jak się przedstawia ta ostatnia? – spytał przyjaciel.

Poulson tylko się zaśmiał. – Przecież wiesz, jak to jest, Harold. Sąd najbardziej potrzebuje zachowania tajemnicy w przypadku głosowania nad sporami. Będziesz musiał przeczytać wynik w gazecie, jak wszyscy inni.

W drodze powrotnej do Sądu Poulson kazał się szoferowi zatrzymać przy aptece, gdzie

kupił buteleczkę aspiryny i węgiel w tabletkach. Leki miały pomóc w różnych przypadłościach. Po powrocie do gabinetu zażył dwie tabletki aspiryny na ból głowy, który zaczął mu dokuczać w porze lunchu, a potem poinstruował sekretarkę, żeby nikt mu nie przeszkadzał, usiadł w fotelu i podniósł słuchawkę specjalnego telefonu. Wykręcił numer. Po pierwszym sygnale podniesiono słuchawkę z drugiej strony. – Biuro Ministerstwa Sprawiedliwości – powiedział kobiecie głos.

– Halo, mówi przewodniczący Sądu Najwyższego, Poulson. Czy mogę rozmawiać z panem Fletcherem?

– Proszę moment poczekać, panie przewodniczący.

Chwilę później odezwał się minister sprawiedliwości Walter Fletcher. – Dzień dobry, panie sędzio przewodniczący – powiedział. – Czym mogę służyć?

– To nic takiego, Walter. Pomyślałem sobie tylko, że chyba będzie lepiej, jeśli zatelefonuję, by ci powiedzieć, że wstępne głosowanie nad sprawą o aborcję nie wypadło najlepiej.

Po drugiej stronie zapadła znacząca cisza.

– Oczywiście, nie poddaję się – ciągnął Poulson. – Wszystko jeszcze może zmienić się na lepsze, osobiście w tak drażliwym przypadku jak ten. Wcale nie byłbym zdziwiony, gdyby w końcowym głosowaniu okazało się, że prawie jednomyślnie jesteśmy za stanem Illinois, ale trzeba trochę cierpliwości.

– Ale w tej chwili sprawa nie wygląda najlepiej. Czy dobrze rozumiem?

Poulson usiłował zbagatelizować problem. – Nie ma się co niepokoić, Walter. Możesz powiedzieć prezydentowi, że wszystko jest pod kontrolą.

– Czy mam mu to powiedzieć z całkowitym przekonaniem, panie przewodniczący?

– Absolutnie tak. (Cóż, możesz mu tak powiedzieć, ale to wcale nie taki znów pewnik).

– Dobrze, dziękuję za telefon. A skoro już o tym mowa, gdyby prezydent chciał z tobą to przedyskutować, czy będziesz wolny dziś wieczorem lub jutro rano?

– Znajdę na pewno czas w momencie, kiedy będzie mnie potrzebował, Walter.

Tak właśnie musi postąpić w dzisiejszych trudnych czasach, rozważał. Jeśli naród pod przewodnictwem prezydenta Jorgensa ma wrócić do swej historycznej świetności i odzyskać prestiż – a on nie miał najmniejszych wątpliwości w tych kwestiach – to konieczne są definitywne, wręcz śmiałe kroki ze strony każdej instytucji państwowej, by zmiany te mogły nastąpić.

– „Prawo przeto jest magicznym lustrem, którego odbicie postrzegamy nie tylko w

naszym życiu, ale w życiu wszystkich żyjących dotąd ludzi” – powiedział Poulson na głos, cytując Olivera Wendella Holmesa juniora, i poczuł, jak uczucie ulgi wypiera jego nastrój powątpiewania. Nalał sobie kieliszek wódki i poważnie zwrócił się do siebie samego: – Zostałeś mianowany przewodniczącym Sądu Najwyższego przez prezydenta Stanów Zjednoczonych – powiedział – i, do diabła, zrobisz to, co właściwe dla prezydenta, dla Sądu, i dla narodu amerykańskiego. Bez względu na wszystko.

ROZDZIAŁ 18

– Kto taki? – zapytał Teller sierżanta pełniącego w tym dniu służbę przy wejściu.

– Mrs. Conover. Chce się z panem widzieć, mówi, że to pilne.

– Poślij ją na górę.

Nie mógł sobie wyobrazić, by młoda żona sędziego seniora mogła przybyć do komendy w jakimkolwiek innym celu niż w związku z morderstwem Sutherlanda. No i bardzo dobrze. Właśnie wrócił ze spotkania o dziewiątej z Dorianem Marsem, które wcale nie przebiegło w atmosferze wzajemnego zrozumienia.

Do gabinetu Tellera wprowadzono Cecily Conover.

– Przepraszam za tak niespodziewaną wizytę – powiedziała – ale to nie mogło czekać.

– Proszę usiąść, Mrs. Conover. A teraz proszę mi powiedzieć, co nie mogło czekać?

Założyła nogę na nogę, poprawiła blond grzywkę. Teller nie mógł nie zareagować na jej powabność. Była naturalnie atrakcyjną, ponętą kobietą, której zdawało się, że trzeba jeszcze wspomóc to, co dała natura. Do tego sprawiała wrażenie nerwowej: udaje czy jest naprawdę zdenerwowana? – zastanawiał się.

– Nie jestem pewna, czy powinnam była tu przyjść – powiedziała – ale nie bardzo wiedziałam, co robić.

Pochylił się w jej stronę i powiedział: – Cokolwiek panią tutaj sprowadza, Mrs. Conover, jestem pewien, że możemy o tym przynajmniej porozmawiać.

– Jeszcze nigdy w życiu nie czułam się tak zagubiona – powiedziała, poprawiając się na krześle, a spódnica podciągnęła się jej wyżej na udach.

– Jak się ma pani mąż?

– Dobrze, zupełnie dobrze. To zdumiewający człowiek, poruczniku Teller, ale z pewnością dobrze pan o tym wie. Każdy Amerykanin zna wkład mojego męża w prawo i... sprawiedliwość.

– Prawda. Zupełnie nie wiem, jak on to wszystko robi. Ktoś mi mówił parę dni temu, że napisał dwadzieścia książek. Spotykam także jego artykuły w magazynach. Mam tylko nadzieję, że będę choć w połowie tak aktywny, kiedy dojdę do jego...

Był to uśmiech, który miał go uspokoić, że nie popełnił znów tak wielkiej gafy. – Tak, mój mąż jest w dość podeszłym wieku, ma swoje fizyczne problemy, ale ani na moment nie zwalnia tempa. Nadal ma cechy prawdziwie męskie.

Zrobiło mu się głupio, że powiedziała cokolwiek o męskości. Dlaczego w ogóle

miałaby mówić o czymś tak intymnym do zupełnie obcego człowieka? Zmienił więc temat i spytał, czy sprawia jej przyjemność bycie osobą publiczną.

– Nie, nienawidzę tego. Jestem osobą skromną i bardzo prywatną.

– Z pewnością.

Zaczynał mieć dość tych podchodów. Chciał, żeby przeszła do sedna. A kiedy nadal tego nie robiła, po kilku nic nie znaczących zdaniach, zapytał ją wprost: – Po co pani tutaj przyszła, Mrs. Conover? Czy to ma może przypadkiem coś wspólnego z morderstwem Sutherlanda?

Zacisnęła usta i odwróciła od niego wzrok.

– Jeśli ma pani na ten temat coś do powiedzenia, jeśli to może wnieść coś do sprawy, to proszę śmiało. Szczerze mówiąc, potrzebuję pomocy, nawet jeśli nie jest to dla pani łatwe. Możemy tu rozmawiać otwarcie i prywatnie.

Spojrzała na niego. – Naprawdę? To znaczy, czy mogę z panem porozmawiać i mieć pewność, że wszystko pozostanie w tym pokoju?

Teller rozparł się na krześle i zapalił korzennego. – To zależy – powiedział, a niebieski dym z jego papierosa wił się smużką ku sufitowi. – Jeśli chce mi pani wyznać coś prywatnie, zapewniam, że pozostanie to w tym pokoju, ale jeśli ma to związek z dochodzeniem, wówczas już obiecywać nie mogę. Chyba będzie mi pani musiała po prostu zaufać.

– To zabawne, ale ufam panu. Ma pan to coś w twarzy.

– Dziękuję pani. (Co takiego, do diabła, mam w tej twarzy?)

– Zależy mi na tym, jak pan, i inni, to odbiorą. W końcu od żony oczekuje się lojalności wobec męża, na dobre i na złe. Przecież żona nawet nie może świadczyć przeciw mężowi przed sądem, prawda?

– To znaczy, nie można jej do tego zmusić. Ale może, jeśli chce.

– Więc rozumie pan teraz mój dylemat.

– Nie, nie rozumiem. Niczego mi pani, jak dotąd, nie powiedziała.

– Och, przepraszam. – Wprawdzie nie potrafił dojrzeć łez, ale wytarła kącik oka maleńką, haftowaną chusteczką. – No więc dobrze, detektywie Teller. Proszę. – Sięgnęła do swej przesadnie wielkiej torebki, wyjęła papierową torbę i wręczyła mu ją. – Proszę bardzo, niech pan zajrzy do środka.

Wyciągnął z kieszeni chusteczkę, sięgnął do torby i wyjął z niej Charter Arms Pathfinder, pistolet kalibru.22 z lufą długości siedemdziesięciu sześciu milimetrów.

– To pani własność? – zapytał.

– Mojego męża.

– I?

Spuściła wzrok na podolek. – To może być pistolet, którego użyto do zamordowania Clarence’a. Gazety pisały, że to właśnie ten typ.

Teller zważył pistolet w rękę i przyjrzał mu się dokładniej. – Bardzo łatwo ustalić, czy to broń mordercy.

– Tak, i pan to może zrobić, prawda?

– Prawda. Ale zanim wkroczy w to technika, Mrs. Conover, chciałbym się dowiedzieć, dlaczego sądzi pani, że właśnie tej broni użyto w morderstwie Clarence’a Sutherlanda?

– Już mówiłam, pasuje do opisu w gazetach.

– Podobnie jak tysiące innych pistoletów kalibru 22. Gdyby każdy po przeczytaniu tego opisu chciał nam przynieść taki pistolet, nie starczyłoby nam magazynów.

– Ale nie każdy pracuje w Sądzie Najwyższym, ani nie każdy znał Clarence’a i nie każdy miał powód, by... – zatrzymała się w pół słowa.

– Czy chce pani powiedzieć, że jej mąż użył tej broni, by zabić Clarence’a Sutherlanda?

Żachnęła się, szeroko otworzyła oczy i potrząsnęła głową przecząco. – Nie, nic takiego absolutnie nie sugeruję. Trzymał ten pistolet w swoim gabinecie. Sądzę, że ktoś sobie go wziął i zabił Clarence’a.

– Jeśli to broń, którą dokonano zabójstwa.

– No więc... pan może to ustalić, prawda?

Teller wzruszył ramionami. – A skąd pani wiedziała, że mąż ma tę broń, Mrs. Conover?

– Ja... Sędzia Conover i ja mieliśmy raz małą sprzeczkę, takie głupie nieporozumienie. Machnął mi tym przed nosem. Oczywiście, wszystko trwało bardzo krótko.

– Kłóciliście się w jego gabinecie?

– Tak.

– I on machnął pani tym przed nosem?

– Tak, to było takie głupie, po prostu...

– Być może życie trochę mnie wyprzedziło, Mrs. Conover, ale o ile ja się na tym znam, to wygrażanie żonie pistoletem wygląda trochę poważniej niż głupia spreczka.

Tupnęła nogą. – Niepotrzebnie w ogóle o tym wspomniałam. Boże... Myślałam, że słusznie robię przynosząc tu ten pistolet. Chciałam tylko wam pomóc...

– Czy ta spreczka z mężem miała przypadkiem coś wspólnego z Clarence’em Sutherlandem?

– Oczywiście, że nie. Nawet nie pamiętam, o co wtedy chodziło.

Teller obrzucił ją twardym wzrokiem. – W porządku, każę go sprawdzić speccom od balistyki.

– Obawiam się... że jest coś jeszcze...

– Sądzi pani, że mąż byłby w stanie panią zabić?

– On... potrafi być bardzo wybuchowy. Jest bardzo zazdrosny, wyobraża sobie dziwne rzeczy...

– Czy był zazdrosny o Clarence'a Sutherlanda?

Znów otworzyła szeroko oczy i znów wytarła ich kąciki chusteczką. – On jest zazdrosny o wszystkich.

– Teraz zanoszę ten pistolet do działu balistyki, Mrs. Conover. Jeśli chce pani poczekać, proszę bardzo, ale nie musi pani tu zostać.

– Chyba chciałabym sobie pójść – powiedziała. – Ale bardzo proszę, o ile to jest narzędzie zabójcy, o powiadomienie mnie w pierwszej kolejności.

– Zobaczymy.

Pomógł jej włożyć płaszcz i otworzył przed nią drzwi. – Bardzo odważnie pani postąpiła przychodząc tutaj, dziękuję – powiedział, wcale tak nie uważając, ale czuł, że powinien to powiedzieć.

– Po prostu musiałam – odpowiedziała. – Dziękuję, że potraktował mnie pan tak przyzwoicie...

Patrzył za nią w drodze do windy, a potem poszedł do laboratorium balistycznego, odszukał szefa i wręczył mu pistolet. – Sprawa Sutherlanda – powiedział – może być to...

Szef laboratorium przyszedł do gabinetu Tellera zaraz po wykonaniu testów. – To ten pistolet – powiedział. – Wszystko się zgadza. Kula pasuje jak ulał. Żadnych wątpliwości.

– Odciski?

– Częściowe. Może wystarczą do pewnej identyfikacji, a może i nie. Ale nie ma żadnych wątpliwości, że strzał został oddany z tej broni, Marty. Tym pistoletem zabito Sutherlanda.

Teller obrócił fotel i spojrzał przez okno na szary, mokry Waszyngton.

– Do kogo należy? – zapytał szef laboratorium.

– Do kogoś, do kogo wolałbym, żeby nie należał. Trzymaj język za zębami do czasu, aż będę miał okazję pogadać z Marssem. Nikomu ani słowa.

– Okay, Marty, ale pospiesz się. Ciężko takie rzeczy chociaż przez chwilę utrzymać w tajemnicy.

Dziesięć minut później Teller spotkał się z Dorianem Marsem. Opowiedział mu o wizycie Cecily Conover i o tym, jak wręczyła mu broń, którą dokonano zabójstwa. Mars słuchał, nie zmieniając wyrazu twarzy. Kiedy Teller skończył, Mars zapalił fajkę, zacisnął ustnik między zębami i powiedział: – Milczenie jest złotem, Marty.

– Tak słyszałem. Trzymamy na kłódkę.

– Zdecydowanie.

– Jak długo?

– Zaraz spróbuję się dostać do nadkomisarza. Przecież ten facet jest sędzią seniorem Sądu Najwyższego Stanów Zjednoczonych Ameryki...

– To, że jest właścicielem pistoletu, nie oznacza jeszcze, że go użył, Dorianie. Może użyła go ona. Sugerując, że to mąż... taki zazdrosny... w ten sposób odsuwa podejrzenie od siebie... w końcu, jest o parę lat świetlnych młodsza od niego. Może zaczął jej przeszkadzać. Może pyszna rola odgrywania żony pana sędziego sprawiła, że różyczka troszkę przywiedła?...

Mars odłożył fajkę na biurko i złapał za telefon. – Zadzwoń do ciebie później, Marty. Bądź gdzieś pod telefonem.

Kiedy Teller wychodził, słyszał, jak Mars wrzeszczy do słuchawki: – ...Nie obchodzi mnie, co robi, ani gdzie to robi, to nie może czekać, a jeśli pani mnie każe czekać, to podwyższy pani statystykę bezrobotnych!

ROZDZIAŁ 19

Susanna Pinscher zadzwoniła do Martina Tellera o trzeciej tego popołudnia.

– Obiecywałeś, że będziesz mnie informował o nowościach z twojej strony. Nie dotrzymałeś słowa.

– Nie wiem, o czym mówisz...

– A właśnie, że wiesz. Mówię o pistolecie, który wpadł ci prosto w ręce dzisiaj rano.

Przez moment nie mogłem w to uwierzyć. W końcu powiedział: – Niesamowite.

– Co się tak dziwisz? Sądziłeś, że coś tak ważnego można utrzymać w sekrecie?

– Kto ci powiedział?

– Nieważne, ktoś z Ministerstwa.

– A właśnie, że ważne, do diabła. Jeśli przeciek jest tutaj, to chcę go zatkać.

– Później. Najważniejsze, że masz broń, którą popełniono morderstwo. Co dalej?

– Właśnie to omawiamy. To nie jest taka sobie zwyczajna broń, Susanno. Ten pieprzony pistolet należy do sędziego Temple'a Conovera. Jakby jeszcze nie dość tego – jego własna żona przynosi go do komendy, czego takie sobie zwyczajne żony przeważnie nie robią.

– Czy możemy się spotkać?

– Jasne. Kiedy?

– Na drinka, kolację.

Właśnie około szóstej miał wychodzić, kiedy do pokoju wszedł Dorian Mars.

– Akurat wychodziłem – powiedział Teller.

– Zajmę ci tylko minutę, Marty. Słuchaj, po pierwsze, nadkomisarz i inne grube ryby chcą, żeby sprawę Conovera wyciszyć na parę dni.

– Pewnie i tak wie już o tym całe miasto – odpowiedział Teller. Nie wspomniał o swojej rozmowie z Susanną.

– Być może – powiedział Mars – ale chcę, żeby nam para nie uleciała z ust.

– Para z ust?... Dobrze. Naprawdę muszę pędzić.

– Jeszcze jedną minutkę, Marty. Wspomniałeś kiedyś, że współpracujesz z Ministerstwem Sprawiedliwości.

– Mam tam pewien kontakt.

– Może powinieneś znaleźć inny.

– Dlaczego?

– Pan Fama głosi, że Ministerstwo wpadło na jakiś ważny ślad w dochodzeniu.

– Jaki?

– Nie wiem, ale pierońsko bym chciał się dowiedzieć. Rozwiązanie tej sprawy pozostaje nadal w gestii Stołecznej Komendy Policji i niech mnie szlag trafi, ale nie pozwolę, żeby ci goście ze Sprawiedliwości podkradali nam robotę i jeszcze kazali nam się z tego cieszyć.

– Zobaczę, może uda mi się czegoś dowiedzieć.

– Poinformujesz mnie na rannym spotkaniu o dziewiątej.

– Postaram się.

Spotkał się z Susanną w „Coolbreeze’s”, pobliskim barze na Jedenastej Ulicy, gdzie zamówili włoskie specjalności dnia wypisane kredą na tablicy oraz butelkę czerwonego Corvo. Teller opowiedział jej o wizycie pani Cecily Conover. Kiedy skończył, zapytała, co Stołeczna Komenda zamierza z tym zrobić.

– Na razie nic. Trzeba będzie jeszcze raz przesłuchać Conovera, ale tymczasem wszyscy przygotowują się do otwartej konfrontacji i frontalnego ataku na sędziego seniora w związku z tym, że broń użyta przez mordercę należy do niego.

– Sądzę, że ludzie w Stołecznej Komendzie są strasznie naiwni – powiedziała.

– Dlaczego?

– Zapewniam cię, że do jutra w południe sprawa pistoletu znajdzie się na pierwszych stronach gazet. W Sprawiedliwości wiedzą już wszyscy i jestem pewna, że tak samo w Komendzie.

Teller przytaknął. – Masz rację, ale z pewnością nie wyjdzie to ode mnie. Porozmawiajmy sobie teraz o tobie i Sprawiedliwości. Miałaś pretensje przez telefon, że nie poinformowałem cię o tej historii z pistoletem. Przecież chyba rozumiesz, dlaczego nie?

Potrząsnęła głową i łyknęła wina. – Nie, nie rozumiem. Wedle umowy mieliśmy się dzielić informacjami. Poinformowanie mnie różni się jednak trochę od sprzedania wiadomości reporterowi „Washington Post”.

– Wiem, ale byłem w potrzasku. A skoro już mowa o dzieleniu się informacjami, na czym polega ten tak zwany wielki przełom dokonany przez Ministerstwo Sprawiedliwości?

Wzruszyła ramionami. – Jaki wielki przełom?

Teller pogroził jej wskazującym palcem. – Przestańmy się bawić, Susanno. Przecież wyznałem wszystko...

– Dopiero jak cię przycisnęłam.

– Nieważne. Powiedziałem ci wszystko o pistolecie Conovera. Teraz twoja kolej.

– Znalazłam coś, co jest chyba w lidze okręgowej w porównaniu z pistoletem. Dostałam do pomocy w dochodzeniu dwójkę młodych, inteligentnych stażystów. Kazałam im przejrzeć wszystko, co zostało kiedykolwiek napisane o osobach publicznych, którymi interesujemy się podczas śledztwa: Conoverze, Childsie, Poulsonie, doktorze Sutherlandzie, każdym, kto interesował dziennikarzy.

– Dlaczego?

– Bo szczerze mówiąc, nie bardzo wiedziałam, przy czym ich zatrudnić. Tak naprawdę, Marty, dla mnie wyglądało to wszystko na ślepy zaułek. Zazdroszczę ci, że broń mordercy tak po prostu wpadła ci w ręce.

Teller zagryzł wargi i rozlał resztkę wina do kieliszków. Z niechęcią musiał przyznać, że miała rację. Nie miał żadnych zasług w znalezieniu broni, nie mógł pochwalić się ani drobiazgowym poszukiwaniem, ani genialnością myślenia.

Kontynuowała: – W każdym razie, jeden z moich stażystów wpadł na intrygującą rzecz.

– Tak?

– Przewodniczący Poulson był swego czasu pacjentem doktora Chestera Sutherlanda. I co o tym sądzisz? – spytała.

– Człowiek ma prawo chodzić do lekarza, nawet jeśli to spec od głowy.

Wyglądała na zagniewaną. – A jeśli zamordowany syn tego psycha był aplikantem pacjenta, który, jak się akurat składa, jest przewodniczącym Sądu Najwyższego?

– Tak, to interesujące powiązanie...

– A co, jeśli Clarence Sutherland dzięki swojemu ojcu wiedział o kłopotach psychicznych Poulsona i w jakiś sposób go szantażował? Pamiętasz, jak opowiadałam ci o *lunchu* z Laurie Rawls, kiedy powiedziała, że nikt nie potrafi zrozumieć, dlaczego Clarence nie został po prostu wyrzucony? Nawet przy jego zdolnościach?

Teller powiedział: – A może Poulson zabił go, żeby mu przymknąć usta?

– Może.

– Jeśli tak, to ten dzieciak musiał być w posiadaniu dość kompromitujących informacji. Czy sądzisz, że Poulson to pederasta?

Potrząsnęła głową, a potem jakby zmieniła zdanie. – Zresztą, kto wie? Dziwniejsze rzeczy wyłaziły na światło dzienne. Ale przewodniczący Sądu Najwyższego o skłonnościach homoseksualnych – tego jednak naród nie strawi, nie mówiąc już o prezydencie, który go

mianował, prezydencie, który tak bardzo zalecał czystość moralną, prostolinijność i prawość, licząc w tym na publiczne poparcie przewodniczącego, co ten zresztą czynił...

Teller przytaknął. Nieprawdopodobne, ale tak samo sądzono na temat Watergate i idiotycznej Zatoki Świń... – Aha – powiedział Teller – kiedy wspomniałaś o Laurie Rawls, coś mi się przypomniało. Rozmawiałem z bliskim kumplem Clarence’a Sutherlanda, facetem o nazwisku Plum. Plum twierdzi, że Rawls była zakochana w Clarensie do szaleństwa, dzwoniła do niego o różnych wariackich porach, robiła mu sceny, kiedy przyjmował inne.

– To zdaje się pasować. Chcę się zobaczyć z nią jeszcze raz. Myślę, że uda mi się utrzymać z nią kontakt. Muszę ci wyznać, że ją lubię – i sprawiłoby mi ogromną przykrość, gdyby się okazało, że jest winna.

– Ależ proszę pani, w końcu prowadzi pani śledztwo w sprawie zabójstwa. Ja bym tam wziął cokolwiek i kogokolwiek, byle go tylko dopaść. Po paru latach w tym interesie człowiek staje się właśnie taki.

Zapłacił rachunek i wyszli na zewnątrz. – Jak się miewają twoje dzieciaki? – zapytał.

– Dobrze, a twoje?

– Też dobrze, choć wiadomości są trochę stare. Jednego na dobranoc?

– Okay.

– Zaproponowałbym swoje mieszkanie, ale sprzątaczką nie zaglądała do niego od sześciu miesięcy.

Wzięła go pod ramię. – Moja wpadła dziś rano.

Siedzieli przez kilka godzin w jej *living roomie*, rozmawiając o swoich rodzinach, wymieniając plotki o ludziach w Waszyngtonie i sprawach, w których brali udział.

W końcu ona ziewnęła. – Chyba na mnie już czas...

On przysunął się do niej, wziął ją w ramiona i pocałował, wpierw delikatnie, potem bardziej niecierpliwie. Upadła na miękkie poduszeczki ze sztruksu, jej ramiona na jego szyi, ich ciała ciasno ze sobą splecione...

Potem on powiedział: – Gdybym był trzpiotem, powiedziałbym zapewne coś błyskotliwego w stylu „Dzięki, było mi to bardzo potrzebne”. Natomiast to, co chciałbym powiedzieć, jeśli jesteś w stanie to ścierpieć, pani radco, brzmi tak: „Dzięki, jesteś prawdziwą kobietą”.

Uśmiechnęła się. – I ja też mówię „dziękuję”, Teller. I, nie będąc trzpiotką, powiem śmiało, że było mi to bardzo potrzebne... i sprawiło wielką przyjemność.

Kiedy wychodził z jej mieszkania o drugiej nad ranem, powiedział: – Coś mnie nurtuje po tej informacji, że Poulson był pacjentem Sutherlanda.

– Co takiego? – Miała teraz na sobie szkarłatną welurową podomkę i pantofle.

– Jak twoi stażyści wpadli na to, czytając stare gazety? Przecież takie informacje nie przedostają się do gazet.

Pocałowała go w policzek. – To proste, panie Teller. Jeden ze stażystów ma ojca, który jest właścicielem apteki odwiedzanej przez możnych i majątnych, łącznie z sędzią Poulsonem. Ten ostatni realizował tam recepty zapisane przez Sutherlanda. Zdradzę ci jeszcze jedną rewelację.

– Tak?

– Ktoś w rodzinie przewodniczącego cierpi na hemoroidy.

– Rozumiem. Dobranoc, Susanno.

– Dobranoc, Teller. Pchły na noc.

ROZDZIAŁ 20

Morgan Childs otrzymał pozwolenie na lądowanie na nowojorskim lotnisku Kennedy'ego. Wprowadził swój samolot w ciasny lewy skręt, podszedł do lądowania i łagodnie położył maszynę na pasie 21 – prawym. Zahamował, zjechał z pasa i doprowadził swego Piper Colta do rejonu wyznaczonego dla niewielkich samolotów.

Po załatwieniu spraw związanych z parkowaniem samolotu, poprosił dyspeczera o wezwanie taksówki. – Chciałbym złapać lot American o dziewiątej do San Francisco – powiedział.

– Czy pan sędzia Childs? – spytał dyspeczer.

– Tak.

– Z przyjemnością sam pana zawiozę, sir.

Dyspeczer, człek bardzo towarzyski, nie przestawał gadać przez całą drogę do stanowiska odprawy pasażerów linii American Airlines. Childs słuchał jednym uchem, myślami był raczej przy ostatnich wydarzeniach w sądzie oraz przyczynie swego wyjazdu na weekend do Kalifornii. Tego wieczoru miał wygłosić mowę na spotkaniu Sigma Delta Chi, zachodniego regionu, stowarzyszenia dziennikarzy, na temat wolności prasy. Pierwotnie odrzucił zaproszenie, ale tydzień przed datą spotkania zadzwonił do głównego organizatora.

Ten był zachwycony. – Będzie to dla nas wielki zaszczyt i miła niespodzianka dla naszych członków – powiedział.

Childs wszedł na pokład Boeinga 747 rękawem nr 3 i po drodze do swojego miejsca w pierwszej klasie zerknął na załogę. Trzyosobowy zespół był zajęty przygotowaniami do odlotu i Childs bardzo żałował, że miał być jednym z nich, zostanie przypięty do fotela jako zwykły pasażer. Nic go tak nie odprężało, jak zasiadanie przed kontrolkami samolotu w olbrzymim oceanie powietrza ponad ziemią, gdzie problemy codziennego życia zostają daleko w dole i tracą znaczenie z każdym metrem nabieranej wysokości. Mógł wprawdzie złapać połączenie z San Francisco bezpośrednio z Waszyngtonu, ale wolał lot z Nowego Jorku, ponieważ to dało mu możliwość spędzenia samotnie godziny w powietrzu.

– Dzień dobry, panie sędzio – zwrócił się do niego steward. – Oczekiwaliśmy pana na pokładzie.

– Dzień dobry. Wspaniały dzień na latanie.

– Tak, piękny. Czy mogę panu czymś służyć?

– Nie, dziękuję. Niczego mi nie trzeba.

Usiadł w fotelu, otworzył walizeczkę i wyjął z niej odręczny szkic mowy, którą miał wygłosić. Drzwi samolotu zamknięto i olbrzymia maszyna, z wyciem silników, odsuwała się od „rękawa”. Piętnaście minut później oderwała się od ziemi i rozpoczęła długą, drobiazgowo rozpisaną podróż na zachód.

Childs przed śniadaniem wypił Bloody Mary i nadal pracował nad przemówieniem, wyrzucając niektóre paragrafy i wstawiając nowe. Upewniwszy się, że zapiski nie zawierały żadnych odniesień do spraw w toku, odłożył notatki do walizeczki. Spojrzał przez okienko na panoramę dziesięć tysięcy metrów poniżej, a potem rzucił okiem na czytającego książkę pasażera po drugiej stronie przejścia. Obok niego leżał egzemplarz porannego wydania nowojorskiego „Timesa”. Pasażer zauważył spojrzenie Childsa i powiedział: – Proszę bardzo.

Childs wziął gazetę i przerzucił wzrokiem pierwszą stronę. Tego ranka wyjechał z domu, zanim dostarczono mu „Washington Post” i specjalnie nie włączył radia w samochodzie po drodze na lotnisko. Zwykle niewiele czasu mógł spędzać w ciszy, oddając się refleksjom, cenił więc sobie każdą z takich okazji.

Już przekładał stronę, kiedy nagle jego wzrok przykuła informacja podana przez United Press International. Nagłówek głosił wielkimi literami: ODNALEZIONO PISTOLET MORDERCY SUTHERLANDA.

Przeczytał wstępny akapit:

Jak się dowiadujemy, pistolet kalibru.22 użyty w morderstwie urzędnika Sądu Najwyższego, Clarence’a Sutherlanda, znalazł się w Stołecznej Komendzie Policji. Wedle tej informacji, nie potwierdzonej przez Stołeczną Komendę, a pochodzącej z wiarygodnego źródła policyjnego, pistolet został poddany badaniom balistycznym i jest rzeczywiście bronią mordercy.

W dalszej części artykuł przypominał znane szczegóły morderstwa Sutherlanda. Kończył się tak: *Dorian Mars, szef działu dochodzeń w Stołecznej Komendzie Policji, odmówił na razie komentarza, ale obiecał zająć stanowisko pod koniec dnia dzisiejszego.*

Samolot wylądował w San Francisco o 12:15 czasu kalifornijskiego. Childs udał się do budki telefonicznej i zamówił na kartę kredytową telefon do swojego domu w Virginii. Słuchawkę podniosła żona.

– Co słyszałaś o odnalezieniu broni użytej przez mordercę? – spytał.

– Wiadomość podano w dziennikach dziś rano. Dzwoniło do nas kilku reporterów.

– Dlaczego do mnie?

– Chcą się dowiedzieć czegoś więcej, jak sądzę. Morg, niepokoję się tym wszystkim.

Zaśmiał się nienaturalnie. – Dlaczego?

– A dlaczego ty dzwoniś w tej sprawie?

– Jestem ciekaw, i to wszystko. Przeczytałem o tym w samolocie i pomyślałem, że może wiesz coś więcej, niż podała prasa na początek. – Po drugiej stronie zapanowała cisza. Zapytał: – Czy wiadomo, w jaki sposób Komenda weszła w posiadanie tej broni, albo do kogo należała?

– Nic mi o tym nie wiadomo. Wszystko w porządku u ciebie?

– Tak. Właśnie przyleciałem i jadę teraz do hotelu. Zadzwoń do ciebie stamtąd.

– Dobrze.

– Peg?

– Tak?

– Szkoda, że cię tutaj nie ma.

– Powinam była pojechać z tobą.

– Tak. Gdyby znowu dzwoniли reporterzy albo ktoś z policji, nic nie mów. Rozumiesz?

Po prostu powiedz: *No comment*.

– Dobrze. Zadzwoń później.

– Zadzwonię.

Komitet organizacyjny konferencji zamówił dla Childsa apartament na piętnastym piętrze hotelu „Mark Hopkins”. Na pokoje zaprowadził Childsa osobiście zastępca dyrektora, który przesłał od hotelu bukiet kwiatów, zestaw serów i dwie butelki wina.

– Czy możemy czymś jeszcze służyć, panie sędzio? – zapytał.

– Nie, dziękuję. Wszystko zdaje się być w jak najlepszym porządku – odpowiedział Childs.

– Życzymy przyjemnego pobytu. To dla nas wielki zaszczyt.

Childs wszedł na oszklony taras z widokiem na miasto. Jasne światło słoneczne wlewało się przez okna tworząc w kąciu małą tęczę. W apartamencie panowała głęboka cisza i spokój. A jednak on, pośród tego piękna i ciszy, nie potrafił wyzbyć się niepokoju. Nie cierpiał tego uczucia, które znamionowało słabość, brak kontroli.

Zrobił to, co robił zawsze w takich chwilach. Zaczął ćwiczyć. Zrzucił ubranie i w samych spodenkach bokserskich przez pół godziny wykonywał skłony, pompki, naciągania i skręty. Obserwował się w lustrze. Był, jak na swój wiek, w znakomitej kondycji fizycznej, co trochę poprawiło mu nastrój. W pewnym sensie pogardzał ludźmi, którzy nie dbali o siebie.

Przeżył okres koreańskiej niewoli, ponieważ był silny fizycznie i psychicznie, a jeśli kiedykolwiek jeszcze przyszłoby mu przetrwać w trudnych warunkach, chciał być gotowy.

Przewodniczący komitetu organizacyjnego zadzwonił, by się dowiedzieć, czy wszystko panu sędziemu odpowiada i przedstawić plan wieczornego spotkania, które odbędzie się na dole, w sali Peacock Court. Zaprosił Childsa na drinka z radą Stowarzyszenia, ale Childs podziękował, tłumacząc się, że musi popracować nad sprawami toczącymi się w Sądzie.

Childs wziął prysznic, przespał się godzinę i zadzwonił do domu. Odezwała się najmłodsza córka, Sue. Rozmawiali chwilę, a potem Childs powiedział, by poprosiła mamę.

– Mamy nie ma, tato. Poszła na pokaz mody, chyba do Garfinckela.

– Ach tak, zapomniałem. Powiedz mi jeszcze, kochanie, czy jest coś nowego w sprawie znalezienia pistoletu, którym zabito Clarence'a Sutherlanda?

– Rany, nie wiem, tato. Dzwonił do ciebie ktoś z NBC i chciał porozmawiać, ale powiedziałam, że wrócisz dopiero w niedzielę. Myślę, że chciał rozmawiać w sprawie pistoletu. Mama powiedziała, żeby nic nikomu nie mówić.

– Tak jest, kochanie. No to trzymaj się. Do zobaczenia jutro wieczorem.

– Dobrze, tato. Wygłoś dobre przemówienie.

– Spróbuję.

Włączył telewizor i przerzucał kanały w poszukiwaniu wiadomości. Wszystko zdarzyło się dzisiaj, więc dopiero późnym wieczorem podadzą dalsze informacje.

Spojrzał na telefon, a potem ponownie skierował wzrok na ekran telewizyjny. Właśnie pokazywał amerykański football uniwersytecki. Ściszył telewizor, podniósł słuchawkę i wykręcił numer. Odpowiedziała kobieta.

– Halo – powiedział Childs – czy mogę mówić z Danem Brazierem?

– Nie ma go. A kto mówi?

– Przyjaciel. A ja z kim mam przyjemność?

– Mówi Sheryl. Dan wróci za jakąś godzinę lub dwie. Proszę mi podać nazwisko, a...

Odłożył słuchawkę na widełki, wstał, założył sobie ciemnobrązowe sztruksowe spodnie, białą koszulę, ciemnobrązowy sweter, i pojechał windą do hotelowego hallu. Przed hotelem złapał taksówkę i podał kierowcy adres w North Beach.

Przeszedł kawałek ulicą Broadway, zatrzymując się, by obejrzeć wystawy sklepów i odczytać olbrzymie, prowokacyjnie czerwone napisy reklamujące seksualne przyjemności dostępne wewnątrz budynku. Pornografia przyprawiała go o mdłości. Nienawidził jej i w wielu wypadkach głosował zdecydowanie za ograniczeniem jej rozpowszechniania. Pierwsza

Poprawka, jego zdaniem, nie dawała prawa do wyrobu i czerpania zysków z materiałów, które są jednoznacznie napastliwe, które poniżają kobiety, degenerują ludzi i generują kontrolowane przez mafię interesy, wspomagając przepływ narkotyków. Jego najstarsza córka wzięła ostatnio udział w marszu protestacyjnym przeciw pornografii na nowojorskim Time Square. Był z niej bardzo dumny.

A jednak głęboko wierzył w Pierwszą Poprawkę i w większości spraw sądowych koncentrował się raczej na ograniczeniu rozpowszechniania pornografii, nawet wcale nie myśląc o zakazie jej produkcji. Jeśli w społeczeństwie istnieli ludzie, którym pornografia kompensowała braki w osobistym życiu, to w porządku, ale nikt, kto sobie tego nie życzył, nie powinien być wystawiany na jej oddziaływanie.

Spojrzał na numer nad wejściem, przeszedł na drugą stronę ulicy, by przyjrzeć się domowi z tej perspektywy. Próbował zajrzeć do środka przez okna mieszkania na pierwszym piętrze, ale nie pozwoliło na to odbijające się w nich światło.

Stał tak przez pół godziny, przyglądając się, oparty o ścianę budynku, od czasu do czasu sprawdzając, która godzina. Zapewne stałby tak dłużej, gdyby nie nastoletnia dziewczyna ubrana w groszkowy płaszcz, dzinsy i ze szkarłatnym piórem we włosach, która podeszła do niego pytając: – Chcesz się zabawić? – Childs natychmiast odszedł, złapał taksówkę i wrócił do hotelu, gdzie przeglądał akta aż do momentu, kiedy trzeba się było ubierać na kolację.

W sali Peacock Court zebrało się dwieście osób. Organizatorzy ciepło go przywitani, poprowadzili do podium, gdzie zasiadł w otoczeniu tuzina ważnych osobistości.

– Mam nadzieję, że nie ma pan nic przeciw *publicity*, panie sędzio – powiedziała kobieta siedząca po jego prawicy. – Byliśmy tak podekscytowani, kiedy dowiedzieliśmy się, że zdecydował się pan przyjąć nasze zaproszenie, że rozpaplaliśmy to wszędzie.

– Niczego nie zauważyłem – odpowiedział.

– Pochwaliliśmy się w dzisiejszych gazetach – powiedziała – i w radio, i w telewizji. Mamy tu na sali przedstawiciele prasy, którzy z pewnością napiszą o pańskim przemówieniu.

– Mam nadzieję, że mowa będzie warta ich zachodu.

Zaśmiała się i lekko klepnęła go po ramieniu.

Szef komitetu organizacyjnego zapytał go, czy zgodzi się na krótką konferencję prasową, nieoficjalną, oczywiście, i zdecydowanie nie dłuższą niż piętnaście minut. Wyraził zgodę i poszedł za przewodniczącym w kierunku zbitej grupki kobiet i mężczyzn zgromadzonych w pobliżu. Jeden z dziennikarzy, młody, brodaty człowiek o podnieconej twarzy, powiedział: – Panie sędzio, chcielibyśmy zadać panu kilka pytań.

– Proszę bardzo – powiedział Childs – ale wpierw niech mi będzie wolno zadać jedno pytanie. – Zaśmiali się wszyscy. – Co to za plotka o znalezieniu pistoletu, z którego zabito Clarence’a Sutherlanda?

– Chcieliśmy właśnie o tym z panem porozmawiać – stwierdziła jakaś młoda kobieta. – Kiedy wychodziłam z redakcji, powiedziano mi, że broń należała do sędziego Conovera i że jego żona była tą osobą, która zaniósła pistolet na policję.

– Nie... – Childs powstrzymał cisnące mu się na usta słowa, które zdradziłyby, jakim szokiem była dla niego ta wiadomość. Uśmiechnął się. – Nie słyszałem o tym i, oczywiście, nie chcę tego komentować, dopóki nie zapoznam się z faktami.

– A jeśli to prawda, panie sędzio? Zasiada pan na ławie sądowej wraz z sędzią Conoverem od dłuższego czasu. Czy sądzi pan, że jest on typem człowieka, który byłby w stanie...?

– Nie sądzę, by to było właściwe pytanie, młody człowieku. Nie chcę rozmawiać o sprawie Clarence’a Sutherlanda. Jeśli macie państwo pytania dotyczące mojej obecności tutaj, proszę bardzo.

– Czy ma pan egzemplarz przemówienia, z którego moglibyśmy skorzystać?

– Nie, mam tylko notatki.

– Panie sędzio, proszę, tylko jedno pytanie na temat znalezionej broni. Czy wiedział pan, że sędzia Conover trzymał broń w swoim gabinecie, a jeśli tak, to...

– Lepiej wrócę na swoje miejsce – powiedział Childs. – Dziękuję, że zechcieliście państwo tu przybyć.

Wrócił do głównego stołu. Przemówienie poszło dobrze. Był pewien, że właściwie rozłożył akcenty, łącząc szacunek dla Pierwszej Poprawki z potrzebą odpowiedzialności ze strony mediów.

Potem wykorzystał pierwszą sposobność, by się pożegnać, powiedział gospodarzom dobranoc i skierował się do swojego apartamentu. W końcu, zatrzymywany po wielekroć po drodze, zdołał dojść do hallu recepcyjnego. Z baru dobiegała muzyka i Childs rozpoznał znajome dźwięki *Tomorrow*. Zatrzymał się na moment w hallu, wahając się, czy wracać prosto do pokoju, czy wyjść na wieczorny spacer. Postanowił wrócić do apartamentu i zatelefonować do Peg. Kiedy podchodził do rzędu wind obsługiwanych przez windziarzy, co było anachronizmem, który bardzo cenił w tym hotelu, jakiś głos z tyłu powiedział: – *Play ball*.

Childs zatrzymał się w pół kroku, a te słowa dźwięczały mu w uszach.

– *Home run* – powiedział głos.

Childs wolno odwrócił głowę. Trzy metry od niego, na wózku inwalidzkim siedział Dan Brazier, ubrany w brązową marynarkę ze sztruksu, kwiecistą, rozchełstaną pod szyją koszulę i spodnie w kolorze khaki, upięte na kikutach nóg.

– Dan?

– We własnej osobie, Morgan. – Podjechał bliżej i wyciągnął rękę. Childs przez chwilę ją przytrzymał, po czym uściśnął serdecznie.

– Co tu robisz?

– Czekam na ciebie. Do diabła, w końcu kiedy przyjaciel pojawia się w mieście, żeby wygłosić mowę, zdaje się, że to niezła okazja do spotkania z nim. Twoje zdjęcie było w gazetach. Dziękuję, że mnie odwiedziłeś.

– Telefonowałem.

– Powiedziała mi, ale nie podałeś nazwiska.

– Byłem... zresztą nieważne. Jak się miewasz, Dan? Dobrze wyglądasz.

– Świetnie się czuję. Mógłbym natychmiast przebiec całą milę.

Childs wzdygnął się, odsunął się o krok i powiedział: – Kiedy usłyszałem „*Play ball*”, nie mogłem w to uwierzyć.

– Wiedziałem, że zwrócę tym twoją uwagę.

Zwrotu *play ball* używali mówiąc o ucieczce z północnokoreańskiego obozu jenieckiego. W ogóle wyrażenia z terminologii baseballu służyły im za kod w dniach niewoli, i funkcjonowały świetnie, ponieważ ich strażnicy nie mieli bladego pojęcia, o czym rozmawiają.

– Jak poszła mowa?

– Świetnie.

– Kiedyś należałem do tego dziennikarskiego stowarzyszenia, ale wypadłem z niego całe lata temu. Gdybym nadal był członkiem, pewnie bym się tu dzisiaj znalazł.

Pierwszy szok spowodowany obecnością Braziera ustąpił teraz miejsca odczuciu niezręczności całej sytuacji i chęci ucieczki w zacisze apartamentu. Ale wiedział, że nie może tak po prostu uściśnąć mu ręki i odejść, nie po tylu latach i przy tylu wspomnieniach.

– Postaw mi drinka – powiedział Brazier.

– Jasne – odpowiedział Childs. – Tam? – wskazał na barek niedaleko hallu.

– A czemu nie?

Znaleźli wolny stolik i zamówili drinki. Childs szybko się zorientował, że Dan jest już trochę wstawiony. Niewyraźnie wymawiał niektóre słowa, a jego oczy miały ten charakterystyczny, szklisty, twardy wygląd. Kiedy podano drinki, Childs zapytał: – Co

nowego, Dan?

– A co może być nowego u byłego żurnalisty bez nóg. Żyję.

– Kim jest Sheryl?

– Kobieta, z którą mieszkam.

– Dobrze wyglądasz, Dan.

– Wiesz przecież, Morgan, gdzie mieszkam. W tym miejscu, naprzeciw którego stałeś dzisiaj po południu i któremu przyglądałeś się przez godzinę.

– Skąd ta pewność, że to byłem ja?

– Intuicja starego żurnalisty. Podobna do kobiecej. Aż chwyta za serce, że zadałeś sobie trud sprawdzenia, gdzie przesyłasz swoje czeki. Okolica nie jest wspaniała, ale ma swoje zalety. A tak przy okazji, panie sędzio, powinienesz być skorzystać z oferty tej dziewczuszki.

– Jakiej dziewczuszki?

– Bobbi, prostytutki, którą wypłoszyłeś z ulicy. Opowiadają, że jest dobra, podobno...

Childs przerwał mu: – Pisziesz coś? – zapytał.

– Nie. Doszedłem do wniosku, że siedzenie przy maszynie i wybijanie małych znaczków na papierze to idiotyczny sposób spędzania czasu dla dorosłego człowieka. Nie, siedzę tylko przy oknie i obserwuję, jak płynie życie na mojej ulicy i prowadzę życie emeryta dzięki niewielkiej pomocy rządu Stanów Zjednoczonych oraz moich przyjaciół.

Childsowi nie umknęła gorycz tego stwierdzenia. Podniósł do góry szklankę bourbona.

– Za baseball, w stylu koreańskim.

Brazier spojrział na niego nie podnosząc swojej szklanki. Jego wzrok był twardy, bezlitosny. Na jego ustach pojawił się szyderczy uśmiech.

– Proszę, wypij ze mną – poprosił Childs.

– Czemu nie? – Brazier podniósł szklaneczkę i stuknął się z Childsem. – Za życie, panie sędzio, i za to, co je tylko w niewielkim stopniu przypomina.

Childs spojrział na niego znad szklanki. – Przykro mi, że masz w sobie tyle goryczy, Dan.

– O goryczy może mówić tylko ten, kto jej posmakował. Ja tak. I gorzko mi. Tyle.

Powrócił pianista i zaczął grać wiązanekę z Broadwayowskich musicali.

– Czy mogę coś dla ciebie zrobić, Dan? – spytał Childs. – Często żałuję, że nie jesteśmy teraz z sobą bliżej, ale to ty zdecydowałeś, by stworzyć ten przedział. Ja próbuję robić to, co uważam za słuszne...

– I potrzebne? Zawsze byłeś skończonym pragmatykiem, Morgan, ponad wszystko

liczyło się tylko przetrwanie...

– A co w tym takiego złego? Przecież przeżyliśmy, nie?...

Brazier spojrział w dół na miejsce, gdzie powinny się znajdować jego nogi.

– Wybacz, Dan, wiem, że mnie łatwo mówić, ale i tak mi się wydaje, że lepsze to niż śmierć. – Childs wolniutko obrócił szklankę w dłoniach i przyjrzał się jej bursztynowej zawartości. – Pamiętaj pewną historię związaną z Louisem Armstrongiem. Woził z sobą pewnego faceta, którego nazywali Doc, ponieważ miał za zadanie pilnować, żeby Armstrong regularnie brał lekarstwa podczas tournée. W przerwie jednego z występów za kuliszy wszedł Artie Shaw i zobaczył, że Doca nie ma, więc zapytał, co się stało. Armstrong odpowiedział: „Doc nie żyje”. Więc Shaw zapytał, co było nie w porządku, a Armstrong odpowiedział: „Kiedy się umiera, wszystko jest nie w porządku”.

– Jezus, Morgan, chyba jesteś trochę za stary na taką naiwność i optymizm. Nie potrzebuję przypowieści, osobliwie od ciebie.

– A czego potrzebujesz? Więcej pieniędzy?

Brazier potrząsnął głową. – Nie, nie potrzebuję więcej pieniędzy. Może na to nie wyglądam, ale dobrze sobie żyję. Sheryl to dobra kobieta i dobrze się mną opiekuje. Jem dobrze, dobrze piję, nawet dobrze się kocham i... – Podniósł do góry wskazujący palec. – I, Morgan, śpię dobrze. A ty jak sypiasz obecnymi czasami?

Childs rozejrzał się wkoło po barze, który wypełnił się ludźmi. Powiedział stanowczo: – Dobrze sypiam.

– Specjalista od przeżycia za wszelką cenę u szczytu władzy. Potrzebuję jeszcze jednego drinka.

– Ja muszę już iść. Wylatuję wcześniej rano.

Brazier przytrzymał go za ramię. – Jeszcze jeden drink, Morgan, za stare czasy. Kto wie, może się już nigdy nie zobaczymy.

Childs rzucił okiem na zegarek. Kobieta przy sąsiednim stoliku rozpoznała go i poprosiła o autograf.

– Ja nie daję autografów – powiedział – uważam, że...

– Proszę nie odmawiać, panie sędzio – stwierdził Dan i jeszcze mocniej ścisnął jego ramię.

Childs nabazgrał swoje nazwisko na świstku papieru podanym przez kobietę. – Dziękuję, sir – powiedziała. Childs zmusił się do uśmiechu, a w tym czasie Brazier przywołał kelnera i zamówił jeszcze jedną kolejkę.

Brazier mówił teraz o prezydenturze Jorgensa. Jorgens mu się nie podobał. Childs

praktycznie nic nie mówił – ani nie oponował, ani nie przytakiwał.

W końcu rozmowa zeszła na morderstwo Clarence’a Sutherlanda.

– Słyszałem w wiadomościach, że znaleźli pistolet. Coś ci o tym wiadomo, Morgan?

– Tyle, co przeczytałem.

– Wydaje się, że to przełom w tej sprawie. – Zanim Childs zdążył coś powiedzieć, Brazier dorzucił: – Kiedy usłyszałem tę wiadomość, od razu pomyślałem o tobie.

– O mnie? Dlaczego?

– Od czasu wojska kolekcjonujesz broń. Widziałem twoje zbiory, kiedy byłem w Waszyngtonie. Imponujące.

– Jeśli się zastanawiasz, czy pistolet należał do mnie, to odpowiedź brzmi nie. Podobno był własnością sędziego Conovera.

– Wiem. A kto, twoim zdaniem, zabił Sutherlanda?

– Nie mam pojęcia.

– Dzwonił do mnie, wiesz?

– Słyszałem.

– Od niego?

– A od kogo? Ty nie pofatygowałeś się, żeby mi o tym powiedzieć.

– Był z niego kawał skurwiela – stwierdził Brazier.

– Niespecjalnie go lubiano.

– Co ci powiedział o telefonie do mnie?

– Nieważne.

– Pewnie, że nieważne. Nie żyje, co ci odpowiada.

– Oburza mnie to stwierdzenie.

– Oburza cię, ale to prawda, nie?

Childs wypił duszkiem cały bourbon ze szklaneczki i otarł usta dłonią. – Miło cię było znowu zobaczyć, Dan. Wszystkiego najlepszego.

– Proszę mnie jeszcze nie odsyłać, panie sędzio.

– Mów do mnie Morgan. Przecież jesteśmy przyjaciółmi.

– To prawda, Morgan, być może teraz bardziej niż kiedykolwiek. Sutherland postarał się o to.

– Nie rozumiem.

– Oczywiście, że rozumiesz. Ładny masz tu pokój? Pewnie dostałeś apartament dla nowożeńców. A przy okazji, jak się miewa Peg i dzieciaki?

– Dobrze.

– Czy mieszkasz w dużym apartamencie?

– Dan...

– Chciałbym go zobaczyć.

– Innym razem, Dan.

– A może teraz, przyjacielu.

– Nie zmuszaj mnie, przyjacielu.

– Wcale cię nie zmuszam. Doktor Sutherland nazwałby to postawą stanowczą, zwyczajnym określeniem swoich potrzeb i żądań, otwartością. Nauczył mnie, jak wykorzystywać mocne strony i ignorować słabości...

– Do diabła – mruknął Childs szukając kelnera w zatłoczonym pomieszczeniu.

– Uspokój się, Morgan. Zawsze byłeś taki spokojny w Korei.

Childs zignorował tę uwagę i nadal szukał kelnera. Znalazł go, dosłownie wydarł mu z ręki rachunek i położył pieniądze na stoliku. – Muszę już iść.

– Zostało jeszcze parę rzeczy do przegadania – powiedział Brazier i nad pustą szklanką wręczył kelnerowi napiwek.

– Innym razem.

– A właśnie, że teraz, do diabła.

Ludzie, którzy rozpoznali Childsa, zaczęli zwracać uwagę na podniesione głosy przy stoliku, co wprawilo go w zakłopotanie. Obrócił się do nich plecami i spojrzał na uśmiechającego się Braziera, który powiedział: – Zaprosz mnie na górę, Morgan. Jak już wspomniałem, powinniśmy jeszcze porozmawiać.

Wjechali na górę windą, Brazier w swoim wózku inwalidzkim, Childs stojący sztywno w kącie. Windziarz nacisnął guzik i życzył im dobrej nocy. Childs otworzył drzwi do apartamentu i przytrzymał je, kiedy Brazier wjeżdżał na wózku do środka.

– Bardzo tu przyjemnie – stwierdził Brazier obracając wózek wokół osi na środku *living roomu*.

Childs zdjął marynarkę i cisnął ją na krzesło. – Mam tylko wino – powiedział.

– Możemy przecież kazać sobie przynieść do pokoju.

– Wolałbym nie. – Odwrócił się i pochylił nad Brazierem, ręce położył na oparciu wózka. – No, wyrzuć to w końcu z siebie i skończmy to wszystko, Dan. Jedynym powodem, dla którego w ostatniej chwili przyjąłem zaproszenie tutaj, było sprawdzenie, jak ci się żyje. Próbowałem się z tobą zobaczyć, a potem rzuciłem to do diabła. W porządku, ty zobaczyłeś się ze mną i oto jesteśmy tutaj. Jestem zmęczony. Jutro wcześniej rano odlatuję i mam jeszcze kilka rzeczy do zrobienia, zanim położę się spać. Więc powiedz w końcu, co ci leży na sercu i

zostaw mnie samego.

– Wino zawsze przyprawia mnie o ból serca. Jeśli masz przy sobie jakieś krople nasercowe, to w porządku. Natomiast jeśli nie masz, to wolałbym butelkę dżinu, oczywiście na mój rachunek.

– Nie potrzebuję kropli nasercowych.

– Wygląda na to, że jednak potrzeba nam dżinu. – Podjechał do telefonu i zadzwonił do *room service*. – Butelkę Beefeater, dwie szklaneczki i krewetki na zimno, proszę. – Obrócił wózek, podniósł brwi, spojrzał na Childsa i dorzucił przez telefon: – I butelkę Old Grand Dad, z mnóstwem lodu.

– Muszę zadzwonić do Peg – powiedział Childs, kiedy Brazier odłożył słuchawkę.

– Pozwól, że powiem jej hello, kiedy będziesz dzwonił. Zawsze lubiłem Peg. Ona jest człowiekiem z krwi i kości.

Childs wykręcił numer i po krótkim wstępie powiedział: – Jest tu ze mną nasz stary przyjaciel, Peg. Dan Brazier. Chce ci powiedzieć hello.

Brazier wyczuł, że Peg powiedziała coś, na co trudno byłoby Morganowi odpowiedzieć. Wziął słuchawkę i powiedział: – Hello, Peg, mówi głos z przeszłości.

– Hello, Dan, co za niespodzianka.

– Kiedy usłyszałem, że Morgan tu będzie, nie mogłem sobie odmówić przyjemności zobaczenia się z nim. Świetnie się bawimy, jak za starych dobrych czasów, opowiadamy sobie wojenne historie i wskrzeszamy młodość.

– To pięknie, Dan. Mam nadzieję, że zobaczę cię znowu, kiedy następnym razem będziesz w Waszyngtonie.

Już miał skomentować lodowatość tego zaproszenia, ale nie zrobił tego. Powiedział tylko: – Skorzystam z zaproszenia, Peg. Na tym świecie dwoje moich ulubionych ludzi to sędzia Morgan Childs i jego cudowna żona, Peg. Miło było z tobą porozmawiać. Oddaję słuchawkę panu sędziemu.

Childs szybko zakończył rozmowę. Pojawiła się obsługa hotelowa z wymyślnie udekorowanym barkiem na kółkach, lodem w srebrnym pojemniku, górą krewetek na listkach sałaty i schłodzonymi butelkami dżinu i bourbona. Brazier wyjął z kieszeni dwa dolary i wręczył je młodemu kelnerowi. – Wygląda wspaniale – stwierdził podjeżdżając do barku, po czym nalał sobie dżinu, a Childsowi bourbona. – To jest życie, przyjacielu. – Podał szklanekę Childsowi. – Wypijmy za nas, Morgan, i za szacunek dla ciemniejszych stron naszego życia. – Wypił dżin duszkiem i nalał sobie kolejny raz. – Wiesz, Morgan, jest coś sympatycznego, kiedy przyjaciół łączy jakiś sekret. To jak z dziećmi, które nakłuwają palce i łączą się w

braterstwie krwi, jeśli rozumiesz, do czego piję.

– Wiem, co masz na myśli.

– To dobre, bardzo korzystne, łączy ludzi ze sobą, osobliwie, kiedy jeden z przyjaciół ma tak wiele do stracenia.

– Mówisz o sobie, Dan?

– Nie, do diabła, przecież wiesz, Morgan, o kim mówię.

Childs zdjął krawat, rozwiązał sznurówki i wsunął buty pod biurko, potem rozpiął mankiety koszuli i podwinął rękawy aż po bicepsy.

– Wyglądasz, jakbyś się sposobiał do walki.

– Może tak.

– Naprawdę? A z kim to zamierzasz walczyć? Z facetem, który przywiózł gorzałkę, czy ze swoim starym przyjacielem? Jeśli ze mną, to wstyd mi za ciebie. Stoję, poniekąd, na straconej pozycji.

– Tak naprawdę nie możesz tylko uciekać.

– Ale na wózku osiągam dobre wyniki na sto jardów. Słuchaj, Morgan, nie masz powodu się na mnie pieklić. Od czasów Korei udowodniłem, że prawdziwy ze mnie przyjaciel, dyskretny i lojalny. Gdyby tak nie było, rzeczy potoczyłyby się inaczej w życiu Morgana Childsa, sędziego Sądu Najwyższego, bohatera Ameryki, idola i przykładu dla młodzieży...

– Zamknij się!

– Ależ w porządku, przyjacielu, przecież świetnie rozumiem. Jesteś, że tak powiem, wybacz kalambur, pod obstrzałem w sprawie tego pistoletu, którym zabito Sutherlanda... Wiesz co, Morgan, według mnie ten, kto wykończył Sutherlanda, wyrządził ludzkości wielką przysługę.

– Ja chyba nie całkiem tak na to patrzę, i przepraszam cię, że mnie poniosło...

– Hej, każdy może się wkurzyć, nawet sędzia Sądu Najwyższego... Sutherland tego cię wkurzył, co?

– Nie rozumiem, co masz na myśli?

– Wiesz przecież, że dzwonił do mnie i zadawał te wszystkie pytania na temat Korei. Wcale nie potrzebował odpowiedzi – on już je znał! A co tobie powiedział? Może, że ma na ciebie haka i że powie wszystko, chyba że będziesz dla niego miły i...

– Ależ wcale nie. Daruj sobie ten melodramat...

– Nie oszukuj starego lisa, Morgan. Na twoim miejscu sam bym go zabił.

– Dostyc tego, Dan. Za dużo wypięś.

– Dopiero zaczynam.

– Ale na pewno nie tutaj. Czas na ciebie.

– Czy można tak traktować przyjaciela? Przecież on wszystko wiedział, co do joty...

– Wiedział to, co powiedziałaś jego ojcu w czasie terapii.

– A kto mógł przypuszczać, że wyznanie prawdy lekarzowi może przynieść tyle kłopotów? Kiedy opowiadałem jego ojcu o Korei, sądziłem, że nikt inny o tym się nie dowie. Zwróciłem się do niego, bo zdaniem ortopedów pomoc psychiatry była podobno wskazana... jak oni to ujęli?... bym się wewnętrznie pogodził z utratą kończyn? Niezłe, co?

– Wcale nie musiałeś opowiadać mu o Korei, prawda? Nie zachodziła żadna potrzeba, by...

– Daj spokój, Morg, wolne skojarzenia to podstawa terapii psychiatrycznej. Ty sobie tu siedzisz taki spokojny i zrelaksowany i wszystko zdaje ci się takie proste i oczywiste. Łatwo ci mówić. W momencie, kiedy zacząłem mówić o Korei, od razu wiedziałem, że wkraczam na głębokie wody, ale, do diaska, przecież to lekarz, a ja byłem jego pacjentem. Wszystko miało charakter poufny i takim by zostało... gdyby ten lekarz nie miał synalka, któremu udało się dostać do dokumentów papy.

– Zdaje się, że on wiedział wiele rzeczy o wielu ludziach.

– Wiem. Kiedy człowiek ma tyle wybuchowych informacji, w końcu znajdzie się ktoś, kto go zastrzeli.

– Ja tego nie zrobiłem.

– Zapisano, Wysoki Sądzie... W każdym razie ktoś to zrobił. Kogo jeszcze leczył jego papa i czyje dokumenty trzymał u siebie?

– Skąd mam wiedzieć?

– Wspaniały materiał. Wprawdzie już nie piszę, ale stary instynkt jeszcze we mnie pozostał. Co za rewelacyjna historia, aplikant Sądu Najwyższego, którego tatuś jest psychiatrą leczącym grube ryby, a on sobie potem czyta historie choroby i ma te ryby na muszce. To wielka władza, Morgan, taka, jaką posiadał J. Edgar Hoover.

– Ale nie za cenę morderstwa.

– To zależy. Czy powiedziałaś kiedykolwiek Peg o Korei?

– Nieważne.

– Ależ oczywiście, że ważne.

– Ale nie dla ciebie.

– Jestem twoim najbliższym przyjacielem, panie sędzio, może z wyjątkiem żony, ale to inny rodzaj przyjaźni...

– Zupełnie inny.

– Chcę tylko powiedzieć, że to dotyczy nas obu. Bez względu na to, co musiałeś zrobić, żeby jakoś załatwić tę sprawę Sutherlanda, chcę, żebyś wiedział, że możesz mi ufać aż po grób.

– Nigdy w to nie wątpiłem, Dan. Gdybym miał jakieś wątpliwości...

– To właśnie chciałem usłyszeć. Nadal jesteś twardzielem, którego interesuje tylko przetrwanie.

Childs nalał sobie kolejnego drinka. Alkohol zaczynał na niego działać. Miał w głowie zamęt – z jednej strony chciał, żeby Brazier już sobie poszedł, z drugiej zaś jego obecność sprawiała mu przyjemność. Oczywiście wyobraźni wracał do ostrych, bolesnych obrazów z Korei... rozkładające się ciała w obozie jenieckim, śmiech północnokoreańskich strażników katujących więźnia...

– Jesteś bardzo ważnym człowiekiem – powiedział Brazier. – Pomyśl tylko. Jest was jedynie dziewięcioro na całym świecie.

– Zdaję sobie z tego sprawę.

– Ale co znaczy stanowisko, Morgan? Gdyby odebrać ci tę czarną togę, byłbyś jak pozostali, starzejący się, popełniający coraz więcej błędów, powoli zbliżający się do grobu.

– Ja tego tak nie widzę.

– Nikt tak nie chce tego postrzegać, ale tak jest naprawdę. Pamiętasz, jak mówiliśmy sobie, że musimy utrzymywać cały czas pełną gotowość i czekać na nadarzącą się szansę? To była wręcz twoja obsesja, i pewnie to nas uratowało. Wskakiwałeś z tej słomianej pryczy co rano i wrzeszczałeś na nas, żeby wstawać i brać się za tę twoją pieprzoną gimnastykę, a ja kłamię na ciebie przy każdej pompce i przy każdym kroku podczas biegania. Ale ty miałeś rację, Morgan, ty kazałeś nam wstawać i dzięki tobie byliśmy gotowi. No, powiedzmy, przynajmniej mniej więcej tak było. Czy nadal jesteś stale gotowy?

Childs uśmiechnął się i podjął wyzwanie. – Zawsze gotowy, Dan. Jak już wspomniałeś, chcę przeżyć.

Brazier zdjął marynarkę, rozpiął koszulę, zrzucił krawat i cisnął wszystko na podłogę. Jego nagi tors był potężnie umięśniony.

– Co ty robisz?

– Przygotowuję się, Morgan. No chodź. – Wysunął się z wózka i przyjął na dywanie pozycję do pompek. – Trzydzieści minut, Morgan. Będziemy liczyć. Zwycięzca dostaje... powiedzmy, stowę.

– Nie wygłupiaj się.

– Już się poddajesz, Morgan? Przykro mi to słyszeć. Czytałem kiedyś, że jakiś facet zrobił w ciągu pół godziny prawie dwa tysiące pompek, co niby jest rekordem świata. No to licz.

Brazier zaczął, jego potężne ramiona unosiły ciało bez trudu, w dół i w górę, z coraz większą szybkością. Na początku Childs nie liczył, więc przy dziesięciu zaczął to robić Brazier. Kiedy doszedł do pięćdziesięciu, liczenie przejął Childs.

– Pilnuj zegarka – powiedział Brazier.

– Sto dwadzieścia. Nie martw się. Patrzę na czas. – Nappełnił swoją szklankę i nie przestawał liczyć, kiedy Brazier unosił ciało w równym rytmie. Pół godziny później zrobił dziewięćsetną pompkę. Jego ciało lśniło potem, a polepione kosmyki włosów spadały mu na czoło. Leżał na plecach, z rozpostartymi ramionami. Nagle wybuchnął śmiechem. Po chwili Childs nie mógł się już powstrzymać i przyłączył się do niego.

– Ile zrobiłem, dziewięćset? – pytał Brazier. Childs przytrzymał wózek, kiedy Brazier wdrapywał się na niego. – Wiesz, Morgan, to w pewnym sensie historyczny wieczór. Oto ja, były dziennikarz i twórca gwiazd, robię pompki we wspinałym apartamencie, a sędzia Sądu Najwyższego je liczy. Kto by w coś takiego uwierzył?

– Miło było się z tobą zobaczyć, Dan. Jeśli można, to wolałbym, żeby wypadki tego wieczoru pozostały między nami.

– Hej, przecież mnie znasz. Już wpadło we mnie jak w studnię. Przecież od lat daję tego dowody, od czasów Korei.

– W końcu nic takiego strasznego się nie stało...

– Oczywiście, że nie. Wykorzystali nas obu dla tak zwanych celów wyższych, dla sprawy słuszności tej wojny, patriotyzmu, zwycięstwa nad żółtkami. Ty wyszedłeś z tego jako bohater, Morg, i jestem diabelnie dumny z tego, że pomogłem cię wykreować. – Włożył na siebie z powrotem ubranie. – Do tego jestem też zadowolony, że Sutherland dostał to, na co zasłużył – powiedział, kiedy skończył się ubierać.

– Naprawdę?

– Jasne. Teraz wszystko wróciło do normy, tak jak było zawsze, tylko ty i ja przeciw całemu światu.

Childs jakby chciał coś powiedzieć, ale powstrzymał słowa cisnące mu się na usta i stwierdził tylko: – Wiesz, Dan, gdybyś kiedykolwiek czegoś potrzebował, wystarczy, byś wrzasnął.

– Jasne, Morgan, zawsze byłem tego pewien. Nie bój się, usłyszysz mnie choćby z drugiego końca świata. – Podjechał do drzwi, otworzył je, spojrzął za siebie i powiedział: –

Miło było się znów z panem zobaczyć, panie sędzio. Proszę przekazać pozdrowienia żonie i dzieciom.

ROZDZIAŁ 21

W poniedziałek odbyły się dwie konferencje prasowe.

Rano sędzia senior Sądu Najwyższego, Temple Conover, w towarzystwie żony, zasiadł przed rzędem mikrofonów i kamer telewizyjnych w pomieszczeniu Ministerstwa Sprawiedliwości. Na sobie miał ciemnopopielaty garnitur z kamizelką, białą koszulę i krawat w kolorze złamanej zieleni. Zdjął płaszcz, zostawiając na szyi czerwony wełniany szalik.

Rozpoczął od odczytania krótkiego oświadczenia, które napisał tego dnia wczesnym ranem.

Powiadomiono mnie, że Stołeczna Komenda Policji jest w posiadaniu broni, której użyto w zabójstwie aplikanta sądowego Clarence'a Sutherlanda. Broń ta, pistolet kalibru.22, należała do mnie. Do tej chwili nie zdawałem sobie sprawy, że została wykorzystana do popełnienia zbrodni, nie wiem także, kto i w jakich okolicznościach jej użył. To oświadczenie stanowi sumę mojej wiedzy na temat sprawy będącej przedmiotem śledztwa.

Jeden z pięćdziesięciu obecnych na sali reporterów zdołał przekrzyczeć innych i zadał pytanie: – Czy to prawda, że pańska żona była osobą, która dostarczyła pistolet policji?

– Nie mam innych komentarzy prócz oświadczenia, które przed chwilą złożyłem.

Inny reporter wykrzyknął do Cecily Conover: – Czy to pani zaniósła pistolet do Komendy Policji, Mrs. Conover?

Cecily, która miała na sobie ciasno opinający ją kaszmirowo-jedwabny żakiet w odcieniu słomkowym, odpowiedziała: – Okoliczności, w których pistolet mojego męża znalazł się na policji, nie są sprawą do publicznego rozważania. Jest to pistolet, którego właścicielem od pewnego czasu był mój mąż...

Conover spojrział na nią i powiedział do reporterów: – Jak już powiedziałem, nie będę odpowiadał na żadne pytania, a pojawiłem się tu dzisiaj wyłącznie w celu odczytania oświadczenia, które słyszeliście państwo przed chwilą. Dziękuję za przybycie. Do widzenia. – Wstał, obrócił się tak, by asystent pomógł mu włożyć płaszcz, po czym pokuśtykał w kierunku wyjścia. Jego prawa ręka mocno opierała się na uchwycie kuli, twarz miał ściągniętą bólem.

Cecily uśmiechała się do reporterów, którzy ją opadli i zarzucili pytaniami. Uniosła w

górną dłoń i powiedziała: – Nie teraz, proszę, nie teraz. – W drzwiach dogoniła męża, wzięła go pod ramię i zniknęli w korytarzu.

Susanna Pinscher stała na końcu pokoju. To, co zobaczyła, napełniło ją smutkiem. Oto starszy, genialny i wybitny jurysta został właśnie poniżony przez swą młodą i piękną żonę. Zniesienie pistoletu na policję było, ujmując to delikatnie, aktem niewierności, jeszcze boleśniejszym niż jej domniemane romanse. Susanna poczuła, że fizycznie nie cierpi Cecily Conover. Co za dziwka...

Stary znajomy z sieci telewizyjnej CBS rozpoznał ją i zapytał, czy orientuje się, że rzeczywiście Cecily Conover była osobą, która dostarczyła pistolet. – Nie mogę uzyskać z Komendy żadnego potwierdzenia – powiedział.

– Nie mam pojęcia – odpowiedziała Susanna, zastanawiając się, kto puścił farbę. Na pewno nie Teller...

Druga konferencja prasowa odbyła się o drugiej. Miała miejsce w Białym Domu. Prezydent Jorgens oświadczył, że mianował dobrze znanego prawnika z Teksasu o nazwisku Donald Wishengrad specjalnym prokuratorem do prowadzenia sprawy Sutherlanda.

Jorgens wygłosił długą mowę, którą tak zakończył: – ...To nieszczone morderstwo i wynikające z niego następstwa zachwiały wiarą społeczeństwa w nasze najwyższe instytucje i ich przedstawicieli. Mam nadzieję, że dzięki mianowaniu specjalnego prokuratora sprawa zostanie szybko rozwiązana w sposób zgodny z prawem, co winno przywrócić poderwane zaufanie.

Odpowiedział tylko na kilka pytań, z których jedno brzmiało, czy mówiąc o zachwianiu zaufania do niektórych przedstawicieli najwyższych instytucji, miał na myśli sędziego Conovera. Odpowiedział natychmiast: – Nie miałem na myśli żadnego określonego przedstawiciela. Sąd Najwyższy to najwyższy trybunał, a kwestionowanie tej prawdy przez kogoś, czy coś, jest przeciwne interesom tego narodu.

Kiedy Jorgens opuścił pokój, reporterzy rozpoczęły spory, czy rzeczywiście miał na myśli Conovera, czy też nie. Nastawienie prezydenta do sędziego seniora było powszechnie znane. Jorgens atakował Conovera po wielokroć publicznie za jego liberalizm, a kiedyś w telewizyjnej pogadance przy kominku powiedział wręcz: – Niektórzy z naszych zagorzałych myślicieli liberalnych, jak na przykład nasz wybitny prawodawca sędzia Conover, nie widzą nic złego w oddawaniu tego kraju w ręce siewców pornografii, narkomanów i kryminalistów, a wszystko to pod sztandarem wolności. Ja sam nie nazwałbym tego wolnością dla nikogo prócz niewielkiej grupki społecznych wyrzutków. Tak naprawdę nazwałbym to udzielaniem im licencji na rozwiązłość. – Potem dodał jeszcze: – Nie pamiętam już, który z mędrców to

powiedział, ale sędzę, że miał dużo racji, kiedy stwierdził, że „nie ma nic bardziej starego niż stary liberał”.

Conover przesłał po audycji telewizyjnej telegram do Jorgensa, wyrzucając mu brak taktu. Nigdy nie otrzymał żadnej odpowiedzi.

– Tak naprawdę pytanie sprowadza się do tego – stwierdził jeden z reporterów – czy Conover mógł zabić Sutherlanda?

– To zależy tylko od tego, czy jego żona jest naprawdę tak gorąca, jak o niej mówią, i czy kiedykolwiek łączyło ją coś z Sutherlandem – powiedział inny.

– I – dorzucił kolejny – czy starszy pan ich na tym przyłapał, i czy mu się chciało zrobić z tym porządek w tak drastyczny sposób.

O szóstej wieczorem Susanna Pinscher zrobiła kolejne kółko wokół parkingu w północno-zachodniej dzielnicy Waszyngtonu. Jakiś samochód zwolnił miejsce, które pospiesznie zajęła. Rozejrzała się dokoła, by zapamiętać miejsce parkowania, po czym ruszyła w kierunku domu, którego adres zapisała na małym świstku papieru. Zatrzymała się na moment przed starym budynkiem, niedawno przerobionym na dom mieszkalny, sprawdziła numer na drzwiach i weszła do niewielkiego korytarza. Skrzynki pocztowe i domofon znajdowały się po prawej stronie. Nachyliła się nad domofonem w słabym świetle korytarzyka. L. RAWLS – 2C. Nacisnęła guzik. Usłyszała otwieranie zamka od drzwi do przedsiionka.

– Hej – powiedziała Laurie Rawls otwierając drzwi na stukanie Susanny.

– Hej! Przepraszam za spóźnienie, ale miałam kłopoty z parkowaniem.

– Każdy je miewa. Wejdz, proszę.

Mieszkanie było małe, ale sympatyczne. Weszła wprost do *living roomu*. Bezpośrednio po prawej widniała kuchnia, zupełnie nie oddzielona od *living roomu*. Z tuzin kwiatów zwisał nad tapetą, która imitowała okno. Pokój był wymalowany na żółto, na górze wykończony bielą. Meble w kolorze zielonym nadawały temu pomieszczeniu wygląd pokoju pod gołym niebem.

– Proszę, usiądź – powiedziała Laurie. – Chyba nie mam nic specjalnego do picia z wyjątkiem wina. Z mocnych trunków jest może jeszcze trochę Scotcha i chyba wódki.

– Wino w zupełności wystarczy, wszystko jedno, czerwone czy białe.

Susanna usiadła na kanapce. Na małym stoliku kawowym ze szklanym blatem widniała sterta książek, wśród nich *The Brethren*, bestseller sprzed paru lat, który dawał mało

pochlebny wgląd w działalność Sądu Najwyższego.

– To pewnie obowiązkowa lektura – powiedziała Susanna, kiedy Laurie przyniosła wino.

– Pewnie tak. Czy jajka na bekonie wystarczą na kolację?

– Dla mnie tak – wzniosła kieliszek. – Za lepsze czasy.

– Chętnie za to wypiję.

– Bardzo mi się podobają twoje kwiaty. Masz do nich rękę.

– Rosną, zupełnie się mną nie przejmując. – Łyknęła wina. – Dziękuję, że zechciałaś tu przyjść, Susanno.

– Kiedy zadzwoniłaś dziś po południu, byłam trochę zaniepokojona. Nie samym telefonem, ale tonem twojego głosu i twoim życzeniem, by nie pokazywać się w miejscu publicznym. Dlaczego uważasz, że to konieczne?

Laurie wzruszyła ramionami. – Może popadam w obłąd. Niektórzy twierdzą, że przebywanie w Waszyngtonie doprowadza ludzi do takiego stanu.

– Szczególnie, kiedy jest się wmieszanym w dochodzenie o morderstwo.

– Tak, to zdecydowanie pomaga. Czy widziałaś dzisiejszą konferencję prasową?

– Byłam na konferencji sędziego Conovera. O prezydenckiej tylko słyszałam.

– Ja widziałam obie w telewizyjnych wiadomościach. Wróciłam do pracy u sędziego Conovera.

– Naprawdę? Jak do tego doszło?

– Napisał skargę do szefa, że ten mnie zabrał i domyślałam się, że po prostu wygrał.

– No i jak ci z tym?

– Mam mieszane odczucia, szczególnie po znalezieniu pistoletu.

Oczywiste było, że Laurie chce porozmawiać na temat pistoletu, ale ma jakieś opory. Susanna postanowiła nie drażnić tematu wprost i sprowadziła rozmowę na temat drużyny amerykańskiego footballu Washington Redskins.

– Nie interesuję się footballiem – stwierdziła Laurie – choć w tym mieście to trudna rzecz. Wszystko jest takie trudne w tym mieście. Przepraszam. – Poszła do łazienki i wróciła po chwili z uśmiechem na twarzy, a jej głos pobrzmiwał, może nieco wymuszoną, lekkością.

– Chyba wezmę się pomału za kolację.

– Mogę w czymś pomóc?

– Może rozbiłabyś jajka? Mnie się przeważnie udaje wrzucić też trochę skorupki. Tobie zapewne pójdzie lepiej.

Poszły do małej, białej kuchni, gdzie Laurie podała Susannie fartuch. – Pewnego

pięknego dnia zabiorę się poważnie do kucharzenia i stanę się prawdziwą domatorką. Zawsze marzyłam, żeby być dobrą kucharką, ale mówiono mi, że to takie staromodne i że w obecnych czasach droga do serca mężczyzny zdecydowanie nie prowadzi przez jego żołądek. – Powiedziała to z ironią, ale dało się odczuć w tym stwierdzeniu posmak goryczy.

– Czyżby tak bardzo wszystko się zmieniło? – spytała Susanna zastawiając stół. – Jestem chyba na tyle od ciebie starsza, że udało mi się już spotkać z całkowicie odmiennymi zapatrywaniem. – Zwróciła się do niej trzymając ręce w obszernych kieszeniach fartucha. – Tak się składa, że uważam, iż jest zupełnie okay, kiedy kobieta chce piec i gotować, i dać mężczyźnie szczęście. Pewnie kiepska ze mnie feministka. A już na pewno nie ortodoksyjna.

– Ale przecież sama żyjesz inaczej.

– To kwestia wyboru, do jakiego zmusiły mnie okoliczności. Laurie, ja naprawdę uważam, że kobieta, która wybierze inny styl życia, wcale nie powinna być oskarżana, że się sprzedaje.

– A co sądzisz o aborcji? To najważniejszy temat nawet w tym mieście, jak pewnie wiesz. Chodzi mi o tę sprawę w Sądzie...

– No cóż, nie bardzo wiem, jak w ogóle można być za aborcją, ale jednocześnie sądzę, że kobieta powinna mieć prawo dokonania wyboru...

– Sąd chyba opowie się po stronie nastawienia liberalnego. Chodzi mi o *Nidel kontra Illinois*.

– A na jakiej podstawie tak sądzisz?

Laurie rozmieszała jajka w aluminiowej miseczce przy pomocy łątki. – Praca w Sądzie Najwyższym rzuca cię, chcąc nie chcąc, w sam środek wielu rzeczy, Susanno... Czasem wołałabym zwyczajnie nie wiedzieć...

– Jest to pewien ciężar, co?

– Można by tak powiedzieć... Odbyło się wstępne głosowanie w sprawie *Nidel kontra Illinois*. – Kiedy Susanna nic nie powiedziała, Laurie dorzuciła: – Było pięć do czterech za Nidel.

– Dlaczego mi to mówisz? Czy naprawdę powinnaś?

Laurie rzuciła łątkę do miski, odwróciła się w stronę Susanny i wytarła ręce w jej fartuch. – Zapewne nie. Ale to wszystko łączy się z sobą, Susanno. Tyle rzeczy dziejących się w Sądzie jest powiązanych z tym, co się stało z Clarence'em.

– Chcesz o tym porozmawiać?

– Tak i nie.

Susanna zostawiła to „tak” na czas kolacji. Momentami chciała otworzyć serce przed

Laurie i powiedzieć bez ogródek, jak bardzo ją lubi i że mogłyby zostać przyjaciółkami, ale wiedziała, że nie wolno jej tego robić. Była w tym mieszkaniu, ponieważ Laurie zadzwoniła i poprosiła ją o przyjście tutaj. Przyszła więc z nadzieją, że uzyska więcej informacji w sprawie Sutherlanda. Trzymaj się reguł gry, powtarzała sobie.

– Wina? – zapytała Laurie, kiedy skończyły.

– Może raczej kawy.

Wypiły kawę w *living roomie*. Laurie puściła płytę z Mozartowskim *Die Zauberflöte* – *Zaczarowanym fletem*. – Dostał zamówienie – powiedziała – od właściciela teatru w Wiedniu, który chciał wystawić magiczną operę. Mozart podszedł do tego najpierw jak do żartu, ale im dłużej nad tym utworem pracował, tym bardziej przekształcał się on w prawdziwy hołd składany człowiekowi.

Susanna zaśmiała się. – Jeśli cokolwiek pozytywnego wyłoni się dla mnie ze sprawy Sutherlanda, to znacznie większa wiedza na temat opery. – Najpierw Teller, a teraz Laurie.

Słuchały w ciszy jednej strony płyty. Laurie przewróciła ją na drugą i wróciła do kanapki, na której siedziała Susanna z głową odrzuconą do tyłu i zamkniętymi oczyma. Susanna spytała nie otwierając oczu: – Co chciałaś mi powiedzieć, Laurie? – Niemal dodała, że przecież może jej zaufać, ale powstrzymała się, bo byłoby to tak nieprofesjonalne.

– Ten pistolet.

– Tak? – Otworzyła oczy i zwróciła twarz w jej stronę.

– Sędzia Conover groził nim żonie.

– Słyszałam o tym.

– Od kogo?

– Nieważne. Nic w tym mieście nie pozostaje na długo tajemnicą.

– Sędzia Conover groził żonie tym pistoletem, bo miała romans z Clarence'em. Czy o tym też wiedziałaś?

– Snuto na ten temat domysły...

– To prawda. Kiedy sędzia Conover dowiedział się o tym, wpadł w szal, rozwalił kilka rzeczy w gabinecie i...

– I co?

– I powiedział, że zabije oboje.

– Skąd o tym wiesz? Byłaś tam?

– Byłam wystarczająco blisko, by to słyszeć. Straszna scena, kiedy sędzia wyjął pistolet... Boże... przez moment naprawdę myślałam, że ją zastrzeli.

– Ale oczywiście nie strzelił.

– Nie.

– A co z Clarence’em? Czy sędzia Conover mówił z nim o tym?

– Tak.

– Czy tę rozmowę też słyszałaś, Laurie?

Potrząsnęła głową. – Nie, Clarence mi o tym powiedział.

Susanna wyprostowała się. – Tak? A dlaczego to zrobił?

– Nie mam pojęcia... chyba, że był to jeszcze jeden sposób, żeby mnie zranić...

Susanna wyciągnęła rękę i dotknęła jej ramienia. Do diabła, przecież mogła przynajmniej być ludzka w tym wszystkim, nie? – Przykro mi, Laurie, wyciąganie tego wszystkiego musi być dla ciebie tak bolesne.

– W porządku. – No tak, tyle że wcale nie było w porządku. Mimo tego stwierdzenia, w jej oczach pojawiły się łzy. – Clarence dbał o to, żebym wiedziała o jego innych kobietach. Pewnie nie miałabym tak wiele przeciw temu, tak przynajmniej sędzę, gdyby się w kimś naprawdę zakochał, ale tak nie było nigdy. Zawsze tylko przechwalał się seksem, kimś, kogo poderwał w barze, albo kimś...

– Kimś jak Cecily Conover? – Żadnej odpowiedzi. Ale cisza była bardzo wymowna. – Jak długo mieli ze sobą romans?

– Nie wiem, czy to się kiedykolwiek skończyło. Zawsze mi opowiadał... spotykali się w jego mieszkaniu albo w hotelu, albo nawet w Sądzie...

– W sali sądowej?

– Nie, w biurze Clarence’a. Jedyny raz, kiedy coś takiego rzeczywiście miało miejsce w sali sądowej, było... wstyd mi o tym mówić... to było ze mną. Paskudne, prawda? Chyba nie po to moi rodzice opłacili swojej kochanej córeczce studia prawnicze...

Naturalną reakcją Susanny było współczucie, ale chciała też, by Laurie nie przerwała, i wcale nie musiała jej zachęcać.

– To się zdarzyło tylko raz – powiedziała Laurie – i nie było znowu takie okropne, jak to przedstawiłam. Nie poszliśmy na całego w sali sądowej, ale niewiele brakowało. Clarence miał skłonności do błazenady – inni twierdzili, że do sztuczek. Często pracował do późna, przy czym uwielbiał wchodzić do sali sądowej i udawać, że jest przewodniczącym Sądu Najwyższego. Zasiadał na głównym krześle i na głos wydawał prawne decyzje, choć sala była pusta i ciemna, z wyjątkiem okazji, kiedy byłam z nim.

– Czy to się często zdarzało?

– Nie, niezbyt często...

– I któregoś wieczoru kochaliście się tam?

– Jakoś tak, by użyć przestarzałego określenia, zebrało mu się na amory, więc trochę pieściliśmy się i całowali. Bałam się, że może wejść ktoś z ochrony, ale Clarence zupełnie się tym nie przejmował. Gdyby to tylko od niego zależało, to pewnie...

Susanna uśmiechnęła się. – Kolejny staroświecki termin... pewnie doszłoby do całkowitego zbliżenia?

– Tak.

Skończyła się druga strona płyty. Laurie podniosła się i zapytała: – Jeszcze coś w tym stylu czy coś lżejszego?

– Coś lżejszego.

Puściła George'a Shearinga, z mnóstwem smyczków, po czym podeszła do kwiatków, pogłaskała je z przesadną czułością, odwróciła się i powiedziała: – Cholernie się boję, Susanno.

– Czego?

– Tego, że tam jestem.

– W Sądzie?

– Tak. Wielki Boże, nie chcę wyjść na dziwaczną, wylęknioną panienkę, ale przecież, jak się zdaje, gdzieś tam po Sądzie Najwyższym chodzi sobie morderca...

Susanna podeszła do niej. – Czy jest coś, czego mi nie mówisz? Czy Clarence zwierzał ci się z czegoś...?

Najpierw próbowała zaprzeczyć, ale potem przytaknęła. – Tak, zwierzał się...

– I?

– I myślę, że zrobił to jeden z sędziów...

Susanna wskazała na kanapę. – Usiądźmy. A teraz mów.

– Clarence zawsze opowiadał, że ma kluczyk do każdych drzwi, do każdej osoby w Sądzie. Znał kompromitujące dla sędziów rzeczy.

– Dokładniej jakie?

– Dokładnie nie wiem, chociaż przypuszczam, że przez sam fakt, że był blisko, mógł wiele wiedzieć. Pracował w końcu bezpośrednio z Poulsonem i twierdził, że Poulson to jedynie marionetka prezydenta Jorgensa i że potrafi to udowodnić.

– Mnóstwo ludzi wręcz to stwierdzało, bądź tylko snuło domysły na temat Poulsona, Laurie. Tak naprawdę, tego typu zarzuty powtarzają się od lat pod adresem każdego przewodniczącego. Myślę jednak, że było w tym coś więcej – powiedziała z przekonaniem Laurie. – Jedna sprawa, to wpływ, jaki wywierają na przewodniczącego poglądy polityczne prezydenta, który mianował go na to stanowisko, a inna, kiedy Biały Dom bezpośrednio

wpływa na decyzje podejmowane przez Sąd Najwyższy.

– Czy tak miały się sprawy w przypadku Poulsona?

– Clarence twierdził, że tak, i powiedział, że ma na to dowody. Utrzymywał, że gdyby to wszystko ujawnić, to poleciałyby głowy w Sądzie, a być może i sam prezydent.

Susanna gwizdnęła. – Poproszę jeszcze trochę kawy – powiedziała – i kieliszek brandy, jeśli masz.

– Mam.

Rozmawiały nadal o przewodniczącym Poulsonie i jego związkach z Białym Domem. Laurie nie potrafiła niczego więcej powiedzieć, nie widziała bowiem na własne oczy dowodów, o których mówił Clarence, ale zdawała się być przekonana, że mogły stanowić realną groźbę dla przewodniczącego Sądu Najwyższego, a nawet prezydenta Stanów Zjednoczonych. Co mogło stanowić wystarczający powód do morderstwa.

– A co z innymi sędziami? – zapytała Susanna. – Opowiedziałas mi o sędzim Conoverze i romansie jego żony z Clarence’em. Czy są jeszcze inni, których Clarence mógł skompromitować poprzez swoje wiadomości o ich prywatnym życiu?

– On miał chyba jakiegoś haka na nich wszystkich, Susanno. Pamiętam, jak kiedyś mówił na temat sędziego Childsa. Zaśmiał się i powiedział: „Ładny mi bohater. Oszust”.

– Sędzia Childs? Przecież jego bohaterstwo w Korei jest w pełni udokumentowane...

– Nie wiem. Wiem tylko, że budzę się w środku nocy i widzę twarze sędziów. Śni mi się, że cała dziewiątka stoi przed ławą. Clarence zasiada w fotelu przewodniczącego... tak samo jak wtedy, kiedy został zamordowany. Śmieje się z nich, wyzywa od durni i oszustów. Każdy z sędziów ma pistolet i jeden z nich strzela Clarence’owi prosto w czoło...

– Który?

– Nie wiem. To tylko sen i, dzięki Bogu, zawsze się budzę.

– Gdybyś miała posłuchać wewnętrznego głosu, Laurie, to który by to był?

Nerwowy śmiech. – Naprawdę nie wiem, Susanno. Ale gdybym musiała zawęzić trochę pole poszukiwań, powiedziałabym: Conover, Poulson albo Childs. Z tego, co mi wiadomo, ci właśnie mieliby prawdziwe powody. Wiem, ile się mówi na temat związków Clarence’a z kobietami, ale nie sądzę, żeby zabiła go kobieta. Parafrazując stare powiedzenie, poradziłabym ci tak, Susanno: za tym kryje się mężczyzna...

Dwadzieścia minut później Susanna siedziała w swoim samochodzie. Zapуściła silnik, złapała mocno kierownicę i powiedziała do siebie: – Szukaj mężczyzny. Szukaj kobiety. Szukaj, gdzie sobie chcesz, ale, oczywiście, nie szukaj mnie...

W dzielnicy Chevy Chase dwaj mężczyźni skończyli przeszukiwać gabinet doktora Sutherlanda.

– Mam – powiedział jeden z nich.

– Tak jest – stwierdził drugi. – To dokumenty badań MKULTRA. Nieważne, co tam jest. Tego przecież chcą. Idziemy.

ROZDZIAŁ 22

– Jestem pewna – powiedziała Vera Jones do doktora Chestera Sutherlanda następnego ranka. – Proszę tylko spojrzeć...

Spojrzał przez jej ramię na nie domkniętą szufladę z dokumentami, oznaczoną literkami MNOP. – Czy na pewno zniknęła ją pani wczoraj przed wyjściem? – zapytał.

Popatrzyła na niego uważnie. – Zamykam i sprawdzam te dokumenty od dwudziestu dwóch lat, doktorze, a wczorajszy wieczór nie był w tym względzie żadnym wyjątkiem.

– No tak, oczywiście, przepraszam. Sprawdziła pani, czy czegoś brakuje?

– Jeszcze nie. Sądziłam, że przed zrobieniem czegokolwiek powinnam wpierw powiadomić pana.

– Czy sprawdzała pani mój gabinet?

– Nie.

Sutherland, który właśnie jadł śniadanie, kiedy zadzwoniła z sekretariatu, i który nadal miał na sobie pidżamę i szlafrok, wszedł do pokoju, w którym przyjmował pacjentów. Vera szła tuż za nim.

– Wygląda, że wszystko w porządku – stwierdził. – Czy sprawdziła pani pozostałe szuflady?

– Mówiłam panu, że...

– Tak, tak, wiem. Proszę więc teraz to zrobić. Ja sprawdzę tutaj.

Już przy wejściu nagle się odwróciła, jedną rękę trzymając na biodrze. – Czy mam powiadomić policję? – spytała.

– Nie, najpierw sprawdźmy, czy coś w ogóle zginęło.

Zamknęła za sobą drzwi. Sutherland podszedł do pokrytej boazerią ściany, nacisnął ją w sobie znanym miejscu i otworzyły się drzwi. Za tymi niewidocznymi drzwiami w ścianie ukryty był sejf i wbudowane dwie zamykane na klucz szafy do przechowywania dokumentów. Dotknął mechanizm sejfu – był zamknięty. Podobnie szafki z dokumentami. Wyciągnął kluczyk z kieszeni szlafroka i otworzył górną szafkę. Szuflada leciutko wysunęła się na nylonowych prowadnicach i po chwili spoglądał na rządę oznaczonych symbolami czerwonych plastikowych teczek. Nie musiał wcale dokładnie się przyglądać, by wiedzieć, że niektórych brakowało. Specjalne podpórki utrzymywały je w pozycji pionowej, teraz leżały bezładnie jedna na drugiej.

– A niech... a niech to szlag trafi.

Zapukała Vera.

– Chwileczkę – powiedział i zamknął szufladę, szafkę i specjalną, maskującą ściankę.

– Sprawdziłam – powiedziała. – Zdaje się, że niczego nie brakuje. A może jednak zapomniałam pozamykać wieczorem.

– To tak niepodobne do ciebie.

– Jestem tylko człowiekiem.

Zrobił krok w jej kierunku, a potem jakby zeszytniał i podszedł do kawowego stoliczka, który służył mu za biurko.

– Czy tutaj było cokolwiek przestawiane? – zapytała.

– Nie... nic... w ogóle. Czy jesteś pewna, że wszystko w porządku na zewnątrz?

– Tak.

– Ten otwarty zestaw... zawierał dokumenty na P. Czy historia leczenia sędziego Poulsona tam była?

– Tak, oczywiście.

– To dobrze. Vero, może powinniśmy porozmawiać.

– O czym?

– O morderstwie Clarence'a.

– Dlaczego? I o czym tu dyskutować?

– Mógłbym to uważać za odmowę i kategoryczny sprzeciw.

– Ależ proszę, doktorze... Śmierć Clarence'a stanowiła bolesny cios dla nas wszystkich. Pograżeni w smutku, próbujemy dojść do siebie, przeboleć to i dostosować życie do tej sytuacji.

– Chodź, usiądź tutaj. – Klepięciem wskazał miejsce na kanapce obok siebie. – Proszę, usiądź na minutę.

Niepewnie usiadła przy nim na kanapie, a jej długie, smukłe palce prostowały spódnice na kolanach. Położył swoją rękę na jej dłoni i uśmiechnął się. – Jesteśmy z sobą od dawna, Vero, i wiele przeszliśmy razem...

Vera nic nie odpowiedziała.

– Ludzie, którzy przeżywają wspólnie tyle, co my, stają się sobie bliscy, czasami nawet bliżsi niż krewni. – Ona patrzyła wprost przed siebie, jej piersi podnosiły się i opadały w rytmie oddechu pod bluzką zapiętą pod samą szyję, choć jej ręka pod jego dłonią spoczywała na kolanie bez drżenia.

– Życie to kumulacja epizodów, Vero. Wszyscy mamy skłonności do egzystencji z dnia na dzień, a tym, co robimy, dzielimy się tylko z niewielką liczbą ludzi, którym

pozwalamy zajrzeć do naszego życia. Są to ludzie, którym powierzamy nasze tajemnice.

Odwróciła twarz i spojrzała na niego. – Jeśli to twój sposób na sprawdzenie, czy nie została naruszona moja lojalność wobec ciebie i twoich tajemnic, to muszę powiedzieć, że to mi się bardzo nie podoba...

Próbował coś wtrącić, ale ona szybko ciągnęła dalej.

– Nie, Chester, nie musisz się o mnie niepokoić, i sędzę, że doskonale zdajesz sobie z tego sprawę. Wciągnęło nas coś, co zakończyło się zniszczeniem Clarence’a. Ale już się to skończyło. Jego śmierć, choć tragiczna, przyniosła zakończenie sprawy.

Sutherland usiadł głębiej w kanapie, wyprostował palce i oglądał paznokcie, zmieniając położenie swoich palców na jej dłoni, jak jubiler zmieniający kąt widzenia, by przyjrzeć się połyskowi swoich klejnotów. Zadowolony najpewniej z ich wyglądu, spojrzał na nią i powiedział: – Wszystko się jakoś ułoży, prawda, Vera?

– Oczywiście, że tak, panie doktorze.

– Dziękuję ci, Vera.

– Nie ma za co dziękować – rzuciła idąc w kierunku drzwi. – Robimy to, co robić musimy... to znaczy, życie toczy się dalej.

Po jej odejściu Sutherland siedział na kanapie i wpatrywał się w tę część ściany, za którą ukryte były szafki z dokumentami i sejf. Podeszedł do telefonu w mniejszym gabinecie, odszukał numer w małym czarnym notatniku, który zabrał z biurka, i wykręcił numer. Odpowiedział William Stalk, dyrektor działu nauki i technologii Centralnej Agencji Wywiadowczej, który w tym właśnie momencie grał na video ze swoim synem w grę zwaną *space-invader*. – Dzień dobry, Chester. Czemu mogę zawdzięczać przyjemność tak wczesnego telefonu od ciebie dzisiaj rano?

– Jestem przekonany, że wiesz, dlaczego dzwonię.

Cisza.

– Dokonano włamania do mojego gabinetu. Wczorajszej nocy.

– Bardzo mi przykro. Zniszczyli coś?

– Nie, ale naruszono moje dokumenty.

Zaśmiał się. – Mam nadzieję, że nie świsnęli jakichś smacznych informacji o twoich pacjentach. Mogłoby to sprawić mnóstwo kłopotów wielu ludziom.

Sutherland już miał wspomnieć o zaginionych dokumentach MKULTRA, ale w ostatniej chwili się powstrzymał i zamiast tego powiedział: – Chciałbym się z tobą zobaczyć, Bill.

– Będę w domu całe rano. Żona uświadomiła mi kilka tygodni temu, że zbyt mało

czasu poświęcam chłopakowi, więc poświęcam cały dzisiejszy ranek, by z nim posiedzieć. Gramy sobie w taką grę telewizyjną, w której na ekranie pojawia się stale elektroniczny wróg, szybki i zajadły. Syn bije mnie na głowę, ale w końcu dużo więcej ćwiczę. I muszę ci powiedzieć, że te cholerne zabawy są zaraźliwe.

- Kiedy mogę się z tobą zobaczyć?
- Może dziś po południu, w moim gabinecie? O trzeciej.
- Będę, możesz na to liczyć.

Vera Jones siedziała za swoim biurkiem. Światelko palące się na jednym z przycisków telefonu zgasło. Wzięła ołówek i zaczęła pisać coś w notatniku. Chwilę później do sekretariatu wszedł Sutherland. – Odwołaj dzisiaj wszystkich pacjentów – powiedział.

- Dobrze. Zapisanych było czterech. Zadzwoń do nich.
- Równie dobrze możesz po tych telefonach iść do domu. Nie będzie mnie przez cały dzień.
- Może tak zrobię. Dziękuję.

Resztę dnia spędziła w sekretariacie na porządkowaniu dokumentów, sporządzaniu maszynopisów z przebiegu sesji z pacjentami, nagranych na dyktafonie przez doktora Sutherlanda, a także na swym maniakałnym zajęciu – przepisywaniu na maszynie notatnika z telefonami, który nie zawierał ani jednego odręcznego zapisu, bądź skreślenia.

O szóstej trzydzieści, po umyciu filiżanki po kawie, wyjęła z sekretnego schowka w biurku teczkę z dokumentami sygnowaną POULSON, J., otwarła ją i przeczytała pierwszą stronę, a potem tuzin innych, wszystkie skrupulatnie napisane na maszynie.

Gdyby ktoś zechciał sobie zadać tyle trudu i znalazł czas, by porównać strony dokumentacji Poulsona z materiałami zawartymi w innych teczkach, zapewne zdziwiłby się, że te stronicę, dokumentujące całe miesiące sesji terapeutycznych i wynikające z nich wnioski, są świeżo napisane na maszynie, jakby podczas jednego posiedzenia, co rzeczywiście miało miejsce. Vera zdawała sobie sprawę z pewnej nielogiczności tego faktu, i bardzo pragnęłaby jej uniknąć, ale nie miała innego sposobu na odtworzenie brakujących dokumentów. Nowe strony napisała na podstawie tego, co zapamiętała ze starych oryginałów, komentarzy doktora i jego analizy medycznej. Zrobiła po prostu, co mogła, a szanse, że ktoś to wykryje, powtarzała sobie, były znikome. Dokumentacja Poulsona dawno już znajdowała się w archiwum. Przestał być pacjentem doktora całe lata temu. Praktycznie nie istniały żadne powody, by Sutherland mógł zechcieć przejrzeć te notatki, i właśnie dlatego jego pytanie o tę

teczkę tak wyprowadziło ją z równowagi. Odtworzoną dokumentację przez cały czas trzymała w sekretnym schowku, niechętna, by poddać ją testowi w szufladzie sygnowanej MNOP. Teraz wiedziała już, że będzie musiała to zrobić. Dwukrotnie sprawdziła każdy zamek, wyłączyła światła i poszła do samochodu. Zapaliła silnik i siedziała w środku nie ruszając z miejsca, a całe jej ciało drżało z zimna i wewnętrznego niepokoju. Kiedy zaczęło działać ogrzewanie, pojechała pod swoje mieszkanie. Przez chwilę nie mogła się zdecydować, czy wysiąść, czy też pojechać gdzieś dalej. Myśl o spędzeniu samotnie długiej nocy była wprost nie do zniesienia. Przełożyła automatyczną skrzynię biegów na *drive* i skierowała się ku Rockville Turnpike, potem na południe przy Wisconsin do Connecticut Avenue i w dół Connecticut do Lafayette Park, gdzie, stojąc na czerwonym świetle, wpatrywała się w Biały Dom. Większość okien błyskała życiem bladożółtego światła, a wjazdowy portal przy bramie północnej, zaprojektowany jeszcze przez Tomasza Jeffersona, który tak sobie upodobali odwiedzający, oświetlały reflektory. Światła na skrzyżowaniu zmieniły się na zielone, a ona patrzyła dalej. Jakiś kierowca za nią niecierpliwie zatrąbił. Wtedy wyprostowała się, zerknęła w lusterko i przejechała przez skrzyżowanie.

Poczuła, że ogarnia ją panika. Jechała na pamięć, mijając róg za rogiem i pragnąc w każdy z nich skręcić. W końcu przejechała most Kutz Memorila i zaparkowała na Tidal Basin pod drzewami japońskich wiśni, które oczekiwały nadejścia wiosny.

– Wielki Boże, co się ze mną wyprawia – powiedziała chwytając mocniej kierownicę, jakby z niej miała zaczerpnąć siły. Nienawidziła siebie za takie chwile. Było to w końcu mięczakowate, obrzydliwe i niebezpieczne. Przerażeniem napawały ją momenty takiego zagubienia. Przecież to właśnie ona posiadała umiejętność trzeźwej oceny sytuacji w największym zamieszaniu, koncentracji na najistotniejszych kwestiach, podejmowania ważnych decyzji, by przywrócić ład i rozwiązać problemy.

Ale teraz siedziała samotna i wystraszona, i w rozpaczy marzyła o kimś, kto mógłby ją pocieszyć, do kogo mogłaby się przytulić, kogo mogłaby dotknąć i poczuć jego dotyk. Ogarnęło ją przemożne uczucie bezsilności. Ruszyła znowu, kierując się do M Street, Northwest, w Georgetown, gdzie po dłuższym poszukiwaniu znalazła w końcu miejsce do parkowania. Kiedy szła ulicą, zza uchylonych drzwi „Club Julie” dobiegł ją głos pianina i wspólnego śpiewania. Już miała zawrócić do samochodu, ale odgłosy muzyki, gwar rozmów i śmiech wciągnęły ją do środka.

Klub, jak na dzień powszedni, był niesłychanie zatłoczony. Dym z papierosów wypełniał całe pomieszczenie, co sprawiło, że otwarto drzwi frontowe.

Postanowiła, że jeśli nie znajdzie wolnego miejsca przy barze, to pójdzie sobie. Nie

interesowało ją wspólne, chóralne śpiewanie, choć lubiła patrzeć i słuchać, jak bawią się inni. Nie czuła się tu najlepiej podczas poprzedniej i jednocześnie jedynej wizyty w tym klubie. Jej partner uparł się wtedy, by usiedli tuż przy pianinie. Pomyślała o tamtym wieczorze i wzdygnęła się.

Nerwowo rozejrzała się wokół. Stołek przy rogu baru, tuż przy wejściu, zdawał się wolny, więc do niego podeszła. W miarę dobrze ubrany mężczyzna siedzący na stolku obok uśmiechnął się i powiedział: – Hello.

– Czy to miejsce jest zajęte? – zapytała. Zauważyła stojącą na barze pustą szklanę.

– Chyba ten ktoś wyszedł – odpowiedział mężczyzna. – Więc to miejsce należy do pani.

Usiadła i czekała, aż ją obsłużą.

– Pozwól, że kupię tej pani drinka – powiedział mężczyzna do barmana.

– Dziękuję, ale nie – powiedziała Vera. A potem już do barmana: – Proszę wódkę z tonikiem.

Barman przyniósł jej drinka i powiedział: – Od dawna tu pani nie widziałem.

Zaskoczył ją. – Byłam ostatnio bardzo zajęta – stwierdziła, żałując, że w ogóle się do niej odezwał.

– Tak, rozumiem – powiedział barman. – W każdym razie miło panią znów u nas widzieć. Dobrej zabawy.

Julie zagrał piosenkę znaną jej sąsiadowi z następnego stolka i mężczyzna przyłączył się do śpiewu. Nagle odwrócił się do niej i powiedział między zwrotkami: – Zna to pani?

Potrząsnęła głową.

Przestał śpiewać.

– Nigdy tu pani nie widziałem.

– Byłam tu tylko raz, i to dawno temu.

– Sympatyczne miejsce. Sam nieczęsto tu wpadam, ale wracałem do domu z zebrania i pomyślałem, że wdepnę na jednego i trochę śpiewu.

Ona sączyła bez słowa swojego drinka.

– Mieszka pani tu gdzieś w pobliżu?

– Nie.

– To może pracuje pani w okolicy?

– Nie.

– Jestem wicedyrektorem firmy komputerowej. Jesteśmy niewielkim... – Wyjął wizytówkę i wcisnął do jej ręki. Usiłowała ją odczytać w słabym świetle.

– Nazywam się George Jansson – powiedział wyciągając rękę.

Uścisnęła ją. – Na imię mi Vera.

– Vera? Śliczne imię i takie staromodne. – Podrapał się po głowie. – Chyba nigdy przedtem nie spotkałem żadnej Very. – Zaśmiał się. – Za to George’ów wkoło na kopy. Czy mogę pani postawić coś na drugą nogę? – Podniósł do góry obie ręce jakby w geście obronnym przed odmową. – Żadnych zobowiązań i żadnych podchodów. Po prostu miło się z panią rozmawia. – Spojrzał w głąb baru i zawołał: – Robbie, jeszcze jedna kolejka tutaj.

Naprawdę nie powinien już pić, pomyślała dwadzieścia minut później Vera. Był trochę wstawiony, nie to, żeby przestał być gentlemanem, ale zaczął pleść głupstwa. Nie mogła powiedzieć, żeby jej się nie podobał. Miał krótko przystrzyżone włosy, lekko siwiejące na skroniach, i dobrze patrzyło mu z oczu.

– Jeszcze po jednym? – zapytał.

– Nie, dziękuję. Naprawdę muszę już iść.

– Przecież jeszcze nie jest późno. Proszę zostać i towarzyszyć mi, niekoniecznie w picciu.

– Przepraszam, ale miałam ciężki dzień, a jutrzejszy wcale nie zapowiada się lepiej...

Julie ogłosił przez mikrofon, że teraz zagra coś na zamówienie i że będzie śpiewał jeden z jego ulubionych stałych klientów. Dobrze zbudowany mężczyzna w koszuli z kołnierzykiem zdecydowanie dla niego za ciasnym, z drinkiem w rękę, stanął przed mikrofonem i czekał na wstęp muzyczny do *Chicago*. Śpiewał z uczuciem, akcentując tytuł, który brzmiał u niego „Chick-cargo, Chick-cargo”.

Towarzysz Very przy barze poprosił o następną kolejkę.

– Nie, proszę, naprawdę nie mogę zostać...

– A może jeden na dobranoc gdzie indziej?

– Przykro mi...

Położył rękę na jej ramieniu i spojrzał w oczy. – Słuchaj, nie musisz się niczego obawiać. Jestem sympatycznym facetem, i wiem, co mówię. Ja po prostu... no... cieszę mnie pogadanie z kobietą. Wcale się do ciebie nie dowalam, uwierz. Moglibyśmy pójść i napić się kawy, posiedzieć trochę dłużej, to wszystko.

I było to dokładnie właśnie to, czego chciała, a w zasadzie czego bardzo jej było potrzeba... – No dobrze, ale tylko na chwilę...

– Czy masz samochód?

– Tak.

– To posłuchaj. Jakies parę minut w górę ulicy jest lokal czynny całą noc. Tam się

spotkamy. Mają świetny sernik. Lubisz sernik?

– Tak, tak się składa, że lubię. – Ze zdziwieniem przekonała się, że stać ją jeszcze na uśmiech. Ten gość był rzeczywiście sympatyczny.

– Dobrze. – Zapłacił rachunek, pomógł jej włożyć płaszcz, powiedział barmanowi dobranoc i przytrzymał drzwi, kiedy wychodziła. Zimna noc przyjemnie szczypała w twarz.

– Gdzie twój samochód? – zapytał.

Pokazała palcem. – Niedaleko stąd.

– Odprowadzę cię.

– To niekonieczne.

– Cała przyjemność po mojej stronie. Bez względu na to, co wygadują, rycerskość jeszcze nie umarła, a do tego nic nie kosztuje. – Wziął ją pod rękę i poszli w kierunku samochodu.

Ich spacer nie uszedł uwagi wszystkich. Właśnie kiedy ruszyli w drogę, pod „Club Julie” podjechał detektyw Teller. Natychmiast rozpoznał Verę. – Co ona tu robi? – zapytał samego siebie. Chciał pójść za nimi, ale zauważył, że zatrzymali się przy samochodzie. Mężczyzna otworzył drzwiczki i Vera wsiadła do środka.

– A to kto taki? – zadał sobie kolejne pytanie Teller, kiedy wysiadł z samochodu i udał się do swego ulubionego klubu. Stołki zajęte jeszcze przed chwilą przez Verę i dyrektora firmy komputerowej były teraz wolne, więc Teller usiadł na jednym z nich.

– Cześć, Marty – powiedział Robbie – miło cię znów widzieć.

– I nawzajem. Robbie, ta kobieta, która wyszła przed chwilą z facetem w garniturze – znasz ją?

Robbie wzruszył ramionami i potrząsnął głową.

– Czy przyszła z tym gościem?

– Nie, postawił jej kilka drinków i wyszli razem. On tu przychodzi regularnie.

– Nigdy jej przedtem nie widziałeś?

Robbie oparł się łokciami na barze. – Tak, widziałem ją kiedyś, ale chyba tylko jeden raz.

– Tutaj?

– Tak, parę miesięcy temu.

– Opowiedz mi o tym.

Robbie podał jakiemuś klientowi drinka, napisał zamówienie dla kelnera, po czym wrócił do Tellera. – A co ci mogę powiedzieć, Marty? Nie pamiętam każdej kobiety, która tu przychodzi.

– Spróbuj.

– Ważne?

– Może. A w trakcie sięgania w głąb pamięci, podaj mi dzin.

Barman podał mu drinka. – Okay, pamiętam ją trochę lepiej niż inne. Jest takim typem, no wiesz, taka spięta, akurtna, z taką twarzą, jakby wszystkim i wszystkiemu miała za złe i nic jej się nie podobało. Jakoś tak dziwnie mi się zdawało, że takiemu typowi kobiet nie może się u nas podobać. W końcu większość ludzi tutaj jest raczej na dużym luzie, nie?... Co jeszcze?... Ach tak, mam dodatkowy powód, żeby ją pamiętać, i to chyba jest prawdziwa przyczyna... Posprzeczała się z facetem przy barze i wyszła.

– Tym samym, co dziś?

– Nie, dużo młodszym.

– Tu go podłapała?

– Nie, przyszli razem, i to jeszcze jeden powód, dlaczego ich w ogóle zapamiętałem. On też nie pasował do tego miejsca. Taki młodziak z zadartym nosem, jeśli dobrze sobie przypominam. Przystojniak, dobrze ubrany. Nie pasowali ani do tego miejsca, ani chyba do siebie. Chociaż w dzisiejszych czasach nie bardzo już wiadomo, kto do kogo i do czego pasuje. W każdym razie siedzieli tam. – Wskazał na koniec baru, tuż przy pianinie. – Obsługiwałem ich i przez jakiś czas wszystko było w porządku, ale potem zaczęli się kłócić. Chciałem nawet to jakoś załagodzić, chyba zaproponowałem drinka na koszt firmy.

– No i jak się to skończyło?

– To akurat pamiętam. Ona wyszła, a on został. Chyba w końcu wyszedł z całkiem inną dziewczyną.

Teller wychylił połowę swojego drinka. Robbie chciał odejść, ale Teller powiedział: – Poczekaj, Robbie. Powiedz mi, jak wyglądał ten facet?

– Dokładnie nie pamiętam. Jak mówiłem, był młody, blond włosy, pewny siebie, i patrzył cały czas na wszystkich z góry.

– Pamiętasz zdjęcie tego aplikanta z Sądu Najwyższego, którego zamordowano?

Barman potarł w zamyśleniu podbródek. – Jasne, jak on się nazywał?

– Sutherland.

– Zgadza się... o rany...

– Co?

– Zgadza się. To mógł być facet, który był tu z nią tamtego wieczoru. Wyglądał jak ten ze zdjęcia...

Teller wyprostował się na stołku i wyrzucił ręce do góry w geście rozpaczy. – To ja

prowadzę dochodzenie w sprawie najważniejszego morderstwa w Waszyngtonie, z wyjątkiem zabójstwa Lincolna, a ty, kwalifikowany obserwator ludzkości, nie zauważasz czegoś tak ważnego. Więc był to ten sam facet, czy nie?

– Być może. Musiałbym zobaczyć zdjęcie.

Teller poszedł do samochodu, wyjął z teczki w bagażniku dużą, połyskującą fotografię Clarence'a Sutherlanda i wrócił do baru. Zaprosił Robbiego do kuchni, gdzie było lepsze światło. Robbie dokładnie przyglądał się zdjęciu.

– No i?

– Tak, to chyba ten sam.

– Chyba?

Robbie popatrzył na Tellera. – Daj spokój, Marty. W końcu to nie jest oficjalna identyfikacja na policji. Przychodzi tu mnóstwo ludzi. Nie mogę być zwyczajnie do końca pewny, ale gdybym się miał zakładać, to postawiłbym, że to ten sam facet.

Teller oparł się o zlew i głęboko zaczerpnął powietrza. – Robbie, nie mów o tym nikomu.

– A po co miałbym to robić?

– Ja tylko proszę – nie mów.

Szef, nielegalnie tu zatrudniony Juan, uśmiechnął się do Tellera: – Hej, detektywie, chce pan coś zjeść?

– Tak, fryty i „Julieburger”, średnio wysmażony, i nie przesadzaj z saradela. Ale też jej nie oszczędzaj.

Vera minęła restauracyjkę czynną całą noc i zobaczyła, jak George, dyrektor od komputerów, wysiada ze swojego samochodu. Nie chciała go zwieść i nie chciała złamać danego słowa, ale wszelkie poczucie winy przewyciężyła nagła i pilna potrzeba, by znaleźć się wreszcie w domu. Dodała gazu i neon restauracji był już po chwili tylko małą czerwoną kropką w lusterku jej samochodu.

ROZDZIAŁ 23

Chester Sutherland, zbliżając się do swojego domu w Chevy Chase, postanowił podjechać od tyłu i wejść do środka przez gabinet. Jadąc długą drogą dojazdową zauważył, że w domu nie świeciło się ani jedno światło, z wyjątkiem sypialni.

Nie od razu wysiadł z samochodu. Ostatnie siedem godzin stanowiło dla niego zamazany obraz. Kiedy skończyło się dwugodzinne spotkanie z Billem Stalkiem w siedzibie CIA, pojechał do swojego klubu, gdzie samotnie zjadł kolację. Potem zrobił coś, czego nie robił od lat – poszedł do kina. Film zupełnie mu się nie podobał, jakaś próba komedii zrobiona przez ludzi, których nazwiska pamiętał jak przez mgłę z oglądanego jeden jedyny raz programu satyrycznego *Saturday Night Live*. Młodzi ludzie na widowni byli natomiast zachwyceni. Ale w końcu, czy film mu się podobał, czy też nie, było bez znaczenia. Chodziło o zabicie czasu, o zatarcie świeżego wspomnienia zdarzeń tych dwóch godzin u Stalka. Spotkanie zaczęło się dosyć miło, a Stalk znowu mówił o swej fascynacji elektronicznymi gramami na video i o tym, że zamierza w przyszłości wziąć kilka dni urlopu i poćwiczyć, by móc stawić czoło synowi. Sutherland uprzejmie słuchał i nawet rzucił kilka uwag na ten temat, ale wiedział, że wkrótce skończą się wstępy i przejdą do sprawy, która go tu sprowadziła.

– A więc – powiedział Stalk zasiadając za biurkiem i wykładając nogi na blat – życzyłeś sobie rozmowy ze mną, Chester. Przez telefon brzmiało to tak, jakbyś był zdenerwowany, chociaż muszę przyznać, że gdyby ktoś włamał się do mojego biura, też byłbym zdenerwowany. – Zaśmiał się. – Z naszego punktu widzenia dobrze się składa, że nie miałeś żadnych dokumentów na temat projektu badawczego MKULTRA. Gdybyś je miał, mógłbym się przejmować, że ktoś miał okazję rzucić na nie okiem.

Sutherland wiedział, że Stalk bawi się z nim w kotka i myszkę. Jeszcze przed momentem nie był całkiem pewien, kto włamał się do niego, ale teraz nie miał już żadnych wątpliwości.

– Czy to sprawka Firmy, Bill?

Stalk przyjął wyraz twarzy człowieka zszokowanego i zaskoczonego. – Firma? Ależ kto by zrobił coś takiego człowiekowi, który jest ważną, godną zaufania częścią naszych operacji?

Sutherland, który nie jadł nic od śniadania, zresztą nie dokończonego ze względu na telefon od Very, poczuł nagle ssanie w żołądku i chętnie wypiłby drinka. Wiedział, że sprawa jest nadzwyczaj delikatna. Jeśli to nie CIA zabrała dokumenty, jego przyznanie się, iż w

rzeczywistości je przechowywał, pomimo tylu zaprzeczeń, uczyniłoby z niego nie tylko kłamcę, ale co gorsza – durnia. A jednak, jeśli nie był to ktoś z Firmy, czuł się zobowiązany donieść o tym człowiekowi i agencji, których działaniom kradzież mogłaby najbardziej zaszkodzić.

Postanowił przyznać, że przetrzymywał dokumenty i że te zniknęły, w nadziei, że jego szczerłość spowoduje podobnie szczerą reakcję ze strony Stalka. Ale tak się nie stało... Kiedy Sutherland wyznał prawdę, dyrektor wstał i rąbnął pięścią w biurko. – Niech to wszyscy diabli, wiedziałem, że tak będzie. – Szybkim krokiem podszedł do rzędu okien wychodzących na okoliczne laski, i przez chwilę Sutherland miał wrażenie, że wybije pięścią szybę. Zamiast tego kurczowo złapał się framugi.

– Przykro mi, Bill – powiedział Sutherland wstając, po czym zatrzymał się w pół drogi do Billa. – Musisz zrozumieć, że istniały różne powody, dla których uczestniczyłem w badaniach. Oczywiście, że jak najbardziej obchodzi mnie służba krajowi, kiedy mogę to robić, ale jestem także jednostką. Jestem naukowcem, albo powiedzmy przynajmniej, że zajmuję się nauką, i dla kogoś takiego jak ja największą zapłatą jest podniecenie wywołane odkryciem, badanie nowych dziedzin, rozumienie rzeczy zupełnie dotąd nieznanych. Nie mógłbym poświęcić tyle czasu i wiedzy, gdybym osobiście czegoś z tego nie miał. Nigdy o tym z nikim nie rozmawiałem, a dokumenty spoczywały bezpiecznie, aż do czasu zniknięcia, ukryte w moim prywatnym gabinecie. Dla mnie było niezmiernie istotne, że je przynajmniej miałem.

– Jak Nixon, który przetrzymywał taśmy – powiedział Stalk. Wcale go to nie bawiło. Twarz miał jak z granitu. Podszedł do biurka, otworzył szufladę i wyjął z niej kilka teczek. Sutherland od razu rozpoznał te, które zniknęły z jego gabinetu.

– A więc to jednak wy – powiedział Sutherland.

– Jasne, że to my, Chester, i wielkie szczęście, że to my, a nie ktoś inny. Kilka lat temu, gdybyśmy tylko wiedzieli, że te dokumenty istnieją, zrobilibyśmy to samo, tylko że w znacznie mniej dyskretny sposób. Obecnie społeczeństwo amerykańskie zdaje się życzyć sobie dużo więcej dyskrecji przy włamaniach.

Sutherland pochylił się do przodu. – A po co brać je teraz? Powiedziałem ci przecież, że nikt inny poza mną nigdy ich nie widział. Jedyne ja miałem do nich dostęp.

Stalk wrzucił dokumenty z powrotem do szuflady i zamknął ją z hukiem.

Sutherland, siedzący w fotelu, zaczerpnął głęboko powietrza. Wiedział, co się teraz stanie.

– Nie byłeś jedynym człowiekiem, który miał dostęp do tych dokumentów, i świetnie o

tym wiesz, Chester. Twój syn był drugim.

Sutherland spoglądał na podłogę. – Cokolwiek mój syn zrobił, czy miał zrobić, zapłacił za to, Bill. Czy musimy go teraz atakować? Cokolwiek wiedział... o ludziach, o innych rzeczach, cokolwiek mógłby zrobić, by spowodować szkody... Bóg świadkiem, że poniósł karę, bez żadnej szansy odwołania, bez żadnego pardonu. Mój syn, sir, nie żyje. Czy to n i e dość?

Stalk przytaknął głową. – Współczuję ci, Chester. Myślałem o twoim synu dziś rano, kiedy grałem na video z moim chłopakiem. Sądzę, że największą stratą jest utrata dziecka, bez względu na jego wiek.

Sutherland poczuł, że wywraca mu się żołądek.

– Dobrze się czujesz, Chester?

– Tak... Nie podoba mi się to, co zrobili twoi ludzie, ale chyba rozumiem motywę...

– Chester, jest to dla nas bardzo trudny okres. Atakują nas ze wszystkich stron, co nie całkiem ułatwia nam działania. Było tyle przecieków, które nas wykończyły, a do tego wedle Ustawy o Dostępie do Informacji musieliśmy ujawnić niektóre dokumenty dotyczące MKULTRY. Oczywiście, że trochę je wyczyściliśmy, w zasadzie tak, jak się tylko dało, i zatrzymaliśmy w tajemnicy więcej, niż zapewne powinniśmy, ale przecież sam dobrze wiesz, jak ujawnienie całego przedsięwzięcia skompromitowałoby ten naród. Kiedy zorientowaliśmy się, że prawda przez nas nie ujawniona zaczęła wychodzić na wierzch, byliśmy, ujmując to delikatnie, bardzo zaniepokojeni. Najpierw przypuszczaliśmy, że informacje przeciekają z naszego działu i bardzo się nabiedziliśmy próbując znaleźć przeciek i zatkać go. Ale kiedy rozejrzeliśmy się na zewnątrz, odkryliśmy, że to twój syn opowiadał w pewnych kręgach, że ma dostęp do dokumentów ojca. Oczywiście, nie mogę ci zdradzić, skąd dotarły do nas te informacje. Jaka cholerna szkoda, powiedziałem do siebie i naprawdę tak czułem, kiedy sytuacja zupełnie się wyjaśniła. Jaka cholerna, sakramencka szkoda. *What a damn bloody shame.*

Pomimo wszystko Sutherlanda zirytowało użycie przez Stalka brytyjskiego słowa *Bloody*. Zauważył od dawna, że grube ryby z CIA miały skłonność do wtrącania wyrażonek zapożyczonych od swych brytyjskich odpowiedników.

Stalk zamknął na klucz dokumenty Sutherlanda, wrzucił kluczyk do kieszeni marynarki, wstał, wyszedł zza biurka i poklepał psychiatrę po plecach. – Wiesz, Chester, dziwny jest ten świat, i czasem trzeba niezwykłych ludzi i niezwykłych osiągnięć, by uczynić go trochę normalniejszym. Nie ma żadnej wyraźnej linii odgraniczającej dobro od zła. W większości przypadków idzie po prostu o przetrwanie. Jedni to rozumieją, inni nie. – Zdjął

rękę z ramienia Sutherlanda i podszedł do drzwi. W tym momencie spotkanie dobiegło końca.

Przy drzwiach Stalk uścisnął dłoń Sutherlanda. – Byłbym bardzo zadowolony, gdybyś zechciał wrócić do programu, ale zrozumieć, jeśli okaże się to dla ciebie zbyt trudne. Jeśli tak właśnie się stanie, to najlepiej będzie, jeśli w ogóle przestaniesz się tu pojawiać.

Pomysł powrotu do supertajnego programu badawczego CIA rozśmieszył wręcz Sutherlanda. Niemniej wypadało zapytać: – Dlaczego miałbyś zapraszać mnie do udziału w programie w świetle tego, co przydarzyło się z dokumentami?

– No cóż, Chester, nie obraż się, ale kiedy człowiek popełni taki błąd, jaki przydarzył się tobie, wtedy zazwyczaj daje się łatwiej kontrolować. Znajomość z tobą, Chester, była dla mnie prawdziwą przyjemnością. Powodzenia we wszystkich przyszłych przedsięwzięciach. A tak przy okazji, gorąco polecam zakupienie jednej z tych gier video. To wspaniały sposób na ucieczkę od prawdziwych problemów...

Sutherland wysiadł teraz z samochodu i przez tylne wejście wszedł do sekretariatu. Jak zwykle, Vera zostawiła włączone specjalne światło na noc – dużą, przezroczystą plastikową gęś, którą ofiarował jej w prezencie pięć lat temu. Mała żarówka w podstawie podświetlała figurkę i rzucała ciepłe, blade światło na całe pomieszczenie.

Włączył główne oświetlenie, wyjął klucz z kieszeni i otworzył szufladę sygnowaną MNOP. Dotknął teczki z napisem Poulson, J., i już miał zajrzeć do jej wnętrza, ale po chwili odłożył ją i zamknął szufladę. Przeszedł do części mieszkalnej domu, rzucił okiem na pocztę pozostawioną na stoliku przy schodach, a potem wolno wszedł na pierwsze piętro, gdzie otworzył drzwi do sypialni.

Jego żona Eleanor czytała coś, pólleżąc na szezlongu.

– Więc jesteś w domu – powiedział Chester – sądziłem, że to kwestowanie potrwa dłużej.

– Nie poszłam – odpowiedziała, zdejmując okulary i patrząc na niego przymrużonymi oczami.

– Dlaczego?

– Nie potrafiłam znaleźć w sobie ani zainteresowania, ani siły. – Nie sprawiała wrażenia zmęczonej, powiedziała to mocnym głosem.

Zdjął marynarkę i powiesił ją w szafie, potem zdjął buty i usiadł na krawędzi ich małżeńskiego łóża.

– A gdzie ty byłeś?

– Miałem spotkanie, potem zjadłem kolację w klubie, a następnie poszedłem do kina.

– Do kina? Ty do kina? Przecież nie byłeś w kinie, odkąd sięgam pamięcią.

– Potrzebowałem chwili rozrywki – stwierdził rozpinając guziki koszuli.

– To imponujące.

– Co w tym imponującego? A cóż takiego niezwykłego w pójściu do kina?

– Nie chodzi o kino, Chester. Imponuje mi twoja potrzeba rozrywki. Nie miałam pojęcia, że ty w ogóle potrafisz zdobyć się na takie ludzkie potrzeby.

Rozumiał aż za dobrze, że szukała pretekstu do kłótni. Poszedł do łazienki przy sypialni, zamknął za sobą drzwi, wziął szybki, gorący prysznic, włożył na siebie frotowy szlafrok i powrócił o Eleanor, która stała teraz przed osiemnastowiecznym francuskim sekretarzykiem. Trzymała w ręku to, co czytała na szezlongu – gruby pakiet listów. Była w tym momencie szczególnie piękna z twarzą, której gładkość podkreślał smutek obecny na niej od czasu śmierci Clarence’a. Platynowe blond włosy miała upięte w luźny kok, a pojedyncze kosmyki okalały piękną, szlachetną twarz.

– Co czytasz?

Odpowiedziała tak cichutko, że nie zrozumiał. Zapytał więc raz jeszcze.

Odwróciła się do niego. – Listy od Clarence’a, Chester. Listy, które pisał z college’u i których ty nigdy nie miałeś czasu przeczytać.

Szybkim, nerwowym krokiem przemierzył pokój. – Bzdura – powiedział przez ramię – przeczytałem wszystko, co kiedykolwiek napisał...

– Tylko dlatego, że nalegałam. Siedziałeś i udawałeś, że go słuchasz, udawałeś, że odpowiadasz na to, o co cię pyta, ale tak naprawdę nigdy cię to nie obchodziło. Nigdy nie interesowałeś się własnym synem... Właściwie szkoda, że nie był jednym z twoich pacjentów, bo może wtedy...

– Dość, Eleanoro. Tyle razy już o tym mówiliśmy.

Patrzył, jak opuszcza listy na sekretarzyk, jakby rzucała je do kominka. Widać było wyraźnie drzenie rąk, kiedy musiała szukać oparcia na krawędzi sekretarzyka. Kiedy zwróciła się ku niemu, jej niebieskie oczy błyszczały gniewem. – On nie żyje, Chester, i ja uważam, że to ty go zabiłeś – och, wcale nie musiałeś pociągnąć za spust, Chester. Istnieją inne sposoby na wykończenie człowieka bez konieczności użycia pistoletu...

– Powiedziałem dość, Eleanoro. Czy ty piłaś?

– Jakie to dla ciebie typowe, Chester, i jakże powierzchowne, by szukać zewnętrznej przyczyny czegoś, co ci sprawia przykrość. Czy ja piłam? Mówiąc w przenośni, spijałam słowa syna, którego już nie mam, i jestem pijana jego utratą.

– Jestem zmęczony, Eleanor, może porozmawiamy o tym jutro rano...

Jej reakcja zupełnie go zaskoczyła. Zgarnęła listy z sekretarzyka, podbiegła do niego i

rzuciła mu je w twarz. – Przeczytaj je, Chester – krzyknęła. – Przeczytaj je teraz, kiedy nie ma to już żadnego znaczenia. Posłuchaj po raz pierwszy w życiu, co twojemu synowi leżało na sercu.

Róg jednego z listów uderzył go w oko. Złapał się za nie i zwinął się z bólu. – Na jakim sercu?

Stanąła za nim, położyła mu ręce na ramionach i odwróciła go do siebie. – Za co go tak nienawidziłeś? – spytała. Po jej policzkach spływały łzy.

Wyprostował się, nadal zakrywając dłonią oko. – To nieprawda, że go nienawidziłem, Eleanoro. Kochałem go, niech to szlag... a właściwie niech go szlag. Był zły...

– Czy tak powinien mówić psychiatra?

– Być może właśnie tak. Czasami wydaje mi się, że takie zachowania ubieramy w zbyt ładne słowa. Są ludzie na tym świecie, Eleanor, którzy są zwyczajnie źli i choć serce mi pęka, kiedy to mówię – nasz syn był, niestety, jednym z takich ludzi...

Wiedział, co go spotka, i wcale nie próbował tego uniknąć. Jakby chciał tego. Prawą ręką uderzyła go prosto w twarz. Kiedy nie zareagował, uderzyła raz jeszcze, a potem złapała go za gardło i wbiła mu w ciało paznokcie. Schwycił ją w końcu za nadgarstki i uwolnił się. Małe strużki krwi spływały mu po szyi z miejsc, w których jej paznokcie przebiły skórę, i zatrzymywały się na kołnierzu szlafroka.

– O Boże... Przepraszam cię, Chester... tak mi przykro... – drżała jak w konwulsjach.

– Wszystkim nam teraz przykro, Eleanor. Przepraszam... Będę spał na dole...

ROZDZIAŁ 24

Martin Teller zerknął na zegar przechodząc przez salę komisariatu w Stołecznej Komendzie Policji. Było za piętnaście dziewiąta, czyli kwadrans do jego codziennego, porannego rytuału z Dorianem Marsem.

Detektyw przypisany do sprawy Sutherlanda zatrzymał go i powiedział: – Znam nowy polski dowcip, Marty.

– Nie jestem ciekaw. Poza tym dowcipy o Polakach są teraz w złym guście.

Detektyw spojrział ze zdziwieniem na kolegę i wzruszył ramionami. – Barrrrdzo przepraszam – powiedział. Teller wszedł do swojego gabinetu i zatrzasnął za sobą drzwi.

Dzień zaczął mu się paskudnie. Koty zaczęły walczyć z sobą przy śniadaniu i rozlały jego kawę po całym dywanie. Kilka minut później zadzwoniła do niego eks-zona z Paryża w stanie Kentucky, by go poinformować, że ich córka rzuca college, bo jest w ciąży. – Kto to zrobił? – spytał Teller, bo w ogóle nie miał pojęcia, co w takim wypadku należy powiedzieć. – Nie wiem, Marty, ale przyjeżdża do domu za parę dni, więc może wtedy się dowiem. – A potem, kiedy wychodził z domu, zauważył na ścianie ogłoszenie, że ze względu na naprawy nie będzie przez trzy dni ciepłej wody.

Detektyw, który miał do zaoferowania polski dowcip, otworzył drzwi i zapytał: – Grasz dzisiaj, Marty? – Chodziło o międzywydziałową grę w pokera.

– Nie, i zamiast gry w pokera proponuję, byś wraz z innymi genialnymi tropicielami przypisanymi do mnie spędził ten wieczór na spacerze po każdym barze w mieście, osobliwie w miejscach dla samotnych poszukujących partnerów – ze zdjęciem Sutherlanda w ręce.

– Każdym barze?

– Zaczynajcie od Georgetown. Przepytajcie barmanów, dziewczuszki, które się tam szlajają, facetów szukających kochasiów. Jutro rano chcę mieć listę barów, które sprawdziliście, i ma być gotowa przed dziewiątą.

– To dużo ponad nadgodziny, Marty.

– Czy to formalna skarga?

– Nie. Co ci się stało? Dlaczego tak się wściekasz z samego rana?

– Pewnie wynika to z położenia księżycy względem mojego słońca.

– Nie bądź dziecinny.

– Nie jestem dziecinny. Masz dzieciaki?

– Żadnych, o których bym wiedział.

– Strasznie dają w tyłek. Do roboty.

– Tak, życzę miłego dnia.

Teller wziął garnuszek ze śladami kawy z wczorajszego dnia, poszedł do komisariatu i, wrzucając do miseczki dwadzieścia pięć centów, nalał sobie kawy ze wspólnego ekspresu. Wrócił do gabinetu, powiesił marynarkę i usiadł za biurkiem. Było dziesięć po dziewiątej. Nakręcił wewnętrzny numer Doriana Marsa. – Marty? – zgłosił się Mars. – Gdzie jesteś? Czekam.

– Darujmy sobie dziś rano nasiadówkę, Dorian. Nie mam ci nic do przekazania. Byłaby to tylko strata czasu.

– Nic nie szkodzi. I tak musimy się spotkać u mnie każdego dnia. Sama rozmowa może przynieść nowe pomysły. Jak przepuścisz taką sprawę przez maszynkę wystarczająco wiele razy, to w końcu wyjdzie ci świetny hamburger.

– Co takiego?

– No chodź, Marty.

– Nie. Muszę uporządkować pewne sprawy. Spotkajmy się później.

Mars głośno westchnął. – No dobrze, Marty. A tak przy okazji, czy wszystko w porządku?

– Mam się znakomicie, Dorian, pierwszorzędnie, w zgodzie z całym światem i bliźnimi. Życie to naprawdę bajka, prawdziwy kabaret, że boki zrywać.

– Uspokój się, Marty.

Teller zadzwonił na wartownię i nakazał sierżantowi na służbie, by go z nikim nie łączył aż do odwołania.

– Właśnie jest telefon do pana, poruczniku. Już miałem łączyć.

– Kto to taki?

– Pańska Miss Pinscher, ze Sprawiedliwości.

– Mo j a? No dobrze. Odbiorę ten, ale to ostatni.

– Dzień dobry – powiedziała Susanna.

– Dzień dobry, jak się masz?

– Dobrze. Myślałam, że zadzwonisz.

– Byłem okropnie zajęty. Przepraszam.

– Ale nie po to dzwonię. Chciałabym ci przekazać, czego dowiedziałam się w rozmowie z Laurie Rawls.

Teller porwał kartkę papieru i zdjął nasadkę z długopisu. – Strzelaj – powiedział.

– Pamiętaj, jak mówiłam, że może uda mi się nawiązać z nią siostrzane stosunki. I

tak się stało... Zjadłam z nią kolację w jej mieszkaniu i zwierzyła mi się.

– Co powiedziała?

Zaczęła czytać z notatek, które zrobiła zaraz po wyjściu z mieszkania Laurie: Laurie pracuje z powrotem dla Conovera, wstępne głosowanie w sprawie *Nidel kontra Illinois* na korzyść Nidel, potwierdzenie, że Cecily Conover i Clarence mieli z sobą romans i że sędzia Conover wypomnił to obojgu. Teller słuchał z uwagą, robiąc własne zapiski aż do momentu, kiedy zaczęła opowiadać o tym, jak Clarence zasiadał wieczorami w sali sądowej i błaznował, oraz o tym, że on i Laurie pewnego razu niemal się tam kochali.

– W Sądzie Najwyższym? To zabawa miłosna na najwyższym szczeblu.

– Jego umiłowanie dla stołka przewodniczącego może wyjaśniać, dlaczego na nim siedział w tę noc, kiedy go zamordowano. Nikt nie musiał go tam zwabiać. Chodził tam z własnej woli, niemal z przyzwyczajenia...

– Jedź dalej.

– Laurie utrzymuje, że Clarence chełpił się przed nią kiedyś, iż ma... Jak ona to nazwała?... Ma klucz do wszystkich drzwi, do każdej osoby w Sądzie. Clarence ewidentnie zebrał jakieś kompromitujące albo całkiem rujnujące każdą z nich informacje. Tak przynajmniej jej powiedział.

– A skąd czerpał te dane?

– Też zadałam jej to pytanie. Ona twierdzi, że zapoznał się z nimi dzięki tak bliskiej współpracy z sędziami.

– A co z jego ojcem? Czy wspomniała o nim?

– W jakim kontekście?

– Że leczył ludzi zamożnych i u władzy, i że Clarence mógł przez niego zdobyć jakieś informacje.

– Nie rozmawialiśmy o tym.

– Okay, coś jeszcze?

– Laurie mówi, że sędzia Poulson jest swego rodzaju marionetką prezydenta Jorgensa i że Biały Dom bezpośrednio wpływa na decyzje podejmowane w Sądzie. Twierdzi poza tym, że Clarence miał dokumenty potwierdzające to wszystko i że... oto co dokładnie powiedziała: ma na to dowody. Utrzymywał, że gdyby to wszystko ujawnić, to poleciałyby głowy w Sądzie...”

– Czy telefon, z którego dzwonicz, jest pewny?

– Tak sędzę...

– Nie sądz. Upewnij się.

– Jestem w swoim pokoju w Ministerstwie Sprawiedliwości.

Już miał jej powiedzieć, że telefon w Ministerstwie Sprawiedliwości jest chyba tak niepewny, jak każdy inny w Waszyngtonie, ale ugryzł się w język. Chciał, by relacjonowała dalej.

– To już prawie wszystko – powiedziała. – Mówiła mi, że Clarence wiedział, iż sędzia Childs to dmuchany bohater, i że mógł to udowodnić.

– Jak?

– Nie wiem i nie sędzę, żeby ona wiedziała. W każdym razie, ona radzi, żeby szukać mężczyzny...

– Zdaje się, że już to kiedyś słyszałem.

– Childs powiedział, żeby szukać kobiety, pamiętasz?

– Taa... Sądzisz, że ona to zrobiła?

– Laurie? Nie, ale moja opinia nic tu nie znaczy. A co ty myślisz?

– Kto wie? Ciężko w tej grze nawet wyliczyć wszystkich jej uczestników. – Spojrzał na swoją pustą tablicę na ścianie.

– Detektywie Teller, pokazałam swoje karty. Czas, byś ty się teraz odkrył.

– Bardzo bym chciał, ale nigdy nie zdawałem sobie sprawy, że telefon może być substytutem...

– Teller... przestań natychmiast... czy dowiedziałeś się czegoś nowego?

– Nic a nic.

– Na pewno? Bardzo by mi się nie podobało, gdyby to miało się okazać wyłącznie ruchem jednokierunkowym, ja mówię ci wszystko, a ty wszystko zatrzymujesz dla siebie.

– Dasz radę wybrać się ze mną na kolację w tym tygodniu?

– Nie. Biorę kilka dni wolnego, żeby pojechać z jednym z moich dzieci odwiedzić dziadka w Kalifornii. Aha, czy wiedziałeś, że Mozart napisał *Zaczarowany flet* na zamówienie jednego z właścicieli teatru?

– Tak.

– Naprawdę?

– No pewnie. Zaczął pisać taki sobie lekki kawałek, a wyszło mu bardzo poważne dzieło...

– A niech cię.

– Zadzwoń po powrocie.

Z pudełka, w którym kupił tablicę, wyjął cały zestaw kolorowych, magnetycznych symboli i nalepek z plastyku, rozłożył je na biurku, i zmazywalnym pisakiem zaczął

wypisywać nazwiska podejrzanych. Rozmyślał, jak podzielić ich na kategorie – *Osobiste* i *Profesjonalne*, *Kobiety* i *Mężczyźni*, *Sąd* i *Rodzina*. Zdecydował się na ostatnią, napisał te słowa na największej z magnetycznych nalepek i przylepił ją na tablicy. Potem dodał trzeci nagłówek – *Osobiste*, by umieścić w tej grupie wszystkich, którzy nie podpadali ani pod *Sąd*, ani pod *Rodzinę*.

Nagle pojawił mu się problem przy przypisywaniu do każdej kategorii poszczególnych nazwisk. Ci z Sądu, jak Poulson, Conover i Childs, mogli mieć znacznie więcej osobistych niż profesjonalnych powodów, by zabić Clarence’a. Albo i jedno, i drugie? Na razie to zostawił, przynajmniej ze względu na rozmieszczenie na tablicy.

Kiedy skończył, tablica połyskiwała czerwienią, zielenią, żółtością i błękitem.

SĄD

Sędziowie

Poulson

Childs Conover

Aplikantka L. Raverwis

RODZINA

dr C. Sutherland

Pani Sutherland

Siostra

OSOBISTE

Znajomi

(Mężczyźni)

Childs Sutherland

(Kobiety) C. Conover

Zastanawiał się, gdzie umiejscowić Verę Jones. Zobaczenie jej w „Club Julie” i przekonanie, że utrzymywała bliskie stosunki z Clarence’em z pewnością czyniło z niej główną podejrzaną. Najpierw przypisał ją do grupy *Osobiste*, a potem zmienił na *Rodzina*. Jedno i drugie bliskie.

Zmrużył oczy i popatrzył na tablicę jako na grę kolorów. Wrzucił na tablicę kolorowe magnetyczne strzałki, które miały łączyć poszczególne nazwiska, ale przekonał się, że to niewiele wносиło. Poza tym chciał mieć więcej miejsca przy każdym nazwisku na ewentualne

uwagi. Zmienił więc ustawienie na tablicy w układ pionowy.

SAD

Sędziowie Poulson

Childs

Conover

Aplikantka L. Rawls

RODZINA

dr C. Sutherland

Pani Sutherland

Siostra

Vera Jones

OSOBISTE

Znajomi

(Mężczyźni)

(Kobiety) C. Conover

Z dużych liter ułożył nazwisko Clarence'a i umieścił je na górze tablicy, potem je zdjął, zmienił na OFIARA i powtórnie zawiesił na tablicy. Następnie usiadł przy biurku i ułożył motywy dla każdego z podejrzanych.

Poulson – pacjent ojca. Poplecznik Białego Domu.

Childs – dmuchany bohater???? (Znalazł magnetyczne, pomarańczowe znaki zapytania, więc użył czterech z nich, by wyrazić swe wątpliwości).

Conover – zazdrość, żona i nieboszczyk.

Dr C. Sutherland – naruszenie jego dokumentacji???? (Znów szereg znaków zapytania).

Pani Sutherland?? – Nic o niej nie wiedział, a zużył już cały zapas znaków zapytania. Pożyczył więc dwa z poprzednich linijek.

Siostra – nic.

Vera Jones – kobieta odtrącona, możliwy romans.

Znajomi – Zdjął nazwisko Laurie Rawls z wykazu SAD i włożył je do tej kategorii.

Obok nazwiska umieścił *Zazdrość*.

Stworzył jeszcze jedną kategorię. *RÓŻNE*. Żadnych podejrzanych w tej grupie, jak dotąd. Otwarta kategoria w oczekiwaniu.

Postanowił, że nie życzy sobie, żeby inni oglądali tę tablicę, więc dzwonił po całym wydziale, aż znalazł u kogoś duży arkusz papieru pakowego, którym ją przykrył. Wreszcie poszedł do publicznej budki telefonicznej na dole i zadzwonił do Paryża w stanie Kentucky. Odpowiedziała eks-żona.

– Są jakieś nowości?

– Dzwoniła. Jutro przyjeżdża do domu.

– Co mówiła?

– Głównie płakała.

– Słuchaj, przekaz jej, żeby koniecznie powiedziała temu facetowi, że jej ojciec jest policjantem.

– Dlaczego?

– Jak to dlaczego? Może nie będzie tak szybko zwiewał, kiedy się dowie, że jestem gliną.

– A może właśnie będzie tym prędzej uciekał... tyle że nie sędzę, żeby w ogóle próbował zwiać dokądkolwiek, Marty. Ona mówi, że się kochają.

– Cudownie. Zadzwoń do mnie zaraz, jak się zjawi w domu.

– Dobrze. Proszę, nie praw jej żadnych morałów. Jestem pewna, że to się jakoś ułoży.

– Na pewno... jak wszystko inne.

ROZDZIAŁ 25

Susanna, czując się wspaniale po raz pierwszy od dłuższego czasu, upajała się życiem w pierwszym dniu pobytu w skromnym, tynkowanym na żółto domku ojca w St. Helena. Siedziała sobie na patio, przy kutym stoliku, na którym stał mrożony napój z rumu, świeżo zmiksowany sok bananowy, w sandałach na stopach i okularach słonecznych chroniących ją przed oślepiającym słońcem popołudnia, i patrzyła, jak w ogrodzie jej syn i ojciec rzucają do siebie piłeczkę baseballową.

Później, po uczcie z kurczaka z rożna i gotowanych kaczanów kukurydzy, zasiadła z ojcem na patio oświetlonym tylko jedną lampą gazową o chybotliwym płomyku. Popijali kawę i opowiadali sobie, co przydarzyło im się w życiu od czasu ostatniego spotkania.

– Bardzo żałuję, że nie możesz zostać dłużej – powiedział. – Dobrze cię tu mieć z sobą.

– I mnie tu dobrze... – i opowiedziała mu o dochodzeniu w sprawie Sutherlanda i wszystkich stresach, jakie powodowało.

– Sądzisz, że w ogóle odkryjecie, kto to zrobił?

– Po prostu musimy... Mam nadzieję, że część jutrzejszego dnia poświęcę na spotkanie z Danem Brazierem. – Opowiedziała mu o powiązaniach Braziera z sędzią Morganem Childsem i jej przeczuciu, że były dziennikarz może rzucić trochę światła na całą sprawę.

– Czy sędzia Sądu Najwyższego naprawdę jest podejrzany?

– Może być. – Ucięła temat, nie wspominając nawet, że nie jeden, a trzech sędziów, Childs, Conover i Poulson, może okazać się podejrzanymi.

– A dlaczego mówisz „musimy”? Kto „my”?

– Ludzie pracujący nad tą sprawą, a głównie detektyw ze Stołecznej Komendy Policji, Martin Teller. – Powiedziała mu co nieco o Tellerze. Kiedy skończyła, uśmiechnął się. – Co cię tak bawi?

– Zdaje się, że lecisz trochę na tego policjanta.

Teraz zaśmiała się ona. – Kto wie? Wcale nie jest takim sobie zwyczajnym policjantem... uwielbia operę, nazywa swoją kotkę Bestią, a kota Pięknotą.

Ojciec wzdrygnął się i szybko zmienił temat, co robił zawsze, kiedy zaczynała mówić zbyt dużo o mężczyznach w jej życiu. – A ten Dan Brazier – powiedział – jesteś z nim umówiona?

– Nie. Miałam zamiar zadzwonić, ale chyba po prostu tam wpadnę. Mam adres.

– Nie podoba mi się to.

– Co ci się nie podoba?

– Nic mi się w tym nie podoba, a przede wszystkim sam fakt, że uczestniczysz w śledztwie o morderstwo. Dlaczego nie rzucisz tego wszystkiego, a zwłaszcza Waszyngtonu, i nie wrócisz tutaj?

– Nie mogłabym być tak daleko od dzieci, tato.

– To przywieź je z sobą. I tak powinny być z matką.

– Proszę, nie zaczynamy tego od początku.

Dotknął leciutko jej dłoni. – Okay, ale coś ci powiem, Susanno. Nikt mnie nigdy nie przekona, że sędzia Sądu Najwyższego Stanów Zjednoczonych mógłby w ogóle kogoś zabić, a co dopiero z zimną krwią, w sali sądowej, i do tego, jak dowiedziałem się z gazet, na fotelu przewodniczącego.

– Prawda bywa dziwniejsza niż fikcja, tato. Co, jak sądzę, sprawia, że fikcja tak rzadko oddaje prawdę. To oczywiste, że trudno w coś takiego uwierzyć... W każdym razie, ja wcale nie mówię, że zrobił to jeden z sędziów. Mógł to być równie dobrze współpracownik, kochanka lub kochanek, ktoś z rodziny.

Kiedy wstał i przeciągnął się, zauważyła, że zaczyna zapuszczać brzuch. – Jeśli to ma być któryś z nich, Susanno, to postawiłbym na Conovera. Zazdrość... to potężna emocja i potwornie destrukcyjna. Niektóre stany automatycznie usprawiedliwiają zabicie kochanka żony, wiedziałaś o tym?

– Teraz wiem. – Oglądali we trójkę telewizję do dziesiątej, a potem ona oznajmiła, że na nią już czas. – Nie martw się o jutro – powiedział jej ojciec. – Rich i ja damy sobie radę we dwóch. – Poklepał wnuka po głowie.

– Dziękuję – powiedziała Susanna. – Wiem, że dacie sobie radę.

Następnego dnia wyjechała z domu o dziesiątej, prowadząc ojcowski samochód mercury combi z 1976 roku. Przejechała przez miasteczka, które uczyniły Kalifornię producentem win – Rutherford i Napa, Pleasanton i Mission San Jose, w dół przez równiny po obu stronach drogi nr 680, obok winnic Charlesa Kruga i Beringera, Beaulieu i Braci Christian, aż ruch uliczny zgęstniał, kiedy dojechała do Bay Bridge łączącego San Francisco z Oakland. Stąd miała już do pokonania niewielką odległość przez Embarcadero do Broadwayu w North Beach. Odszukała mieszkanie Braziera i nacisnęła dzwonek. Żadnej odpowiedzi. Postanowiła pójść na spacer i od czasu do czasu sprawdzać, czy ktoś jest w domu.

Przeszła przez cały Fisherman's Wharf, zatrzymując się niekiedy przed sklepami, kupiła oprawny w skórę notatnik od ulicznego sprzedawcy, gruby wełniany pulower od innego. Dzwoniła do Braziera kilkakrotnie, ale bez skutku. *Lunch* zjadła w Buena Vista, gdzie po raz pierwszy w Stanach Zjednoczonych podano irlandzką kawę, i wypła espresso późnym popołudniem w jednej z kafejek na Ghirardelli Square.

Wzięła taksówkę do miejsca, gdzie zaparkowała samochód. Ponieważ stał niedaleko od mieszkania Braziera, postanowiła jeszcze raz tam zajrzeć. Tym razem na dzwonek drzwi otworzyła Sheryl Figs.

– Hello – powiedziała Susanna. – Szukam Dana Braziera. – Nie bardzo wiedziała, czy na twarzy Sheryl maluje się rozczarowanie czy zakłopotanie, czy jedno i drugie.

– Nie ma go.

– A wróci? Przepraszam, nazywam się Susanna Pinscher. Pracuję w Ministerstwie Sprawiedliwości w Waszyngtonie i...

– Wiem, znam panią, to znaczy znam nazwisko. Czytałam o pani.

– Tak? Przyjechałam do Kalifornii odwiedzić ojca w St. Helena i... – W tym momencie uświadomiła sobie, że krzyczy przez całe piętro, podobnie jak Sheryl.

– Przepraszam bardzo – stwierdziła Sheryl. – Nie chciałabym być niegrzeczna. Czy chce pani wejść na górę?

– Tak, dziękuję.

Susanna weszła do małego, zagraconego mieszkania.

– Proszę wybaczyć bałagan – powiedziała Sheryl. – Wróciłam z pracy godzinę temu i postanowiłam posprzątać. A zawsze, kiedy to postanowię, tracę zupełnie głowę. Dana nie ma, ale powinien wkrótce się pojawić.

Sheryl wytarła ręce w poplamiony fartuch ozdobiony filcowymi naszytymi nożami i widelcami. – Niedawno czytałam artykuł o pani i morderstwie w Sądzie Najwyższym. Przesłuchiwała pani jednego z sędziów w powietrzu, w samolocie.

– Tak... Proszę pani, przepraszam, że wpadłam tak bez uprzedzenia, ale naprawdę próbowałam wcześniej dzwonić.

– Byłam w pracy. Pracuję przy komputerach. Dan na pewno... wie pani... on lubi wychodzić na świeże powietrze.

– Jest śliczna pogoda.

– Wiem, też nienawidzę siedzieć cały czas w zamknięciu. – Podniosła oczy do góry. – Co za bałagan. Chciałam to wszystko poskładać, zanim wróci Dan. Z niego taki porządniś, pedancik, a ja taka bałaganiara.

Susanna zajrzała do pokoju. Na podwójnym łożu, które zajmowało większą część pokoju, leżały szuflady z serwantki. Sheryl szybko powiedziała: – Chciałam zrobić w nich porządek, zanim Dan wróci do domu. Czasami wpadam w taki nastrój i...

– Ja też – powiedziała Susanna – ale zdecydowanie za rzadko.

Sheryl, która reagowała jakby w zwolnionym tempie, powiedziała: – Nie powinnam była się do tego zabierać tak późną porą. Muszę się wziąć za kolację.

Susanna spojrzała na zdjęcie Braziera i Morgana Childsa. – Jakie interesujące fotografie – powiedziała.

– Byli tak dobrymi przyjaciółmi... Dan poszedł się z nim zobaczyć, kiedy on był tu kilka dni temu.

Susanna spojrzała na nią: – Naprawdę?

– Tak. Sędzia Childs wygłosił przemówienie, a Dan potem poszedł z nim na drinka. Właściwie, na więcej niż jednego. – Uśmiechnęła się. – W zasadzie chyba się trochę upili, jak mówił Dan, i skończyło się na tym, że Dan robił pompki, a sędzia Childs liczył... Dan powinien być niedługo w domu. Na pewno się ucieszy, że przyszedł. Ja...

Susanna przyjrzała się jej uważnie. Jeśli dobrze odczytywała wyraz twarzy Sheryl, to prawdopodobnie Dan Brazier wcale się nie ucieszy z jej wizyty. Pomyślała o odejściu, ale nie zrobiła tego. W końcu prowadziła dochodzenie w sprawie morderstwa. – Czy mogę skorzystać z telefonu? Chciałabym zadzwonić do ojca i przekazać mu, że się trochę spóźnię. Zostawiłam z nim syna i boję się, że obaj zastanawiają się teraz, co się ze mną dzieje.

– Ależ oczywiście. Jest w kuchni. – Stuknęła się ręką w czoło. – Przepraszam, ale nie działa, a ja obiecywałam Danowi, że zadzwonię do firmy telefonicznej, żeby go naprawili. Może pani zadzwonić z telefonu w sypialni, jeśli go pani znajdzie w tym bałaganie.

Susanna ruszyła w stronę sypialni.

– Miss Pinscher.

Zatrzymała się. – Tak?

– Może zechciałaby pani zostać na kolacji? Nie wiem dokładnie, gdzie jest Dan, ale czasem się zagaduje i wtedy nie wraca do domu na kolację. Zawsze się coś zmarnuje. Gotuję dla dwojga, a kończy się tak, że zjadam sama. W każdym razie, gdyby wrócił do domu... no, chyba nie będzie miał nic przeciw towarzystwu. – (Znowu nie sprawiała wrażenia, że jest o tym przekonana). – Proszę zostać. Zrobię Mopsiki.

– Jedna z moich ulubionych potraw.

– Zaraz się do nich zabiorę. – Strzeliła palcami. – Wiedziałam, że o czymś zapomniałam. Zawsze o czymś zapominam. Potrzeba mi paru składników... Wyskoczę na

chwilę, żeby je kupić. Będę za minutkę.

Susanna machnęła ręką i powiedziała: – Ależ proszę sobie nie robić kłopotu. Tak naprawdę powinnam wrócić i zjeść kolację razem z rodziną...

– Nie, bardzo proszę. Proszę zwyczajnie zostać i czuć się jak u siebie w domu. Wrócę za chwileczkę. Może napiłaby się pani drinka? Chyba zostało nam trochę dżinu. Sama, jeśli już, piję wino, chociaż też niespecjalnie za nim przepadam, ale lubię Danowi dotrzymywać towarzystwa. Kupię też wino. – Zarzuciła na siebie brązowy płaszcz, przerzuciła torebkę przez ramię i otworzyła drzwi. – Ani się pani nie obejrzy, a już będę z powrotem.

Trzaśnięcie drzwiami odbiło się echem po całym mieszkaniu. Susanna zajrzała do sypialni i pod stosem swetrów znalazła telefon. Podniosła go i wykręciła najpierw numer kierunkowy, a potem numer telefonu ojca. – Moja dawno temu utracona córka – powiedział. – Gdzie jesteś?

– W mieszkaniu Dana Braziera, tato. Zostałam zaproszona na kolację. Masz coś przeciw temu?

– Jesteś pewna, że chcesz tam zostać?

– Tak. Wprawdzie jeszcze go nie ma, ale jego dziewczyna... chyba tak mogę ją nazwać... jego dziewczyna zaprosiła mnie i chcę skorzystać z tej okazji.

Po drugiej stronie na moment zapanowała cisza. – Dlaczego nie wrócisz do domu, Susanno? To długa podróż samochodem i będę się o ciebie niepokoił.

– Nie zostanę długo, obiecuję. – Popatrzyła na stos rzeczy na łóżku. Jedna z szuflad, opróżniona z ubrań, zawierała stertę małych, oprawnych w skórę notatników. Wzięła jeden i otworzyła go...

– Cóż, Susanno, jeśli się upierasz, Rich i ja jakoś damy sobie radę – mówił dalej ojciec. – Będzie musiał ścierpieć moje gotowanie, ale z pewnością je przeżyje.

– Co takiego?

– Powiedziałem, że moje gotowanie go nie zabije.

Ale ona w ogóle już nie słyszała, co powiedział. Na jednej ze stron, które przerzucała prawie bezmyślnie, widniał zapis: *Dr Chester Sutherland, psychiatra*, i jego adres w Chevy Chase.

– Odmawia jedzenia po raz kolejny kurczaka. Nie wiem, co jeszcze mam. Niewiele dla siebie gotuję, ale...

– Tato, do zobaczenia.

Zamknęła notatnik i już miała go wrzucić z powrotem do szuflady, kiedy wyczuła czyjaś obecność w pokoju. Odwróciła się natychmiast.

Rzuciła notatnik.

– Kim pani, do diabła, jest?

– Jestem...

On odwrócił głowę i powiedział do jakiegoś niewidocznego człowieka: – Dzięki za pomoc, Harry. Do zobaczenia jutro. – Drzwi się zamknęły. Brazier powtórnie skierował uwagę na Susannę. – Pytałem, kim pani jest? I cóż, u diabła, robi pani w mojej sypialni?

Susanna zmusiła się do uśmiechu. – Oba pytania są znakomite... Nazywam się Susanna Pinscher, panie Brazier. Pańska... Miss Figgs poprosiła mnie, żebym została na kolację. Wyszła na chwilę, żeby...

– A czemu się pani tak przyglądała?

– Co takiego?... Niczemu się właściwie nie przyglądałam. Dzwoniłam do ojca, żeby mu powiedzieć, iż wrócę do domu później, on mieszka w St. Helena...

– Niechże pani przestanie. Miała pani coś w ręku, kiedy wszedłem. Jeden z tych notatników z szuflady...

Popatrzyła na szufladę. – Notatników? Nie, naprawdę niczemu się nie przyglądałam. – Zrobiła kilka kroków w kierunku drzwi, które blokował Brazier i jego szeroki metalowy wózek inwalidzki. Wyciągnęła rękę. – Przyjechałam tu w odwiedziny z Waszyngtonu – powiedziała. – Pracuję nad sprawą morderstwa Clarence'a Sutherlanda z ramienia Ministerstwa Sprawiedliwości i myślałam, że skoro i tak tu jestem, to zajrzę do pana.

– Po co?

– Ponieważ był pan tak blisko sędziego Morgana Childsa... a on, w końcu, zasiada w tym Sądzie...

– Wynos się. – Powiedział to ze złością i nawet uniósł w górę zaciśniętą pięść. Wiedziała, że był pijany. – Wynos się natychmiast.

– W porządku, ale nie mogę nigdzie pójść, dopóki się pan nie przesunie.

Popatrzył na nią przekrwionymi oczami i nadal nie opuszczał pięści. Nie bardzo wiedział, czy usunąć się z drogi, czy zostać w miejscu i uniemożliwić jej przejście. Susanna wzięła głęboki oddech i zrobiła krok w jego kierunku. – Wychodzę – powiedziała. – Proszę mnie puścić.

Zawahał się, a potem przesunął wózek do tyłu zostawiając jej jedynie tyle miejsca, by mogła przejść. Susanna szybko ruszyła do wyjścia i otworzyła frontowe drzwi. Na schodach spotkała Sheryl z torbami pełnymi zakupów.

– Bardzo mi przykro – powiedziała Susanna – ale muszę iść. Mój syn źle się czuje, a ojciec uważa, że powinnam natychmiast wracać...

– Kupiłam steki i wino...

– Bardzo przepraszam, następnym razem. – Poczekała, aż Sheryl wejdzie na półpiętro, a potem zbiegła ze schodów i wypadła na ulicę. Gdyby zajęło jej to minutę dłużej, usłyszałyby odgłos uderzenia. Dan Brazier uderzył Sheryl w twarz, a jej ciało z hukiem odbiło się od drzwi.

Susanna pobiegła do samochodu i pojechała tak szybko, jak potrafiła, do St. Helena. Jej ojciec i syn byli całkowicie pogrążeni w grze w warcaby.

– Szybka kolacja – powiedział ojciec.

– Tak. Błagam o drinka.

– Koktajl?

– Nie, bourbon, bez rozcieńczania.

ROZDZIAŁ 26

– Dlaczego nie chcesz mi zaufać?

Temple Conover, który właśnie zszedł na dół na śniadanie, oparł łaskę o oparcie krzesła. – Zaufać tobie, Cecily? *Fide, sed cui vide.*

– Ty i te twoje przekłete obce wyrażonka.

– Ufaj, lecz bacz, komu.

Kłótnię, rozpoczętą jeszcze na górze, w sypialni, zapoczątkował telefon od Martina Tellera, który prosił o spotkanie z Cecily.

Podeszła do męża, stanęła za jego krzesłem i dotknęła jego szyi. On wzdrygnął się cały i wykrzywił w grymasie twarz. – Jak mogłaś zrobić coś takiego? – powiedział chrapliwym głosem.

– Już ci mówiłam, Temp. Byłam zdenerwowana, zupełnie przerażona, naprawdę. Ty groziłeś mi tym pistoletem i nie wiedziałam, co zrobić...

On wypił kilka łyków soku pomarańczowego, podczas gdy ona obeszła dookoła stół i usiadła na krześle naprzeciw niego.

– Nie rób takiej nadąsanej miny – powiedział.

– Nie mów mi, co mam robić ze swoją twarzą.

Pochwyił łaskę zza oparcia krzesła i wyciągnął ją w jej stronę. Ona skoczyła na równe nogi i wrzasnęła ile sił w płucach: – Nie waż się więcej podnosić na mnie tej rzeczy. Nie waż się mi więcej grozić, Temple, nigdy, przenigdy. – Łzy. – Boże, jak ja cię nienawidzę.

W jego głosie brzmiał spokój. – Tak, wiem o tym. Zaniósłś pistolet na policję, nie dochowałaś mi wierności i jeszcze do tego dopilnowałaś, żebym się o tym dowiedział. Ten dom to dla mnie Getsemani. Podajesz mi w soku cykuteę.

– Wiesz przecież, że nie rozumiem twojego pieprzonego górnotnego gadania...

– Ale za to świetnie rozumiesz, co znaczy zdradzić, to ci przychodzi z łatwością, nie mówiąc już o kłamstwach i oszustwach. – Otwartymi dłońmi uderzył z całej siły w blat stołu. Sok wylał się ze szklanki Cecily, plamiąc jasnyniebieski lniany obrus.

Kiedy mówił, stała zwrócona tyłem do stołu, z założonymi rękami. Teraz, kiedy skończyła już płakać, twarz, której on nie widział, miała spokojną, zrelaksowaną. Słyszała, jak popija sok, a potem dobiegł ją dźwięk widelca podnoszącego z talerza jajecznicę. Bez odwracania się w jego stronę powiedziała: – Zaniósłam pistolet, Temple, bo to ty go zabiłeś.

Właśnie podnosił po raz drugi widelec do ust. Zamarł w bezruchu, patrząc na nią zza

okularów.

– Słyszałeś mnie, Temp? Powiedziałam...

– Słyszałem. Oprócz twoich innych zacnych cech, jesteś jeszcze w dodatku nieźle głupia.

Ona odwróciła się wolno. – Naprawdę jestem? Temple, jestem tak przepełniona nienawiścią. Nie mogłeś znieść, że Clarence stąpa po tej samej ziemi co ty. Co on ci zrobił takiego, Temple, z wyjątkiem tego, że dał trochę ciepła i rozrywki kobiecie, którą podobno kiedyś kochałeś... – Zatrzymała się, oczekując na nieodłączny wybuch po takich słowach, na podniesienie laski, na rzucanie talerzami. Nic takiego nie nastąpiło. On siedział spokojnie i tylko się uśmiechał.

– A może chodziło o jego ambicje, których nie mogłeś ścierpieć. Taki młody człowiek robiący karierę, który sprawiał, że ty czułeś się tak stary?...

– Ciągnij dalej.

Nie bardzo wiedziała, jak zareagować, co dalej powiedzieć. Usiadła więc i wypła łyk zimnej kawy. – Czy to jego szanse na objęcie stanowiska w Białym Domu przeważały szalę goryczy?

– Branie kiedykolwiek pod uwagę kogoś takiego, jak Clarence Sutherland, w przymiarkach do obsadzenia ważnej funkcji administracyjnej w naszym rządzie byłoby i tak nie do zniesienia dla większości przyzwoitych ludzi.

Ona potrząsnęła głową. – Uwielbiasz mi dokuczać, wymawiając, że nie jestem ani tak mądra, ani przyzwoita jak ty, panie sędzio, prawda? No cóż, może jednak nie jestem aż taka głupia.

Wyciągnął rękę i nacisnął guzik, którego dźwięk rozlegał się po całym domu, co stanowiło część systemu zainstalowanego po pierwszym wylewie jakiego doznał, i umożliwiał mu wezwanie pomocy z każdego pomieszczenia w domu. Chwilę później w drzwiach pojawił się Karl.

– Zadzwoń do transportu w Sądzie i powiedz, żeby dziś rano nie przysyłali samochodu. Ty mnie zawieziesz, Karl.

Karl zerknął na Cecily, potaknął głową i zniknął.

Conover wsparł się na poręczach krzesła i wstał. W ciągu ostatnich kilku miesięcy jego zdolność chodzenia poprawiła się na tyle, że mógł odrzucić kulę na rzecz bardziej tradycyjnej laski, którą teraz ujął w dłoń. – Przekaż pozdrowienia panu detektywowi – powiedział. Przez moment milczał, a potem dorzucił: – Może zainteresują cię moje plany...

– Jakie plany?

– Po pierwsze, dziś rano będziemy konferować na temat sprawy aborcji. Mam zamiar udowodnić, że wolność wyboru jeszcze coś znaczy w tym kraju, nawet dla biednych kobiet. Następnie zamierzam złożyć rezygnację z funkcji w Sądzie i spędzić czas, który mi jeszcze pozostał, samotnie, by zachować resztki spokoju umysłu. Moje odejście z Sądu zbiegnie się z wystąpieniem o rozwód z tobą.

– Cóż, kochany Temple, nie zamierzam pokrzyżować ci żadnych planów. Oczekuję tylko należnego udziału jako twoja przez ponad pięć lat wierna i oddana ci żona.

Udało mu się powstrzymać gniew, kiedy wolniutko przeszedł przez pokój.

– Będę walczyła o swoje – dodała.

Przystanął, odwrócił się i oparł ciężko na lasce. – Cecily, przez ostatnie sześć miesięcy każdy twój krok był pilnie śledzony przez firmę prywatnych detektywów...

– Kazałeś mnie szpiegować? Jakie to podłe, Temple.

– Tak, zgadza się. Ale wet za wet. No cóż, jak to mówią, życzę miłego dnia.

Wyjął płaszcz z szafy w korytarzu, włożył go na siebie i wyszedł na zewnątrz, gdzie czekał Karl za kierownicą wypucowanego czerwonego cadillaca. Conover nic nie powiedział siadając na tylnym siedzeniu wozu i spoglądając na dom. Cecily stała w oknie. – Tak cholernie śliczna – mruknął. – I cholera to właściwe słowo.

Kiedy Karl odjeżdżał, pod dom zajechał właśnie Martin Teller. Conover spojrzał na niego, odwrócił się i zamknął oczy. Karl zerknął w lusterko. Conover często zasypiał po drodze do Sądu, co Karlowi zupełnie nie przeszkadzało. Nie lubił rozmawiać ze starszym panem.

Teller zadzwonił do drzwi. Służący je otworzył, wziął od niego wizytówkę i za chwilę wrócił. – Mrs. Conover zaraz pana przyjmie – powiedział z wyraźnym irlandzkim akcentem.

Cecily siedziała przy śniadaniowym stole w nasłonecznionym pokoju. – Dzień dobry – powiedziała. – Kawy?

– Nie, dziękuję. Bardzo też dziękuję, że zechciała mnie pani przyjąć praktycznie bez uprzedzenia. Zazwyczaj staram się te rzeczy ustalać wcześniej, ale pilnie potrzebuję z panią porozmawiać właśnie dzisiaj.

– Całą przyjemność po mojej stronie. Proszę usiąść.

Teller, który wcześniej oddał płaszcz i kapelusz służącemu, usiadł na krześle zajmowanym niedawno przez sędziego Conovera.

– Są jakieś postępy w dochodzeniu? – spytała Cecily.

– To nigdy nie idzie szybko, Mrs. Conover. Trzeba żmudnej pracy z dnia na dzień i składania klocka po klocku. Jeśli ma się trochę szczęścia, to uda się zgromadzić tyle części

układanki, by rozpoznać twarz.

– Rozumiem. Więc czym mogę panu służyć?

Górna część jej szlafroka rozchyliła się i odsłoniła część jej piersi. Spojrzał w drugą stronę i zapytał: – Dlaczego przyniosła mi pani pistolet męża, Mrs. Conover?

– Powiedziała panu, dlaczego – bałam się. Temple groził mi nim...

– Z powodu Clarence’a Sutherlanda?

Zaczęła mówić, ale przerwał jej. – Pani Conover, jestem policjantem, ale nie lubię zaglądać w osobiste sprawy ludzi. To, co ludzie robią, jest absolutnie ich prywatną sprawą, chyba że ma to jakiś związek z moją pracą... Stosunki pani z Clarence’em Sutherlandem osobiście mnie nie interesują, ale mogą mieć coś wspólnego z śledztwem w sprawie morderstwa. Czy utrzymywała pani romans z Sutherlandem?

– Tak.

– Tak po prostu.

– A co by pan chciał usłyszeć?

– Jestem chyba przyzwyczajony, że ludzie zazwyczaj przy takim pytaniu kluczą, nie dając odpowiedzi wprost. Okay, wróćmy do przyniesienia przez panią broni męża. Według pani, kierowała nią obawa, że może jej użyć przeciw pani. Czy to jedyny powód?

Otworzyła szeroko oczy, zaczęła coś mówić, potem załkała, a dwie krople łez spłynęły idealnie równolegle po jej uróżowionych policzkach. Otarła oczy i wyczyściła nos. – Podejrzewam, że ma pan w swojej pracy dość często do czynienia z płaczącymi kobietami.

– Czasami – powiedział Teller czekając, aż skończy się akt pierwszy.

Ona spojrzała w dół, na podołek. – Nie byłam z panem całkiem szczerą, detektywie Teller.

– Cóż, wszyscy jesteśmy tylko ludźmi.

– Tak. Jestem pewna, że zrozumie pan, dlaczego, kiedy panu powiem, co zatrzymałam dla siebie.

– Będę próbował, Mrs. Conover.

– Przyniosłam panu pistolet, ponieważ... ponieważ to mój mąż zamordował Clarence’a Sutherlanda. – (Żadnej zmiany w tonie jej głosu).

Teller rozejrzał się po pokoju i przejechał palcem po szyi w okolicy kołnierzyka. Jaka spokojna panienska. – Jest pani tego pewna?

– Tak. Przykro mi to mówić, ale jestem pewna.

– Jakież dowody?

– Jeśli panu chodzi o to, czy widziałam, jak to robił, odpowiedź brzmi – nie. Czy mi

powiedział, że to zrobił? Nie, nie wprost, ale zasugerował to wystarczająco wiele razy.

– Jak pani sądzi, dlaczego to zrobił? Z powodu pani romansu z Sutherlandem?

– Oczywiście, że dlatego, ale doszła do tego szybka kariera Clarence’a w Sądzie, jego sukcesy, oferta zajęcia stanowiska w rządzie prezydenta Jorgensa...

– Sutherlandowi zaoferowano pracę w Białym Domu?

– Mniej więcej. Rzecz nie była jeszcze zaklepana, ale już się nią cieszył.

– Jakie to miało być stanowisko?

– Coś związanego ze sprawami prawnymi, chyba. Niech pan sobie tylko wyobrazi – ktoś tak młody, tak szybko idący w górę. Mój mąż nie mógł tego po prostu ścierpieć. Toczyła go zazdrość, jak rak...

– Dlatego, że młody człowiek wspinał się tak szybko po szczebelkach kariery?

– Ten młody człowiek sypiał z jego żoną, detektywie Teller.

– Czy jest pani gotowa złożyć zeznanie, że pani mąż zabił Clarence’a Sutherlanda?

– Jak to?

– Czy złoży pani formalne oświadczenie? Jeśli pani tak zrobi, to z pewnością go pani wykończy, nawet jeśli sąd w to nie uwierzy. Z pewnością dostanie się to na pierwsze strony gazet w całym kraju, i chyba na całym świecie. Czy na pewno chce pani mu to zrobić, Mrs. Conover?

Ona głęboko westchnęła i potarła ręką czoło. – Może będzie panu trudno to przelknąć po tym wszystkim, co powiedziałam... i zrobiłam... wiem... ale zależy mi na Temple’u... naprawdę... ale gdyby pan miał mieszkać z osobą, będąc w głębi serca przekonany, że ta osoba popełniła morderstwo... to co by pan zrobił?

– Rozmawiamy o pani, Mrs. Conover. Czy istnieje jeszcze coś, co mogłoby stanowić dowód?

– Obawiam się, że nie, ale jestem pewna, że kiedy go przesłuchacie, coś wyjdzie na wierzch... Przykro mi, że nie potrafię pomóc więcej. Próbuję... ale to trudne... na pewno pan rozumie.

– Och, myślę, że chyba tak, Mrs. Conover. I dziękuję. – Wstał i wyciągnął do niej rękę.

Słaby uśmiech pojawił się teraz na jej wargach. Szlafrok rozchylił się jeszcze bardziej, a całkiem odkryta noga dyndała w powietrzu, założona na drugą. – Proszę pozostawać ze mną w kontakcie – powiedziała. – To najtrudniejsza rzecz, jaka mnie w życiu spotkała, ale nie jestem osobą wybitnie mocną...

– No tak... z pewnością. Dziękuję, że zechciała mi pani poświęcić czas. Miłego dnia...

Ledwie wyszedł, a już pochwyciła za telefon i wykręciła numer biura swojego męża. Zgłosiła się Laurie Rawls. – Mówi Cecily Conover.

– Dzień dobry – powiedziała Laurie. – Jak się pani miewa?

– Niestety, nie najlepiej.

– Przykro mi to słyszeć. Czy mogę w czymś pomóc?

– Tak... Sędzia Conover jest właśnie w drodze do Sądu. Byłabym wdzięczna, gdyby mu pani nie wspominała o tej rozmowie.

Odpowiedziała jej cisza.

– Miss Rawls, z wszystkich urzędników, którzy przez lata pracowali dla mojego męża, panią zawsze lubiłam najbardziej. Nie chciałabym, by odniosła pani wrażenie, że mówię tak tylko dlatego, że mam jakąś prośbę, którą mam istotnie, ale to po prostu prawda.

– Dziękuję.

– Czy jest pani sama?

– Tak. A dlaczego pani pyta?

– Miss Rawls, porozmawiajmy jak kobieta z kobietą. Z pewnością wiadomo pani, że istniały pewne... nieporozumienia między mną a sędzią Conoverem...

– Mrs. Conover, nie jestem całkowicie przekonana, czy ton tej rozmowy jest właściwy. Ja...

– Proszę mnie wysłuchać. Sprawy posunęły się już zbyt daleko... Boję się o własne bezpieczeństwo...

– Niech mi będzie wolno powtórzyć raz jeszcze. Nie sądzę...

– Miss Rawls, w biurze mojego męża są dokumenty dotyczące mnie i naszego małżeństwa. Odchodzę od zmysłów. Te dokumenty zawierają... coś, co może mnie skompromitować. Podejrzewam, że były takie momenty w czasie małżeństwa, kiedy nie byłam tak ostrożna, jak wymagała tego sytuacja... Miss Rawls, potrzebuję tych dokumentów.

– Ależ proszę pani, przecież ja nie mogę...

– Proszę. Błagam panią. Rozumiem pani sytuację, ale pani musi też zrozumieć moją. Nie mówię do pani jako do pracownika sądu. Zwracam się do pani jak kobieta do kobiety...

– Mrs. Conover, współczuję pani, ale to wykluczone. Nie mam pojęcia, o jakie dokumenty pani chodzi, i wcale go mieć nie chcę. Jestem aplikantką w tym sądzie. Jest to stanowisko, które oznacza, że obdarzono mnie wyjątkowym zaufaniem. Nie mogę zawieść oczekiwań dla jakichkolwiek względów, pomijając moje osobiste odczucia – (które sprowadzają się do tego, że cię, babo, nie lubię.)

Naprzykrzanie nagle się urwało. – W porządku. Zapomni pani, że telefonowałam?

– Mogę panią o tym zapewnić. To nigdy nie miało miejsca.

– Dziękuję.

Laurie usłyszała trzask słuchawki po drugiej stronie, więc wolniutko odłożyła swoją, przechyliła się i spojrzała na czerwoną teczkę na swoim biurku. Otworzyła ją i przyjrzała się po raz kolejny wielu stronom, które zawierała. Na górze, na samym wierzchu, widniało zdjęcie Cecily Conover wchodzącej z Clarence'em Sutherlandem do motelu.

Karl podjechał cadillakiem do wejścia dla sędziów Sądu Najwyższego. Wydawało się, że jego pasażer, sędzia Temple Conover, przespał całą podróż.

– Panie sędzio – powiedział.

Karl wysiadł i otworzył tylne drzwiczki. Conover ani drgnął. Karl sięgnął do wnętrza i delikatnie potrzęsnał Conovera za ramię. Dopiero wtedy zauważył, że język sędziego wystawał mu z ust pod dziwnym kątem, a twarz była wykrzywiona grymasem. Karl odstąpił gwałtownie, kiedy sędzia wysunął się przez drzwiczki. Jego głowa spoczęła na chodniku, a czerwony szal nurzał się w stojącej tam wodzie.

Sic transit gloria mundi, powiedziałby zapewne sędzia Conover, gdyby mówił.

ROZDZIAŁ 27

Jakieś dwadzieścia minut później detektyw przypisany do sprawy Sutherlanda wszedł do gabinetu Martina Tellera. – Słyszałeś, Marty?

– Słyszałem co?

– Sędzia Conover dostał wylewu tuż przed budynkiem Sądu Najwyższego.

– Przed chwilą wyszedłem z jego domu... Nie żyje?

– Prawie. Jest w stanie śpiączki.

– Gdzie go zabrali?

– Do Capitol Hill, na Mass.

– Niech go ktoś cały czas pilnuje – powiedział Teller. – I zwołaj wszystkich na spotkanie.

Teller i czterech detektywów zasiadło w jego gabinecie – trzy kawy, jedna herbata i jeden rosółek z kury. Wspólnie przejrzeni od początku sprawę Sutherlanda, a każdy z nich informował, co wniosło do sprawy jego śledztwo. Nie było tego aż tak dużo, z czego Teller świetnie zdawał sobie sprawę. Siedział z nogami na biurku i ruszał palcami w prawym bucie. Wkładka do butów rozdarła się i podwinęła. – Przepraszam – powiedział ściągając but. Wyprostował wkładkę i szybko włożył z powrotem stopę. – Tak lepiej – westchnął. – Okay. Przepatrzmy teraz raporty ze śledzenia poszczególnych ludzi.

Jeden z detektywów podniósł stertę papieru i podał jej fragmenty innym. – Mam tu raport na temat sędziego Poulsona.

– No więc czytaj – powiedział Teller. – I wszyscy mają uważnie słuchać. Jeśli coś wam zaświta w głowach, wrzeszczeć.

Jeden z detektywów przeczytał pierwszą stronę notatek na temat Poulsona, zatrzymał się nagle i wybuchnął śmiechem.

– Co w tym takiego śmiesznego?

– Siedzenie przewodniczącego Sądu Najwyższego. Za to można posiedzieć.

– Dobrze, czytaj dalej – powiedział Teller. Decyzja o śledzeniu dwadzieścia cztery godziny na dobę sędziów Sądu Najwyższego nie przyszła mu łatwo. Ale co innego mógł zrobić? Do tego wszystkiego przyczynił się jeszcze Dorian Mars, mówiąc w czasie jednego ze spotkań o dziewiątej rano: – Marty, brakuje nam już linki. Jeśli nie złapiemy szybko ryby na haczyk, to przyjdzie nam znowu patrolować ulice. – Na co Teller odpowiedział: – A co, jeśli to gruba ryba, Dorian? – A na to Mars: – Byle tylko sieć była wystarczająco mocna. – Z kolei

Teller stwierdził: – Mnóstwo jest ryb w morzu, Dorian. Cholernie dużo. – Rozmowę zakończył Mars, wielbiciel rozbudowanej metafory i wyświechtanych powiedzonek: – To przestań łowić na błyszczkę i złap się za harpun.

Śledzenie każdego ruchu sędziego Poulsona nie wniosło niczego do sprawy. Dzielił swój czas między dom a Sąd, dwukrotnie wygłosił mowy w Waszyngtonie i raz w Virginii, a trzykrotnie odwiedził Biały Dom.

– Czy nie za często bywa w Białym Domu jak na przewodniczącego Sądu Najwyższego? – spytał Teller.

Detektyw wzruszył ramionami. – A niby dlaczego? Przecież to faceci z samej góry siedzący w tym samym interesie. Mówiący nam wszystkim, co mamy robić.

– A co z Childsem?

Zapis ruchów sędziego Childsa też nie wnosił niczego istotnego. Podobnie jak w przypadku Conovera. Tyle że oficer, któremu powierzono śledzenie tego ostatniego, stwierdził, iż jego zdaniem pani Conover była śledzona. Zadał więc pytanie, czy ktoś ze Stołecznej Komendy dostał polecenie, by za nią chodzić i odpowiedź była negatywna.

– Na pewno nie kazałeś jej śledzić, Marty? – spytał jeden z detektywów.

Martin potrząsnął głową. – Może jej mąż kazał ją śledzić?

– Z tego, co o niej słyszałem, nie byłby to znów wcale taki zły pomysł – stwierdził ktoś, co zapoczątkowało całą serię sprośnych uwag na temat Cecily Conover.

– Przestańcie – powiedział Teller. – Dawajcie resztę. Co z doktorem Sutherlandem?

Kolejny detektyw odczytał raport na temat Sutherlanda, po czym powiedział: – Doktorek chodzi z wizytami domowymi do CIA. Co jest oczywiście sensowne – psychiatra odwiedzający wariatów z Agencji Wywiadowczej.

Teller podrapał się pod pachą i zapalił swojego cuchnącego korzennego.

– Marty, prosimy, daj że spokój.

– Jak wam się nie podoba, to wstrzymajcie oddech... Zatrzymajmy się nad tym przez chwilę. Dlaczego miałyby chodzić do CIA?

– Pamiętacie te historie sprzed paru lat o eksperymentach z narkotykami, które prowadziła CIA? Jeśli dobrze pamiętam, było w to zamieszanych mnóstwo lekarzy cywilnych... może był jednym z nich?

– Zajrzyjcie jeszcze raz do tych historii – powiedział Teller. – Sprawdźcie, czy wymienia się gdzieś jego nazwisko.

Kiedy skończyli czytać raporty, Teller kazał przypomnieć biografie podejrzanych.

Rozpoczęły się monotonne wyliczanki i Teller sam złapał się na tym, że zaczyna

przysypiać. Walczył z ogarniającą go sennością i nawet uciekł się do wbicia paznokcia w skórę dłoni. Myślami był daleko – przy ostatnio oglądanej operze *La Fanciulla del West* Pucciniego, która mu się nie podobała... byłej dziewczynie, co zadzwoniła i namawiała go na spotkanie, by „przypomnieć sobie stare czasy”, którą to propozycję odrzucił... słowach do piosenki *You're the Top*, których zapomniał śpiewając w „Club Julie”... zaległych rachunkach... swojej młodszej córce, która wróciła do domu i powiedziała wszystko matce. Zamierzała wyjść za ojca dziecka, kiedy ten skończy college, co stanie się za dwa lata. Do czasu ślubu chciała urodzić dziecko, mieszkać z matką i znaleźć jakąś pracę. Teller zapytał swoją byłą żonę o nazwisko chłopaka. Podała mu je z ociąganiem, dopiero wtedy, gdy obiecał, że nie będzie do niego dzwonił i wywoływał awantur. – Widziałam jego zdjęcie – powiedziała. – Jest bardzo przystojnym blondynem... – Cudownie – rzekł Teller.

Z zamyślenia wyrwało go stwierdzenie detektywa, który odczytywał biografię sędziego Poulsona: – Jest taki rok, kiedy sędzia Poulson zasiadał w Trybunale Stanu, i coś mi się tu nie zgadza.

Teller wyprostował się na krześle. – Dlaczego?

– Wziął rok urlopu i wedle tego, co udało mi się ustalić, wykorzystał go na napisanie książki.

– Jakiej książki?

– O sprawach przeciw rządowi Stanów Zjednoczonych. To swoisty podręcznik.

– Czy został opublikowany?

– Jasne. Mam nawet jego egzemplarz. Sam zatwierdziłeś go na liście moich wydatków.

– Czym zajmuje się Trybunał Stanu?

– Sprawami przeciw Stanom Zjednoczonym, z tego, co mi mówiono.

– To co ci się nie zgadza w tym roku? Bierze urlop i pisze książkę, i co?

– No dobrze, ale wcale nie pisał jej w domu. Przez pierwsze cztery miesiące tego roku jakby zniknął.

– Co znaczy „jakby”?

– No tak, rodzina była w domu, ale on zakopał się w miejscu o nazwie Sunken Springs w Delaware.

– Jak to? A może mają tam domek letni?

– Nie.

– A gdzie mieszkał w tym Sunken Springs?

– Tego nikt nie wie. Cztery miesiące później wraca do domu i siada do pracy nad

książką. Potem powraca na ławę sędziowską, książka ukazuje się drukiem i wszystko się zgadza.

– Sprawdź to.

– Jak?

– Spróbuj na błyszczkę. Popuść żyłki. Użyj mocnego podbieraka...

– Czego?

– Po prostu jakoś to zrób, Maurice.

Pozostałą część dnia spędził na układaniu na nowo swojej tablicy, odbieraniu telefonów i myśleniu o swojej córce i Susannie Pinscher...

Po drodze do domu wstąpił do sklepu muzycznego, gdzie kupił nuty i słowa do *You're the Top*, nauczył się tekstu na pamięć przy zapiekance, grzankach i bekonie, porozmawiał przez telefon z kimś ze Stołecznej Komendy, kto doniósł, że sędzia Conover nadal nie odzyskał przytomności i że rokowania nie są najlepsze, przespał się trochę, a potem pojechał do „Club Julie”, gdzie śpiewał głośno i fałszywie aż po błądy świt.

ROZDZIAŁ 28

Wiadomość o wylewie Temple'a Conovera przebiegła przez wszystkie korytarze i przedostała się przez wszystkie drzwi Sądu, te otwarte i te zamknięte. Jego sekretarki, Joan i Helen, płakały, podobnie jak czarnoskóra sprzątaczką, która powiedziała: – Boże, zmiłuj się nad nim. – Conover, od czasu, kiedy zasiadł w składzie Sądu Najwyższego, stał się rzecznikiem praw mniejszości.

Posiedzenie, zwołane na ten rano przez przewodniczącego Poulsona celem przedyskutowania sprawy *Nidel kontra Illinois*, opóźniło się o godzinę. Kiedy w końcu doszło do spotkania w głównej sali posiedzeń, okazało się, że brakuje sędziego Childsa. Sędzina Tilling-Masters spytała, co się stało.

– Trochę się spóźni – powiedział Augustus Smith. – Powinien tu być za chwilę.

Poulson z trudem ukrywał swoją złość z powodu nieobecności Childsa. Stukał ołówkiem w stół i spoglądał na zegarek.

– Jak przedstawia się stan zdrowia sędziego Conovera? – spytał sędzia Fine.

– Przypuszczam, że nic się nie zmieniło – powiedział Poulson. – Jeden z jego aplikantów siedzi cały czas w szpitalu i przesyła nam informacje. Obawiam się, że nie wygląda to najlepiej.

– Wyszedł już kiedyś z tego – stwierdził Smith. – Pochodzi z twardej rodziny. I nie możemy sobie pozwolić na taką stratę. – Miał na myśli stratę liberalnego głosu i Poulson świetnie wiedział, o czym mówi Smith.

Poulson spojrzał ostro na niego, a potem skierował wzrok na sędzinę Tilling-Masters. – Czy zdołała pani zapoznać się z moim *memorandum*? – spytał.

– Potrzeba mi jeszcze jednego dnia.

Otworzyły się drzwi i wszedł Morgan Childs. – Przepraszam – powiedział zajmując swoje miejsce i otwierając teczkę z aktami.

– Możemy więc zacząć – stwierdził Poulson. – Wszystkich nas napawa bólem to, co przydarzyło się sędziemu Conoverowi, i modlimy się, by jego powrót do sił i zdrowia był szybki i całkowity.

Nikt w pomieszczeniu ani słowem nie zdradził swoich myśli. Nie chodziło o powątpiewanie w szczerłość słów przewodniczącego na temat sędziego Conovera. Mimo pewnych zastrzeżeń co do jego osoby, nie można było zarzucić Poulsonowi braku współczucia... W Sądzie nie istniały żadne sztywne reguły postępowania w przypadku nagłej i

całkowitej niezdolności do wykonania obowiązków przez któregoś z sędziów. Decyzja, co zrobić ze sprawami rozpatrywanymi przez Sąd, leżała w gestii ośmiu pozostałych sędziów. Gdyby sędzia Conover wydobrzeżał na tyle, by wyrazić swój pogląd, ostatecznie mógłby głosować przez telefon ze szpitala lub przez jednego z aplikantów, czy któregoś z sędziów. Ale nadal był nieprzytomny, a prognozy nie wskazywały na rychłą poprawę.

– Możemy chyba przejść do dzisiejszej sprawy – stwierdził Poulson. – Sędzia Conover obecnie nie jest w stanie głosować nad rozpatrywanymi sprawami. Sądzę, że zgadzamy się wszyscy, iż najpilniejszą z wszystkich spraw do rozpatrzenia przez Sąd jest *Nidel kontra Illinois*. Zastanawiam się więc, czy...

– Nie jestem całkiem o tym przekonany – wtrącił sędzia Fine. – Przepraszam, że przerywam, panie sędzio przewodniczący, ale ze względu na to, że *Nidel kontra Illinois* jest bardzo istotna jako sprawa stanowiąca precedens, który wpłynie w przyszłości na programy socjalne w tym kraju, być może sensowne byłoby się wstrzymać z ostatecznym głosowaniem do czasu, aż wydobrzeje sędzia Conover.

– Jeśli tak się stanie – stwierdziła sędzina Tilling-Masters. – A jeśli to nie nastąpi?

– Moglibyśmy przetrzymać tę sprawę do następnego kwartału stwierdził Augustus Smith. Byłaby to decyzja, która nie podobała się nawet jemu. Smith był liberałem i wiedział, że jeśli Conover nie będzie w stanie powrócić na ławę sędziowską, prezydent Jorgens wyznaczy na jego miejsce kogoś znacznie bardziej konserwatywnego. Każde patowe głosowanie zawieszono do czasu dokooptowania nowego sędziego będzie, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, odzwierciedlać punkt widzenia administracji. A jeśli chodzi o kwestię aborcji, no cóż...

– Jestem przeciw – powiedział Poulson. – Naród czeka na decyzję Sądu w sprawie aborcji. Każde opóźnienie będzie jedynie świadectwem naszego niezdecydowania. – Nie podał jednak prawdziwej przyczyny, dlaczego chciał za wszelką cenę doprowadzić do głosowania. Jego osobiste działania kuluarowe doprowadziły do zachwiania postawy sędziego Smitha. Poprzednio Smith głosował za Nidel. Obecnie więc, przy stanie głosów cztery do czterech, gdyby zmienił stanowisko, wynik brzmiałby pięć do czterech za Illinois, a przeciw aborcji.

Wywiązała się dyskusja nad dalszymi działaniami wobec nieobecności Conovera. Ostatecznie Poulson zarządził kolejne głosowanie wstępne.

– Czy rzeczywiście jesteśmy do niego przygotowani? – spytał Smith.

– Sądzę, że tak – stwierdził Poulson. – Zobaczmy, na czym stoimy.

Tilling-Masters powiedziała: – Wydaje się, że dobrze wiemy, na czym stoimy.

Przecież nadal” wynik brzmi cztery do czterech, skoro sędzia Conover nie jest w stanie oddać głosu. Więc może jednak powinniśmy przenieść tę sprawę na następny kwartał.

Poulson zdawał sobie sprawę, że przetrzymanie sprawy do czasu, aż prezydent powoła konserwatystę do składu sędziowskiego, byłoby zdecydowanie pewniejsze i bezpieczniejsze. Ale nigdy nie wiadomo. Sędziowie czasami zmieniali skórę, kiedy już weszli w skład Sądu Najwyższego... wystarczy tylko wspomnieć Blacka, byłego członka Ku-Klux-Klanu, który zmienił się w liberała, czy Earla Warrena, po którym Eisenhower nigdy się nie spodziewał, że poprowadzi kampanię, by odrzucić doktrynę „oddzielnie lecz w równości”... A jeśli przecucie nie omyliło go co do Smitha, *Nidel kontra Illinois* mogła być załatwiona szybko i w sposób, jakiego chciał. Tak więc Sąd Poulsona wydałby decyzję, naród zyskałby zdecydowaną wskazówkę dotyczącą postępowania w przypadku tej paskudnej, dzielącej ludzi kwestii, nawoływania rządu zostałyby zrealizowane, a on, Poulson, dotrzymałby obietnicy.

– Głosujmy – powiedział sędzia Fine zdejmując okulary w drucianej oprawce i przecierając oczy. – Jeśli nastąpiły jakieś zmiany, to dowiemy się o nich wszyscy.

Morgan Childs odchrząknął i podniósł rękę. – Uważam, że kolejne głosowanie jest przedwczesne – powiedział.

– Dlaczego?

– Bo nie jestem jeszcze gotowy, panie sędzio przewodniczący.

– Niegotowy? – Poulson nie mógł powstrzymać się od uśmiechu. Niewzruszone konserwatywne poglądy Childsa były wszak powszechnie znane. Z pewnością, wnioskuje Poulson, Childs nie rozważał zmiany stanowiska na rzecz powódki.

Childs kontynuował wyjaśnienia: – Zapoznałem się z wszystkimi pisemnymi uzasadnieniami przedstawionymi przez sędziów od czasu pierwszego głosowania oraz z licznymi materiałami wiążącymi się z tą kwestią. Ten problem wywołuje emocje bardzo osobiste, które znakomicie utrudniają sensowne spojrzenie nań od czysto prawnej strony. Byłbym nieuczciwy nie przyznając, że to właśnie nastąpiło w moim przypadku, ale kiedy odrzucam moje prywatne nastawienie do sprawy, wracam ustawicznie do bardzo wąskiej i zdecydowanie określonej kwestii prawnej. Jak dotąd nie udało mi się podjąć ostatecznej decyzji, ale moje nastawienie do zagadnień prawnych występujących w tej sprawie jest różne od poprzedniego.

– Jestem zaskoczony – stwierdził Poulson. Była to najłagodniejsza reakcja, na jaką potrafił się zdobyć.

– No cóż – powiedział Childs – przykro mi, że zaskakuję, ale tak wygląda obecnie moje stanowisko.

Sędzia Smith, z wymuszonym uśmiechem na twarzy, zapytał: – A gdyby pan musiał głosować właśnie teraz, sędzio Childs? Jak by pan głosował?

– Hipotetyczne głosowanie nie interesuje mnie – stwierdził Childs.

– To prawda, że takie się nie liczą, ale zawsze są interesujące – powiedział Smith nadal się uśmiechając.

Następne pół godziny poświęcono na omówienie innych toczących się spraw, by podjąć jakieś decyzje z racji nieobecności Conovera. Ostatecznie zadecydowano, by wstrzymać wszystkie głosowania we wszystkich sprawach do czasu, kiedy wyjaśni się sytuacja zdrowotna sędziego seniora.

Poulson wrócił do swojego gabinetu i opadł na fotel. Czuł ucisk w żołądku i nerwy nie dawały mu spokoju. Próbował się opanować, wziął kilka głębszych oddechów i pomyślał, że może dobrze byłoby wypić drinka.

Nie mógł pojąć, jak Childs mógłby w ogóle głosować za Nidel. Ileż to przecież razy siadali wspólnie do *lunchu* czy kolacji i rozmawiali o swoich poglądach na życie, nie jako sędziowie Sądu Najwyższego, ale jako zwyczajni ludzie, mężowie i ojcowie, obserwatorzy społeczeństwa i moralnego upadku szerzącego się pod wpływem liberalnych guru? Przecież człowiek nie może się tak szybko zmienić, wmawiał sobie, a jeśli nawet, to tylko w stronę przeciwną, by jeszcze bardziej troszczyć się o powolne rozdzieranie amerykańskiej materii i, co za tym idzie, stać się większym konserwatystą. Nie chciał przyjąć do wiadomości, że skupienie się na wąskim wątku czysto prawnym może być dla Childsa tak ważne. Prawne kwestie formalne były tu przecież zupełnie bez znaczenia. Chodziło w końcu o sprawę daleko istotniejszą, kwestię stojącą poza wszelkimi rozważaniami prawnymi. Trzeba było przecież ratować przyzwoitość, należało skierować naród na drogę moralności i... przecież prezydent rezydujący w Białym Domu mianował go po to, by spełnił pokładane w nim nadzieje i zobowiązania.

Niepokój zastąpiła złość. Złapał za słuchawkę i wykręcił jeden z numerów Białego Domu. Telefon odezwał się w biurze Craiga Laudermana, specjalnego asystenta Jorgensa. Słuchawkę podniosła sekretarka, poprosiła Poulsona, by moment zaczekał, po czym weszła do gabinetu Laudermana: – Sir, przewodniczący Sądu Najwyższego chce z panem rozmawiać.

Lauderman, trzydziestopięcioletni mężczyzna, z gęstymi, starannie zaczesanymi kasztanowymi włosami, o patrycjuszowskiej, wąskiej twarzy, podniósł oczy schowane za okularami w rogowej oprawie: – Dziękuję, będę rozmawiał.

– Panie Lauderman – powiedział Poulson, kiedy uzyskał połączenie – mam nadzieję,

że nie przeszkadzam w jakiejś sprawie wagi państwowej. – Po czym zaśmiał się, jak z dobrego dowcipu.

Lauderman nie wybuchnął śmiechem, nawet się nie uśmiechnął. – Czym mogę panu służyć, panie sędzio przewodniczący?

Jego chłód wyczuł po drugiej stronie Poulson, który jakby na moment się zawahał, nim powiedział: – Chciałbym rozmawiać z prezydentem.

– Będzie niedostępny aż do jutrzejszego popołudnia.

– Bardzo niedobrze.

– Czy to pilna sprawa?

– Tak.

– Może ja mógłbym pomóc?

– Nie sądzę, panie Lauderman.

– Ale proszę spróbować, panie sędzio przewodniczący.

Poulsonowi nie bardzo podobał się ton młodego człowieka. Kim on był, do diabła. Jeszcze jednym pośrednikiem, zdolnym i nadmiernie ambitnym młodzikiem z wpływowym stanowiskiem w administracji Jorgensa, któremu zdawało się, że rządzi wszystkimi w Waszyngtonie – senatorami i kongresmenami, ministrami i sędziami Sądu Najwyższego. Już miał mu powiedzieć, co myśli o nim i ludziach jego pokroju, ale miast tego stwierdził tylko: – Rzecz dotyczy *Nidel kontra Illinois*.

– Podejrzałem, że taki był właśnie cel pańskiego telefonu, panie sędzio przewodniczący. Prezydent cały czas kontroluje sprawę i podejmuje właściwe kroki, by...

– Chyba pan nie rozumie, Mr. Lauderman. Nastąpiły pewne wypadki, które...

– Jak się miewa sędzia Conover?

– Z ostatnich doniesień wynika, że nadal nie odzyskał przytomności i nadzieje zdają się raczej niewielkie.

– Co za szok... Cóż, być może prezydent znajdzie czas, by do pana zadzwonić, panie sędzio przewodniczący. Jak już powiedziałem, prezydent świetnie orientuje się w przebiegu wypadków, podobnie jak ja.

Głos Poulsona zabrzmiał teraz gniewem: – Może pan lepiej powie prezydentowi, Mr. Lauderman, że zdaje się, iż sędzia Childs skłania się ku zmianie stanowiska. Być może byłoby dobrze zasugerować możliwość rozważenia tej kwestii...

– Na pewno przekażę, panie sędzio przewodniczący. Dziękujemy za telefon.

Połączenie zostało przerwane. Poulson wziął z szafy płaszcz i skierował się do korytarza. Potrzebował czasu do namysłu. Może spacer okaże się pomocny. Kiedy szedł w

głęb korytarza, na rogu spotkał Laurie Rawls. – Dzień dobry, panie sędzio przewodniczący.

– Dzień dobry, Miss Rawls.

– Czy są jakieś wiadomości o sędzim Conoverze? – spytała.

– Nic nowego – odpowiedział Poulson. – Wszyscy żyjemy nadzieją. Miłego dnia życzę – rzucił mijając ją.

Laurie Rawls wyszła z budynku i pojechała do domu, gdzie, po przerzuceniu ubrań, wybrała szyty na zamówienie brązowy tweedowy zakiet, ciemnoszarą bluzkę z kołnierzykiem o rogach przypinanych na guziki, pończochy i zwykłe brązowe pantofelki. Uważnie przejrzała się w lustrze, szczególnie zwracając uwagę na makijaż i włosy. W końcu, zupełnie zadowolona, wróciła do samochodu i wolno pojechała w kierunku centrum Waszyngtonu, zerkając na zegarek co kilka minut i w miarę upływu czasu przyspieszając. Zaparkowała w garażu na Osiemnastej Ulicy w pobliżu General Services Building i udała się pieszo do Białego Domu. Kazano jej wejść przez portyk południowy, więc tak też zrobiła. Strażnik, któremu podała nazwisko, sprawdził je na liście, a potem zadzwonił do biura Craiga Laudermana. – Tak jest, Miss Rawls, czekają na panią – powiedział wartownik. – Zaraz ktoś tu przyjdzie po panią.

Biuro Laudermana było obszerne, pod żadnym pozorem nie zagracone. Lauderman był w samej koszuli. Wstał i wyciągnął do niej rękę. – Jakże miło, Miss Rawls, że zechciała pani tu wstąpić.

– Dziękuję, że znalazł pan dla mnie czas...

– Proszę nie być przesadnie skromna. Wywarła pani olbrzymie wrażenie na prezydencie swoją osobą oraz propozycjami.

Sprawiała wrażenie zażenowanej. – Dziękuję, bardzo mi to pochlebia.

– No tak, rozumiem, co pani czuje. Sam jestem bardzo blisko najpotężniejszego przywódcy Wolnego Świata. Bardzo niewielu ludzi ma tę możliwość. To właśnie tutaj pokornieje buta.

Tak, pomyślała sobie, prawie tutaj. Jak znakomita większość elity asystentów prezydenta, Lauderman wykazywał tak wyraźne skłonności do identyfikowania się z człowiekiem numer jeden, że pewnie zaczął już sobie wyobrazać, że to on nim jest. Nie ulegało jednak wątpliwości, że cieszył się zaufaniem prezydenta, tak samo jak pewne było, że nikt nie dostanie się do Jorgensa bez uprzedniej zgody Jorgensowskiej Milicji, kadry aroganckich, pyszałkowatych młodych ludzi z ambicją płynącą w żyłach i stałą w sercach.

Ten trochę ją przerażał, podobnie jak wielu innych... ale jednocześnie podniecał. Montesquieu powiedział, że władza psuje... no cóż, także zniewala, pomyślała...

– Chciałbym, żeby pani miała świadomość, że mówię w imieniu prezydenta, kiedy wyrażam dla pani uznanie za dostarczenie informacji o dokumentach doktora Chestera Sutherlanda. Nie sądzę, bym przesadzał, mówiąc, że gdyby te dokumenty dostały się w niepowołane ręce, mogłoby to stanowić poważne zagrożenie dla bezpieczeństwa narodowego.

– Panie Lauderman, kiedy dowiedziałam się... przez jego syna... że takie dokumenty istnieją, wiedziałam, że należało przedsięwziąć jakieś kroki. Decyzja wcale nie przyszła mi łatwo. Clarence Sutherland był znajomym... i bliskim kolegą z pracy. Gdyby żył, muszę uczciwie stwierdzić, nie poinformowałabym Białego Domu o istnieniu tych dokumentów. Ale kiedy odszedł, zrobiłam to, co uważałam za słuszne. Mam nadzieję, że decyzja była właściwa.

– Absolutnie tak. Należy w takich wypadkach zaufać intuicji... Proszę mi powiedzieć coś o sobie, Miss Rawls.

– A co by pan chciał wiedzieć?

Uśmiechnął się. Tak naprawdę nie miało to wiele wspólnego z uśmiechem. Miał zaciśnięte usta. Zastanawiała się, czy kiedykolwiek się zapominał, czy w ogóle potrafił się śmiać w głos.

– Proszę mi powiedzieć o tym, co najistotniejsze w Laurie Rawls, tej Laurie Rawls, która może pracować ze mną codziennie, a jeśli tak się stanie, to będzie poniekąd prawą ręką prezydenta Stanów Zjednoczonych.

Poprawiła się na krześle i uporządkowała myśli. Bądź precyzyjna, powiedziała sobie, i była. Słuchał bez emocji, jego oczy cały czas wpatrywały się w nią, a jego mózg wchłaniał jej słowa jak komputer i zapisywał w pamięci, by można było je przywołać w odpowiednim czasie, jeśli będą potrzebne.

– Imponujące – powiedział, kiedy skończyła.

– Dziękuję. – Dobrze, wywarła na nim wrażenie swoją opowieścią. Czula się teraz pewniejsza siebie i prawie jemu równa, tak samo inteligentna i wyrachowana jak on. Czula się godnym partnerem.

Zaoferował jej szklanekę wody. Podziękowała. Nalał sobie wody z kryształowego dzbanka. – Czy pani pije?

– Pije? Alkohol?

– Tak.

– Lubię wino. – I szybko dodała: – Przy posiłkach.

– Narkotyki? Trawka?

– Nie.

– Nigdy?

– Próbowałam raz czy dwa razy dawno temu...

– Są jakieś duchy, które można by wywoływać z pani życiorysu? Paskudne romanse, psychicznie chorzy w rodzinie, oszukiwanie na egzaminach w college'u, nie zapłacone mandaty za nieprawidłowe parkowanie czy pożyczki na studia, ludzie, którzy coś mają na panią...

– Nie.

– To dobrze. – Przerzucił kilka kartek w teczce, spojrzął na nią i powiedział: – Pani wie, Miss Rawls, że ta praca będzie pani, jeśli rzeczy potoczą się po naszej myśli.

– Nie jestem całkiem pewna, czy dobrze rozumiem, Mr. Lauderman. Byłam blisko z Clarence'em Sutherlandem. On powiedział mi, że jesteście zainteresowani jego przyjściem do Białego Domu i...

– Jak blisko z sobą byliście?

– Czy szczerota zmniejszy moje szanse?

– Szczerota może je zwiększyć.

– Byliśmy bardzo blisko. Bardzo...

– I, co zrozumiałe, jego śmierć była dla pani ciosem... ale nadal ma pani właściwe priorytety. I mnie się to podoba, Miss Rawls. Jest pani pragmatykiem. – Podparł się na łokciu.

– Pani zmarły przyjaciel, Clarence Sutherland, był bliski nominacji do naszego zespołu w Białym Domu. Na początku byłem zdecydowanie przeciwny tym projektom. W końcu, cóż takiego miał nam do zaoferowania, co by go odróżniało od innych zdolnych absolwentów prawa? Inteligentnych absolwentów prawa jest na kopy, a aplikatura w Sądzie Najwyższym nie znaczy aż tak wiele. Wiedzieliśmy, jak się tam dostał, co, muszę tu od razu powiedzieć, nie było żadną zbrodnią. Jego ojciec, ze względu na swoje bliskie stosunki z sędzią Poulsonem, zrobił po prostu to, co zrobiłby zapewne każdy troskliwy ojciec – wykorzystał tę delikatną nić, by pomóc synowi. Sam zrobiłbym dokładnie to samo. A pani?

– Chyba tak.

– W każdym razie, najważniejsze było to, że dzięki profesji swojego ojca Clarence Sutherland posiadał pewne informacje, które miały niejaką wartość dla tej administracji. Czy to panią razi?

– A dlaczego by miało?

– Niektórych zapewne by raziło. Cieszę się, że pani do nich nie należy.

– Jak już pan powiedział, jestem pragmatykiem.

– Jest też pani ambitna.

– Tak. Spodziewam się, że pan jest w stanie to zrozumieć.

Pozwolił sobie na szelmowski uśmiezek. – Tak, jestem. Kiedy pani tu weszła z informacjami o dokumentacji doktora Sutherlanda, byłem do pani nastawiony sceptycznie. Musiałem sobie zadać pytanie, czego pani od nas chce, w co pani gra i jaka jest pani cena. Za to mi płacą.

– Czy to ma związek z tym, że jestem kobietą?

– Dlaczego? Nie mam nic przeciw kobietom. Jestem po prostu realistą. Miss Rawls, pani chce stanowiska, na które rozważano kandydaturę Clarence’a, i ja panią za to podziwiam. Twierdzi pani, że jest w posiadaniu tych samych informacji, które miał on, ze względu na to, że...

– ...byłam mu bardzo bliska. Tak. Kiedy jest się z kimś tak blisko, to człowiek dzieli się prawie wszystkim...

– Tak, no cóż... jestem tego świadomy. Ale czy pani może się powstrzymać przed dzieleniem się wszystkim, jeśli zajdzie taka potrzeba? Myślę tu o sprawach, o jakich się pani dowie w Białym Domu?

– Oczywiście – mówiąc to patrzyła mu prosto w oczy.

– Dobrze. Więc... potrzebujemy... swego rodzaju łącznika w Sądzie. Mr. Sutherland dotąd załatwiał te sprawy. Obecnie brakuje nam kogoś takiego. Być może pani mogłaby przejąć tę funkcję?

– Sądzę, że tak.

– Jak powiedziałem, jestem realistą, Miss Rawls. Proszę mnie przekonać do siebie wynikami swojej działalności.

– Na przykład jakimi? – spytała, chociaż знаła odpowiedź.

– Proszę dać nam gwarancję, że głosowanie w sprawie *Nidel kontra Illinois* zakończy się właściwą decyzją. Wedle życzenia rządu i narodu amerykańskiego.

– To niełatwa sprawa...

– Sutherland twierdził wręcz odwrotnie.

– Nie jestem Clarence’em Sutherlandem.

– Ale handluje pani tym samym.

– Ja niczym nie handluję.

– Przepraszam, Miss Rawls. Obawiam się, że nie jestem tak dobrze obeznany z prawniczymi subtelnosciami jak pani. Proszę więc pozwolić mi to ująć w sposób następujący: sędzia Childs może okazać się problemem. Rozumiem, że pani może wiedzieć o nim coś, co

mogłoby stonować jego nieco przesadne skrupuły natury prawnej.

– Być może.

– Jeśli chce pani tej pracy, to lepiej niech pani to coś wie.

– Ach, więc wszystko sprowadza się do tego.

Przytaknął.

– No cóż, istnieją pewne niespójności w biografii sędziego Childsa, które mogą okazać się niesłychanie pomocne w przekonaniu go...

– Więc zna pani sposób?

– Tak.

– Wie pani, co to za niespójności?

– Tak.

– Może je pani udowodnić?

– Sądzę, że tak.

– Childs zdaje się jeszcze wahać. Jego głos, jak rozumiem, jest obecnie przesadzający w sprawie *Nidel kontra Illinois*.

– Sądziłam, że opowiada się zdecydowanie za Illinois.

– Do dzisiejszego rana tak było. Może pani coś z tym zrobić?

– Tak.

– Miło mi to słyszeć. Jak już wspomniałem na początku rozmowy, stanowisko łącznika prawnego jest pani, pod warunkiem, że może pani zapewnić jakieś sprzyjające warunki w Sądzie...

– Może pan na mnie liczyć, Mr. Lauderman. Wiem wszystko to, co wiedział Clarence. I potrafię zrobić wszystko to, co on mógł.

– Z pewnością praca z panią będzie dla mnie wielką przyjemnością, Miss Rawls. Mam nosa do ludzi. A pani jest właściwym dla nas człowiekiem, i tak właśnie mam zamiar przekazać to prezydentowi Jorgensowi.

– Dziękuję.

Oboje wstali i uścisnęli sobie dłonie. – Może moglibyśmy zjeść wspólnie kolację któregoś wieczoru – powiedział. – Skoro najpewniej będziemy z sobą pracować przez, mam nadzieję, dłuższy czas, powinniśmy się lepiej poznać. Czy zgadza się pani ze mną?

– Zdecydowanie tak. Dziękuję. Wkrótce skontaktuję się z panem, Mr. Lauderman.

– Czekam z niecierpliwością.

ROZDZIAŁ 29

Krótką, gwałtowną konfrontacją z Danem Brazierem wstrząsnęła Susanna i następnego rana była z siebie bardzo niezadowolona, że wyszła z jego mieszkania tak pośpiesznie, nie zadawszy mu pytań, które ją tam sprowadziły.

Opowiedziała ojcu o tym incydencie tego samego wieczoru po powrocie. Upierał się, by wycofała się ze sprawy Sutherlanda. Kiedy poinformowała go o swojej decyzji, by powtórnie zobaczyć się z Brazierem, był po prostu wściekły.

– Przecież mam do wykonania zadanie – powiedziała.

– Twoim zadaniem jest także matkowanie własnym dzieciom. – To znowu zapoczątkowało dyskusję na temat oddania władzy rodzicielskiej byłemu mężowi. Kiedy wyjechała z domu, by zobaczyć się z Brazierem, za samochodem wlokła się gęsta chmura napięcia.

Bardzo żałowała, że do tego doszło, ale zmusiła się, by zapomnieć o kłótni z ojcem i skupić uwagę na tym, co ma powiedzieć Brazierowi. Znała przecież siebie i wiedziała, że nie jest osobą szczególnie odważną i że raczej starała się zawsze unikać konfliktów... Tyle że, do diabła, przecież wcale tak nie jest, przypomniała sobie przejeżdżając Bay Bridge. Przecież niezwyklej odwagi wymagało, obojętnie co inni sądzili na ten temat, zakończenie nieudanego małżeństwa i oddanie opieki nad dziećmi. I jej stosunki z dziećmi układały się teraz lepiej niż kiedykolwiek w przeszłości. Nie, w końcu nie musiała nikogo za nic przeproszać ani czuć się winną, i naprawdę nie było powodów, by sobie później coś wyrzucać, gdyby teraz unikała Dana Braziera.

Zaplanowała sobie, jak zacznie rozmowę, powtórzyła to w myślach z tuzin razy. Jak on zareaguje i czy spróbuje ją uderzyć, nieważne, byle zadać mu te pytania.

Zadzwoiła z dołu do mieszkania. Sheryl Figgs otworzyła drzwi na piętrze i wpatrywała się w promyki słońca, które z tyłu podświetlały Susannę. – Kto tam? – spytała.

– Susanna Pinscher. Chciałabym porozmawiać z panem Danem Brazierem.

– O nie, nie sądzę, żeby...

Susanna szybko weszła na górę. – Bardzo proszę, Miss Figgs, tylko na chwilę. Przykro mi z powodu tej wczorajszej kolacji, ale sytuacja była dość trudna.

Sheryl nerwowo zerknęła w głąb mieszkania. Była boso, na sobie miała wypłowiałą różową podomkę; jej włosy były rozwichrzone. Chyba dopiero wstała.

– Czy on jest w domu? – spytała Susanna, zaglądając do środka.

– On... my właśnie...

– Tylko na moment – powiedziała Susanna, przeszła obok niej i wkroczyła do *living roomu*.

– Kto to? – krzyknął Brazier z drugiego pokoju.

– To ja, Susanna Pinscher. Chciałabym z panem porozmawiać.

Sheryl podeszła do niej. – To naprawdę, moim zdaniem, nie jest dobry pomysł. Był tak zdenerwowany, kiedy pani odeszła stąd wczoraj, że...

Brazier wjechał na wózkach do sypialni, goły do pasa, z resztkami pianki do golenia za prawym uchem.

– Po co pani tu wróciła? – zapytał wycierając ręcznikiem szyję.

– Żeby zadać panu kilka pytań. – Susanna patrzyła w jego szare oczy i na jego potężny tors, który śmiało mógłby należeć do ciężarowca. – Nie zabiorę panu wiele czasu, na pewno nie więcej niż poprzednim razem – powiedziała zdeterminowana, by nie spuścić wzroku pod jego przenikliwym spojrzeniem.

– Nie mam pani nic do powiedzenia.

– A ja sądzę, że pan ma. – Przywołała stwierdzenie wyćwiczone w samochodzie. Nie miała na to żadnych dowodów poza jednym zdaniem wypowiedzianym przez Laurie Rawls i opartym na czymś, co kiedyś powiedział jej Clarence. Postanowiła więc nie zadawać pytania, ale zaatakować, w nadziei, że coś z tego wyniknie: – Morgan Childs nie jest dokładnie tym, za kogo się go uważa...

– O czym pani, u diabła, mówi?

– O jego rzekomych bohaterskich czynach w Korei. Rozumiem, że to wszystko wymyślił, a pan maczał w tym palce.

Już miał coś powiedzieć, ale wytarł tylko usta dłonią, jakby w ten sposób chciał odrzucić temat, i ją.

– W jakim celu? – naciskała Susanna.

– A co pani wie? – powiedział, skręcając wózkami i podjeżdżając do okna. – Cóż, u diabła, wiecie wy wszyscy na temat bohaterów?

– Wiem, że wolę prawdziwych.

Sheryl Figgs podeszła do niego. – Dan – powiedziała – gdybyś chciał, żeby ona wyszła...

Ruchem ręki nakazał jej milczenie, a potem wpatrzył się w Susannę i skierował wskazujący palec wprost na nią. – Skąd pani wie to, co utrzymuje pani, że wie?

– To moje zadanie, Mr. Brazier. Prowadzę dochodzenie w sprawie morderstwa i to

może okazać się istotne.

– Jak?

Nie mogła się teraz wycofać. Przecież w zasadzie przyznał wszystko, no, przynajmniej nie zaprzeczył. – Clarence Sutherland wiedział o rzekomych wyczynach sędziego Childsa w Korei. Sutherland był człowiekiem, który wykorzystywał posiadane informacje, by zdobyć władzę. Jeśli więc miał kompromitujące pańskiego przyjaciela informacje i groził ich ujawnieniem, to wystarczający motyw, by go zabić...

– Niech pani nie będzie śmieszna. Kimkolwiek jest, albo nie jest, Morgan Childs z pewnością nie jest mordercą.

– Tak jak Nixon wcale nie był oszustem, a chłopak od sąsiadów, który wymordował całą rodzinę, zawsze był tak grzecznym i dobrze ułożonym dzieciakiem... To stare historie, Mr. Brazier. Pozory mogą mylić... w każdym razie faktem pozostaje, iż znaczną część publicznego obrazu sędziego Childsa zbudowano na podstawie jego rzekomych dokonań w Korei, które nie całkiem są zgodne z prawdą.

– No i co?

– Co? Tylko tyle może pan powiedzieć? To p a n oszukał cały kraj swoimi wymysłami. Po co pan to zrobił? – Miała nadzieję, że nie posunęła się zbyt daleko... w końcu wcale nie była pewna, do jakiego stopnia Brazier uczestniczył w tworzeniu koreańskiego scenariusza z Childsem w roli głównej.

On złapał za poręczę wózka inwalidzkiego, jakby niepewny, w którą zwrócić się stroną, a potem spojrzął w górę na nią i zapytał: – Jakie są pani sympatie polityczne, Miss Pinscher? Liberalne? Konserwatywne? Guzik mnie obchodzi?

– Sądzę, że gdzieś pośrodku.

– A co to znaczy?

– To znaczy, że zależnie od kwestii. Czasem skłaniam się ku czemuś, co nazywa się postawą liberalną, czasem ku konserwatystom.

Brazier spojrzął na Sheryl, która podpierała ścianę. – Podaj mi koszulę, proszę. – Za moment wróciła z sypialni z wymiętą koszulą flanelową, którą bez zapinania guzików zarzucił na swój masywny tors.

Susanna powiedziała: – Moje sympatie polityczne naprawdę nie mają z tym nic wspólnego, Mr. Brazier. Zastanawiam się tylko, dlaczego pan i sędzia Childs zdecydowaliście się dokonać takiego oszustwa...

– To pani stwierdzenie.

Ona wyciągnęła krzesło zza biurka, usiadła i powiedziała tak spokojnym tonem, na

jaki tylko potrafiła się zdobyć: – Mr. Brazier, nie przyjechałam tutaj, by robić kłopoty. To, co wydarzyło się w Korei między panem a sędzią Childsem, jest wyłącznie sprawą panów, chyba że ma to cokolwiek wspólnego z morderstwem Clarence’a Sutherlanda. Nie jestem pańskim wrogiem. Wykonuję tylko swoją pracę, czy też raczej próbuję...

– Więc powinna pani zrozumieć.

– Zrozumieć co?

– Że zrobiliśmy to, co zrobić należało.

– Przepraszam, ale nie rozumiem.

– Korea potrzebowała bohatera. Przed Wietnamem. Być może, gdyby tam lepiej nam się powiodło, w ogóle nie byłoby Wietnamu. W każdym razie nikt tak naprawdę nie miał pojęcia, co się tam wyprawiało. Były to działania Narodów Zjednoczonych, ale ludzi wzięto głównie ze Stanów Zjednoczonych. MacArthur kompletnie zamącił wszystkim w głowach twierdząc, że nie pozwala mu się wygrać tej wojny – i Harry Truman musiał go wywalić za niesubordynację... za to, że zapomniał, kto był wodzem naczelnym. I Harry, oczywiście, miał rację. Ale kraj niesłuchanie potrzebował jakiegoś powodu do dumy, więc stworzyliśmy takiego herosa... Childsa... który w sposób naturalny nadawał się do roli bohatera, takie zawołanie bojowe przed powrotem do domu. Do diabła, w końcu zatknięcie flagi na Iwo Jima, które znalazło się na pierwszej stronie każdej gazety w Ameryce w czasie drugiej wojny światowej, też nie było prawdziwe, by użyć pani słów – „było oszustwem”, zaaranżowanym przez wojskowe służby *public relations*, żeby rodacy w kraju mieli odczucie chwały i bohaterstwa swoich wojsk – co wcale nie było oszustwem. Więc...

– Chyba rozumiem – powiedziała Susanna – ale kiedy coś jest tak wyrachowane, to wydaje mi się, że traci całą swoją wartość. To znaczy, ja wcale nie uważam, by cel do końca uświęcał środki...

– Okay, Miss Pinscher, wystarczy.

– Panie Brazier, raz jeszcze powtórzę, że nie próbuję sprawiać kłopotów, ale jestem przekonana, iż rozumie pan, że...

Zapalił papierosa i pojechał do kuchni, skąd wrócił z butelką dżinu w ręce. – Drinka? – zapytał.

– Nie, dziękuję.

– Mamy wino – krzyknęła Sheryl z sypialni, gdzie właśnie się ubierała.

– Wygląda pani na pijącą wino – stwierdził Brazier nalewając sobie szklaneczkę dżinu.

– Jeśli dobrze rozumiem, co pan chce przez to powiedzieć...

– Chcę przez to powiedzieć, że mam dość sądenia mnie i Childsa, Miss Pinscher. No

dobrze, więc odkryła pani ten głęboko ukryty, ponury sekret Korei i Morgana Childsa. A jak pani nań wpadła? Przez tego skurwiela Sutherlanda?

– Synka czy tatusia?

Przechylił w bok głowę i zmrużył oko. – Niezła pani jest, panienko.

– Do czego pan pije?

– Zmusiła mnie pani do zbytecznego gadania. – Potrząsnął głową i napił się džinu. – Skąd pani wytrzasnęła tę historię o Childsie i mnie?

Z ulgą przyjęła, że to on wymienił nazwisko Sutherlanda i postanowiła pójść tym tropem. Clarence Sutherland dowiedział się o tym z dokumentacji ojca. Pamiętała nazwisko Sutherlanda zapisane w starym kalendarzyku Braziera. – Domyślam się, że pan był pacjentem ojca i opowiedział pan doktorowi Sutherlandowi o Childsie i Korei. Syn w jakiś sposób dostał się do sekretnej dokumentacji ojca i wykorzystał informacje do szantażowania Childsa...

Wszystko to były jedynie domysły, ale wyraz twarzy Braziera zdawał się je potwierdzać. Napełnił swoją szklanekę po raz kolejny i spojrzał w okno. Z sypialni wyszła Sheryl, ubrana w spodnie i sweter. – Wykonała pani swoje zadanie, Susanno Pinscher. Pani zdrowie. – Podniósł szklaneczkę. – Piję za Sherlocka Holmesa, Philipa Marlowe'a, Tralisa McGee i Susannę Pinscher, detektywów pierwszej klasy, i tak dalej... więc poznała pani tę ukrytą, ponurą tajemnicę... no i co teraz pani z tą wiedzą zrobi?

– Nic, chyba że, jak wspomniałam, łączy się ona ze sprawą Sutherlanda...

– A jeśli tak jest?

– Jeśli tak jest, będę musiała...

– Niech pani posłucha, co będzie, jeśli to Morgan Childs zabił tego Sutherlanda, przy czym oczywiście wcale nie mówię, że tak było... Chodzi mi o to, co straciliśmy, poza taniutkim, zjadliwym, szantażującym płazem, gotowym i chętnym do spuszczenia w toalecie narodowego bohatera dla swoich prywatnych zysków? Niechże pani o tym pomyśli, panienko, i dokładnie wszystko zważy. Sutherland był śmieciem. Morgan Childs reprezentuje dla milionów Amerykanów człowieka, którego dziś się już praktycznie nie widuje. No, niech mi pani wymieni kogoś z naszych czasów, kogo można by nazwać bohaterem, kogoś, kogo warto byłoby naśladować, kogoś, kto symbolizuje w Ameryce coś dobrego. Sportowcy? Czysta bzdura. Ci przecież uczą nasze dzieciaki jedynie tego, by uważnie patrzeć na wysokość kontraktów. Gwiazdy filmowe? Lepiej o tym zapomnieć. Politycy? Ci, którzy nie są jeszcze w stanie oskarżenia, albo nie podsłuchują nielegalnie, są niesłychanie zajęci braniem łapówek od facetów, którzy sfinansowali im kampanię wyborczą... – Pochylił się w przód na wózek. – Morgan i ja mamy swoje problemy, ale są to wyłącznie nasze problemy,

nie pani, ani nikogo innego. On znaczy coś dla pani, dla mnie, dla każdego w Ameryce. Zasiada w najwyższym sądzie w tym kraju i głośnie w zgodzie ze swoim przekonaniem, czy coś jest zgodne czy niezgodne z Konstytucją. U nikogo się nie zadłużył. Broni przyzwoitości i honoru, czyli rzeczy, których nam teraz tak brakuje. W Ameryce istnieje cała sieć organizacji dla chłopców, które noszą imię Morgana Childsa i dla których zdobywa corocznie milionowe fundusze...

– Ja to wszystko rozumiem, Mr. Brazier, i tak się składa, że zgadzam się z większością pańskich wypowiedzi. Mój ojciec często mówi w ten sam sposób. Sama mam troje dzieci i martwię się, czy będą miały w przyszłości autorytety do naśladowania. Poznałam sędziego Childsa i byłam z nim w powietrzu, w samolocie. Podoba mi się, przypomina mojego ojca... ale jeśli Clarence Sutherland stanowił dla niego tak wielkie zagrożenie, że zmusiło go to do morderstwa, to już zupełnie inna historia...

– Niech pani to zostawi – stwierdził Brazier.

– Nie mogę...

– Niech pani da spokój – powiedział nie odwracając się w jej stronę. – Trzeba spojrzeć na to szerzej...

– Mr. Brazier, zabito człowieka i...

Obrócił wózek tak gwałtownie, że szklanka wypadła mu z rąk i wylądowała u stóp Sheryl. Ta ją podniosła, zbierając ręką kostki lodu. Brazier wrzasnął: – Morgan Childs jest czegoś wart, do jasnej cholery. On coś znaczy dla Ameryki i dla mnie. Uratował mi w Korei życie i...

– Rozumiem pana świetnie i mnie też to wszystko dotyczy, ale muszę pana zapytać... czy pański przyjaciel Morgan Childs zamordował – Clarence'a Sutherlanda?

Słowa wypowiadał wolno i z trudem, jakby mierzone złością, którą usiłował powstrzymać. – Niech... się... pani... wynosi. Zanim zrobię coś strasznego.

Wycofała się do korytarza, Sheryl poszła za nią, zamykając drzwi.

– Przepraszam, Miss Pinscher. Dan jest... może być momentami trudny, szczególnie, kiedy chodzi o ten kraj i Koreę, i Morgana Childsa. Jemu naprawdę na tym wszystkim bardzo zależy, ma tak głębokie przekonania, że czasami go ponosi.

– Rozumiem – powiedziała Susanna i dotknęła jej ramienia.

– Tak bardzo go kocham – powiedziała Sheryl. – Tyle w życiu przeszedł. Jest przyzwoitym, wspaniałym i cierpiącym człowiekiem. Sama w życiu cierpiałam, ale nigdy tak jak on.

– Bardzo go szanuję – powiedziała Susanna. – Proszę mi wierzyć.

- Wierzę. – Otarła oczy. – Wie pani, Susanno, on mógł być wielkim człowiekiem.
- Przecież był. Jego reportaże ukazywały się w każdym magazynie w Ameryce.
- Ale mógł być jeszcze większy.
- A dlaczego tak się nie stało?
- Bo tak zgorzkniał, stał się taki obojętny na wszystko. Próbowałam go z tego wyciągnąć, namówić, by dalej pisał, ale nie chciał.
- Od jak dawna w ogóle nie pisze?
- Od lat. Kiedy się poznaliśmy, prawie kończył książkę, ale nigdy tak naprawdę nie doprowadził jej do końca. Maszynopis leży pod łóżkiem i tylko kurz się na nim zbiera.
- Jaka to książka?
- O CIA, która lata temu testowała narkotyki na ludziach. – To zdanie wypowiedziała prawie szeptem.
- Czytałam prasowe reportaże o tym, jak zmuszono CIA do ujawnienia niektórych dokumentów. W jaki sposób Dan się tym zainteresował?
- Och, nieważne... i tak nigdy nie skończy... Jest tak cholernie przejęty ochronieniem ludzi i tego kraju. Nawet lekarzy, którzy brali udział w tych eksperymentach...
- Lekarzy? Na przykład doktora Sutherlanda?
- Sheryl szybko zaprzeczyła ruchem głowy. – Nie wiem – powiedziała. – Dan w jakiś sposób uczestniczył w tym eksperymencie, kiedy przebywał w klinice gdzieś w Delaware, w miejscu o nazwie Sunken Springs.
- Czy Dan wymienia nazwisko doktora Sutherlanda w swoim maszynopisie, Sheryl? Czy dlatego jego nazwisko widnieje w kalendarzyku Dana?
- Jakim kalendarzyku?
- Tym w sypialni, tym, na którego oglądaniu przyłapał mnie poprzednim razem, kiedy tu byłam.
- Nic mi o tym nie mówił.
- Och, myślałam...
- Powiedział, że nie życzy sobie, żeby ktoś myszkował w jego prywatnym życiu. Był tak wściekły na mnie, że cię wpuściłam...
- Przepraszam za kłopot.
- Nie szkodzi. Przyjmuję wszystko, co łączy się z kochaniem kogoś takiego jak Dan. Znam mnóstwo mężczyzn, którzy mają znacznie mniej problemów, ale oni z kolei nie są w stanie dać mi tego, co daje mi Dan.
- No tak... cóż, dzięki raz jeszcze, Sheryl, za zaufanie. To dla mnie... prawdziwe

przeżycie... to, że mogłam poznać ciebie i Dana Braziera...

ROZDZIAŁ 30

Susanna Pinscher i jej syn wrócili do Waszyngtonu o ósmej wieczorem. Zawiozła go do domu ojca, pojechała do Ministerstwa Sprawiedliwości, weszła do swojego pokoju i przy świetle biurowej lampki przejrzała notatki zrobione w czasie lotu. Wykreśliła domowy numer Martina Tellera. Żadnej odpowiedzi. Spróbowała komendę. Oficer dyżurny powiedział, że detektyw Teller nie wychodził chyba jeszcze z budynku. Kilka minut później zadzwonił Teller.

– Martin, wróciłam. Muszę się z tobą zobaczyć. Będziesz wolny?

– Przyjedź tutaj, będę w swoim biurze.

Kiedy tam przybyła, dochodziła jedenasta. Teller był w samej koszuli. Na jego twarzy rysował się wyraźnie cień zarostu. Zamknął drzwi i usiadł na swoim krześle. Ona przysiadła na kraju biurka.

– Okay, wyrzuc z siebie wszystko.

Tak też zrobiła, najpierw pomijając ze swoich dwóch spotkań z Brazierem te wątki, które wiązały się z morderstwem Sutherlanda.

– Brazier z twojej opowieści sprawia wrażenie trochę postrzelonego. A jak się to wszystko ma do sprawy?

– Zaraz. Po pierwsze, Morgan Childs nie jest dokładnie tym, za kogo się go powszechnie uważa, chociaż na pewno na to zasługuje, wedle wersji Braziera. Najważniejsze jest jednak to, że miał słaby punkt – wiedza uroczego Clarence’a Sutherlanda na temat prawdy o Korei. Dan Brazier trochę wszystko podkolorował w reportażach pisanych po powrocie do kraju, a Childs nie protestował. Namówił go do tego, jak się zorientowałam, sam Brazier, który uważał, że narodowi należał się bohater tej wojny i że Childs stanowił na takowego idealny materiał. Okazuje się, że Childs rzeczywiście uratował mu życie, ale nie zdobyłam na ten temat żadnych szczegółów. W każdym razie, czy zgodził się „robić za bohatera”, czy nie, Childs może się obawiać dziennikarskich poszukiwań i totalnej klęski, gdyby ta sprawa kiedykolwiek miała wyjść na jaw. Można łatwo zrobić z niego oszusta, co z kolei mogłoby doprowadzić do zawieszenia go przez Kongres w czynnościach sędziego Sądu Najwyższego... no i jest to całkiem niezły powód, by uznać go za jednego z głównych podejrzanych. Nawet znakomici faceci wpadają w panikę, kiedy wszystko w życiu zaczyna im się walić. Zgadzasz się?

Teller powoli przytaknął. – Skąd Clarence zdobył te informacje?

– Z dokumentacji psychiatrycznej ojca. Brazier był jego pacjentem, kiedy przebywał w Waszyngtonie.

– Jedź dalej.

– Dowiedziałam się od dziewczyny Braziera, Sheryl Figgs, że Brazier pracował nad książką odsłaniającą kulisy eksperymentów nad kontrolowaniem umysłu prowadzonych przez CIA. Okazuje się, że był hospitalizowany jako pacjent Sutherlanda w miejscu o nazwie Sunken Springs w Delaware. Nie mogę tego udowodnić, Martin, ale sądzę, że...

– Doktor Sutherland był powiązany z eksperymentami CIA?

– Tak... skąd wiesz?

– Pracowaliśmy trochę nad doktorem Sutherlandem i kilka rzeczy wyszło na jaw w czasie twojej nieobecności.

– Co takiego? Ustaliście związki Sutherlanda z CIA?

– Tak... i jeszcze coś ci powiem. Sędzia przewodniczący Poulson najprawdopodobniej też był pacjentem tej dziwnej kliniki w Sunken Springs. Na początku nazwa Sunken Springs nic mi nie mówiła. Mieliśmy niby wierzyć, że Poulson spędził tam po prostu trochę czasu na pisaniu książki. Ale parę rzeczy sprawdziliśmy. Oprócz apteki, targu mięsnego, dużego kompleksu różnych sklepów i teatru działającego jedynie w weekendy, Sunken Springs ma też bardzo dobrze pilnowany, całkiem odizolowany zespół budynków, gdzie bogaci i sławni naprawiają sobie mózgownice, kiedy się im trochę rozsypały. A wedle plotek, CIA używa tego miejsca jako przechowalni, jako miejsca odosobnienia dla różnych strachów i duchów, które nagle wyszły na światło dzienne i potrzebują trochę odpoczynku, nie mówiąc już o tym, że jest to klinika prowadząca eksperymenty dla CIA. Właśnie dziś późnym popołudniem dostałem raport na ten temat. Jest tam napisane, że...

– Czy jesteś pewien, że sędzia Poulson tam był? Jako pacjent?

– To całkiem sensowne przypuszczenie, nie uważasz?

– Zatem nasz pracowity Clarence mógł go t y m szantażować. Gdyby wiadano że Poulson siedział w wiariatkowie, to nigdy by go nie zatwierdzono na stanowisko przewodniczącego Sądu Najwyższego. Nie mógłby też utrzymać tego stanowiska, gdyby to wyszło na jaw już po nominacji. Czy wiedział o tym Biały Dom?

Teller wzruszył ramionami. – Gdybym ja był autorem tego scenariusza, to kazałbym im o tym wiedzieć... Clarence Sutherland dostał propozycję pracy w administracji prezydenta Jorgensa.

– Naprawdę? O rany...

Teller wstał i podszedł do ściennej tablicy, zdjął papier pakowy i odsunął się krok w

tył.

– Co to jest? – spytała Susanna.

– Oczywiście moja tablica. Kosztowała stówę. Jest dla mnie w pewnym sensie pocieszeniem. Powoduje, że czuję się mniej zagubiony, niż naprawdę jestem. Wracając do sprawy... mogłabyś zapytać, dlaczego Clarence'owi Sutherlandowi zaproponowano pracę w Białym Domu...

– Nie chcę uchodzić za mądrą, panie detektywie, ale myślę, że to teraz całkiem jasne. Clarence wykorzystywał swoje informacje na temat pobytu Poulsona w klinice i wywarł nacisk na prezydenta i jego ludzi, by dostać to stanowisko. Poulson był i jest człowiekiem Jorgensa.

– Racja, ale może jest w tym coś więcej. Jeśli Clarence miał haka... wybaczyć to wyrażenie... na Childsa, mógł użyć swoich wpływów w Sądzie, by pewne decyzje podejmowane były wedle woli prezydenta. To znaczy mógł wywierać nacisk na Childsa.

Przytaknęła.

– Co za skurwiol, nie? – powiedział Teller.

– Powiedziałabym gorzej... czego jeszcze dowiedziałas się w czasie mojej nieobecności?

– To mniej więcej wszystko.

– Na pewno?

– Na pewno. Zbierzmy to teraz do kupy.

Podeszła do tablicy. – Masz tu wszystkich – powiedział – wszystkich podejrzanych. Trzeba to teraz wyczyścić.

– Kogo chcesz wykluczyć?

Skrzyżował ręce na piersiach i zmrużył oczy. – Popatrzmy. Laurie Rawls. Czy oprócz wściekłości na Clarence'a za jego zabawy z innymi paniami istnieje inny powód, by ją podejrzewać?

– To może być wystarczający powód, by ją zatrzymać na liście.

– Może, ale naprawdę sędzę, że trzeba ją zawęzić. Za dużo tu graczy z przypuszczalnym motywem. Proponuję, żeby ją wycofać z gry.

– Zgoda.

Usunął z tablicy nazwisko Laurie ułożone z magnetycznych liter. – Kogo jeszcze?

– Doktora Sutherlanda.

– Dlaczego?

– Był ojcem Clarence'a. Czy ojcowie z zimną krwią zabijają swoje dzieci? To się

może zdarzyć w afekcie, w złości czy gniewie, a przecież to zabójstwo popełniono z premedytacją.

Teller przytaknął. – Tylko że syn mógł szantażować własnego ojca jego udziałem w prowadzonych przez CIA badaniach nad oddziaływaniem narkotyków na ludzi, którzy nie zdawali sobie z tego sprawy i z których część poniosła śmierć w wyniku tych eksperymentów. Przejrzeliśmy dokumenty ujawnione przez CIA, dokumentację MKULTRA. Ludzie w tym interesie wymyślają idiotyczne nazwy dla swoich programów badawczych... *Brukselka...* *Sójka...* dorośli faceci, którzy się bawią w maskaradę z cyklu płaszcza i szpady... W każdym razie nie sądzę, żeby papa psycho to zrobił, ale przy takim synalku jak Clarence, mógł chcieć oczyścić się z winy za samo wydanie go na świat. Głosuję jednak za zdjęciem go z tablicy.

– W porządku. To twoja tablica.

– Nie bądź taka mądra. – Ale uśmiechnął się przy tym i usunął nazwisko Sutherlanda.

– Następny?

– Sędzia Conover?

– Wiesz już?

– O jego wylewie? Tak. Jak się miewa?

– Ostatnio słyszałem, że nadal jest w stanie śpiączki.

– Biedny chłop.

– Tak. Rozmawiałem jeszcze raz z Cecily Conover. „Biedny chłop” to właściwe określenie.

– Gdyby ofiarą była Cecily, głosowałabym za umieszczeniem go na pierwszym miejscu listy.

– Czy ściągamy go z tablicy?

– A ty jak sądzisz?

– Tak...

– Załatwione. – Nazwisko Conovera dołączyło do tabliczek Sutherlanda i Laurie Rawls na biurku.

– Cecily Conover?

– Choć bardzo chciałbym widzieć ją jako *numero uno* na liście, to jednak tak nie jest. Ta lady, a używam tego określenia jedynie w sensie przenośnym, świetnie się maskuje. Ona znalazłaby kogoś, kto by to zrobił za nią.

Susanna sięgnęła do tablicy i zdjęła z niej nazwiska pani Sutherland i siostry Clarence’a. – Masz coś przeciw? – spytała. – Chyba raczej należałoby im współczuć, że były spokrewnione z Clarence’em. Osobliwie pani Sutherland.

– Zgadzą się.

– A co z kategorią „znajomi”? – spytała Susanna.

– Precz z nimi.

Susanna zaczęła ściągać z tablicy nazwisko Very Jones.

– Poczekaj.

– Dlaczego? Z naszych informacji o niej wcale nie wynika, że brała udział w wyścigu.

– Kiedy nic na to nie powiedział, spytała: – Czy ty coś przede mną ukrywasz, Martin?

– Wiesz, co tak bardzo mi się w tobie podoba, oprócz paru innych rzeczy?

– Co?

– Że mówisz do mnie Martin. Większość ludzi nazywa mnie Marty. Jak tę biedną postać ze sztuki Paddy Chayefsky’ego. Tylko ty i moja matka... tyle że ona tak mnie nazywała wyłącznie wtedy, gdy była na mnie wściekła.

Susanna zaśmiała się i powiedziała, żeby przestał być taki kochany, bo będzie musiała przerwać rozmowę o pracy i natychmiast zabrać go do swojego mieszkania.

– Przepraszam – powiedział – ale do tego jeszcze nikt mi nigdy nie mówił, że jestem kochany.

Opowiedział jej o tym, jak zobaczył Verę Jones w „Club Julie”, i co powiedział o niej barman.

– Ale to stawia ją tylko w tej samej kategorii, co Laurie Rawls. Kolejna odrzucona kobieta. Czy to wystarczający powód?

Potrząsnął głową. – Nie zgadzam się. W jej wypadku może być w tym coś więcej. Vera jest z Sutherlandem od lat, więc musi dużo wiedzieć, łącznie z gierkami z CIA. Chciałbym ją zostawić na liście... i myślę, że trzeba będzie dodać jeszcze kilka haseł.

– Myślałam, że idzie o skrócenie listy.

– Tak, ale to wcale nie znaczy, że można ignorować rzeczy ważne.

– Co chcesz dodać?

Mruknął coś pod nosem.

– Co?

– Jak oznaczałabyś na tablicy Biały Dom i CIA?

– Biały Dom?

– Jeśli Jorgens mianował Poulsona sędzią przewodniczącym wiedząc, że ten był w szpitalu dla nerwowo chorych, to, cóż... mówi to samo za siebie. I jeśli Jorgens wywierał nacisk na decyzje Sądu Najwyższego poprzez coś, co w sumie sprowadza się do szantażu, wszystko dzięki uprzejmości Clarence’a, który zdobył dostęp do dokumentacji ojca – to czyni

to prezydenta Stanów Zjednoczonych współnikiem szantażu, nie mówiąc już o naruszeniu zasady rozdziału władzy...

– Nie wiem, czy jestem w stanie zajmować się czymś takim...

– Ale musimy... tak samo CIA. Jeśli Clarence wiedział o eksperymentach z narkotykami i trzymał te informacje dla kogoś, kto mu najlepiej za nie zapłaci, to nasi przyjaciele z Centralnej Agencji Wywiadowczej wcale nie byliby niezadowoleni z jego... usunięcia. Może nazwaliby to „neutralizacją” albo „uciszeniem”, ale wszystkie te terminy i tak oznaczają śmierć. – Usiadł za biurkiem, wyjął dwa kawałki papieru i zdjął nasadkę z długopisu. – Czy wsadzamy ich razem pod hasło *Rząd*, czy robimy oddzielne nazwy dla *CIA* i *BD*. Białego Domu. Nie chciałbym pisać pełnych nazw na tablicy. Mogłoby wstrząsnąć kimś, kto by zajrzał pod pakowy papier.

– Zapisz osobno, *CIA* i *BD*.

Tak zrobił i umieścił nalepki na tablicy. – No dobrze, i jak teraz wygląda?

Odsunęli się o krok i spojrzeli raz jeszcze na poprawioną tablicę, zanim ją przykrył.

OFIARA

POULSON – szantaż

CHILDS – szantaż

VERA JONES – osobiste oraz dostęp do tych samych informacji, co ofiara

CIA – ujawnienie tajemnic

BD – szantaż

Teller odprowadził ją do samochodu.

– Wracasz do domu? – spytała.

– Chciałbym, ale nie mogę.

– Dlaczego? – lekko dotknęła jego policzka.

– Jestem zmęczony i mam dużo na głowie. Moja najmłodsza córka jest w ciąży.

Rzuciła szkołę.

– Przykro mi to słyszeć, Martin.

– Tak, jak to mówią, życie jest tym, co się rzeczywiście dzieje, kiedy ty robisz inne plany. Nie dałabyś mi jakiejś zaliczki?

– Masz. Dobranoc. – Pocałowała go lekko w usta. Przyciągnął ją bliżej i przycisnął mocno jej usta do swoich. Kiedy oderwali się od siebie i właśnie miała otworzyć drzwiczki

samochodu, powiedział do niej: – Może byśmy pojechali jutro zobaczyć się z doktorem Sutherlandem i Vera Jones?

- Dobry pomysł. Trzeba atakować. W przypadku Dana Braziera to wypaliło. O której?
- Zadzwoń do nich rano. – Wzruszył ramionami. – Właściwie już jest rano.
- Powiedz mi tylko o której, Martin. I prześpij się trochę.

ROZDZIAŁ 31

Upłynęły jednak aż dwa dni, nim Teller i Susanna mogli się zobaczyć z doktorem Sutherlandem i Verą Jones. Gdyby Teller nie był natrętny, dzwoniąc po raz trzeci do Very, pewnie trwałoby to jeszcze dłużej.

Vera wprowadziła ich do gabinetu Sutherlanda i już zbierała się do wyjścia, kiedy Teller powiedział: – Chciałbym, żebyście państwo byli tu oboje.

– Mam dużo pracy...

– My też, Miss Jones.

Vera spojrzała na Sutherlanda, który skinął głową, a potem usiadła na wiklinowym krześle z rękami założonymi na kolanach, oczyma wpatrzonymi wprost przed siebie, z bladą twarzą pozbawioną wszelkiego wyrazu. Miała na sobie brązową tweedową spódnicę sięgającą daleko poniżej kolan. Beżowy kaszmirowy sweter z dużym, grubym kołnierzem zdawał się wypychać jej głowę wysoko w górę ponad ramiona. Włosy miała ściągnięte w prosty koński ogon. Twarz zupełnie pozbawioną makijażu.

– Zatem, panie Teller, jakie są postępy w dochodzeniu? – zapytał Sutherland. Nie wydawał się zbyt zainteresowany, zważywszy, że śledztwo dotyczyło jego zamordowanego syna.

– Nieźle, doktorze. Tak naprawdę dopiero ostatnie kilka dni przyniosło nowe, ważne informacje. – Spojrzał na Verę, której twarz zdała się jeszcze bardziej kamienna niż przedtem.

Wiadomość podana przez Tellera poruszyła jednak doktora. Wychylił się trochę do przodu w swoim fotelu i zapytał: – Jakie to informacje, detektywie Teller.

– Chcielibyśmy zadać panu i Miss Jones kilka pytań.

Sutherland uśmiechnął się. – Proszę bardzo, pytajcie. Ja osobiście próbowałem być z wami zupełnie szczerzy, podobnie jak Miss Jones.

Kiedy Teller nie zadał pytania, Susanna, mając w pamięci swoje doświadczenie z Danem Brazierem, powiedziała bez emocji w głosie: – Wiemy, doktorze Sutherland, o pańskich powiązaniach z programem badawczym CIA oraz o tym, że Clarence także wiedział, i dawał innym do zrozumienia, że wie...

Sutherland, który tymczasem opadł na poduszki kanapy, zdjął nogę z nogi i powiedział nie patrząc na Susannę: – To bzdura, Miss Pinscher, i pani to świetnie wie.

– Nie, to fakt – wtrącił Teller. – Jest jeszcze coś więcej, doktorze Sutherland. Wiemy, że sędzia przewodniczący Poulson był pańskim pacjentem i że hospitalizował go pan w

Sunken Springs w Delaware...

– Zaraz, słuchajcie państwo... nie podoba mi się to wkraczanie na tereny prywatne. – Sutherland stanął na równe nogi.

Susanna szybko wtrąciła: – Dan Brazier także był pańskim pacjentem, doktorze Sutherland, a Clarence dowiedział się prawdy o wojennych dokonaniach sędziego Childsa dzięki tej dokumentacji...

– Do diabła – rzucił Sutherland i zaczął chodzić po pokoju.

– Spokojnie – powiedział Teller. – Nie wiadomo, jak się ma to wszystko do kwestii zabójstwa pańskiego syna, ale naszym zadaniem jest to sprawdzić i przekonać się, czy dokądś, jeśli w ogóle, takie rozumowanie prowadzi.

– To okropne – powiedziała Vera Jones.

– Z pewnością – stwierdził Teller. – Proszę państwa, ani Miss Pinscher, ani ja, nie mamy do was żadnego osobistego interesu. Chcemy tylko wiedzieć, kto zabił pańskiego syna, doktorze Sutherland. Jeśli pański syn szantażował ludzi w Sądzie, jeśli posiadał informacje, które mogły stanowić zagrożenie dla kogoś, to mamy bardzo sensowny motyw.

Sutherland, stojący tyłem do Tellera, odwrócił się teraz w jego stronę i powiedział: – Wścibiacie nos w życie osobiste. Jestem lekarzem. Tajemnica moich stosunków z pacjentami jest chroniona odwieczną etyką lekarską i, chciałbym dodać, usankcjonowana prawnie. Moi pacjenci...

Nagle wtrąciła się Vera, która przyparta do muru, zdecydowanie lepiej zachowywała zimną krew, niż nasz dobry doktor. – To wszystko jest bez znaczenia – powiedziała. – Jeśli przyszlście tutaj, by zadać konkretne pytania doktorowi Sutherlandowi i mnie, to proszę je zadać, a potem wyjść stąd. Cokolwiek innego i ktokolwiek inny nie powinny was w ogóle obchodzić.

– To pani opinia – stwierdził Teller. – Wszystko zdaje się wskazywać na związki z tym gabinetem, z dokumentacją tu przetrzymywaną, i dopóki ten związek istnieje, zamierzam iść tym tropem. Sądzę, że mówię to także w imieniu Miss Pinscher.

Vera spojrzała na Susannę. – Czy pani potrzebuje, by ktoś mówił w pani imieniu?

– Nie, Miss Jones, przeważnie daję sobie radę sama, ale w tym wypadku moja opinia jest dokładnie taka sama.

– Więc wracajmy do tematu – powiedział Teller.

– Proszę opuścić ten gabinet – powiedział Sutherland.

– Jeszcze nie teraz – stwierdziła Susanna spokojniej, niż sama się czuła.

– Nie słyszeliście? – zapytał Sutherland. – Nie życzę sobie waszej obecności w moim

domu. Czy mam zadzwonić na...

– Policję? – zapytał Teller.

– Złożę na was skargę – powiedział Sutherland z zastygłą w bezruchu nad telefonem ręką, którą po chwili wolniutko opuścił. – Detektywie Teller, czy pan poważnie sugeruje, że mój własny syn mnie szantażował?

– My niczego nie sugerujemy – powiedziała Susanna. – Stwierdzamy jedynie, że morderstwo Clarence'a łączy się, w sposób niezupełnie dla nas zrozumiały, z pańską osobą, czyli z jego ojcem, i z tym gabinetem. W świetle tego, czego dowiedzieliśmy się na temat sędziego Poulsona i Childsa, oraz pańskich powiązań z CIA, logika tego wniosku wydaje się być ewidentna.

– Proszę wybaczyć – powiedziała Vera Jones i wstała ruszając w kierunku drzwi.

– Jeszcze nie teraz – powiedział Teller. – Proszę nam opowiedzieć o dokumentacji psychiatrycznej Poulsona i Dana Braziera.

Sutherland był teraz zdecydowanie spokojniejszy i jakby pewniejszy siebie. Być może zastosował wobec siebie samego jakąś terapię uspokajającą, pomyślała Susanna, uśmiechając się w myślach. – Czy pański syn je zabrał? – zapytała.

– Oczywiście, że nie.

– Czy ta dokumentacja jest bezpieczna? – spytał Teller.

– Niewątpliwie – powiedziała Vera, a zrobiła to z prawdziwym przekonaniem.

Sutherland przytaknął skwapliwie. – Snujecie państwo przypuszczenia na temat sędziego Poulsona i Mr. Braziera. Nie macie jednak racji. Chociaż rozumiem waszą frustrację. W końcu to jednak mój syn został zamordowany...

– Taa... panie doktorze, my wiemy, że Poulson był pańskim pacjentem, *ditto* Brazier. Co się dzieje na linii lekarz-pacjent, to sprawa całkowicie prywatna. Szanujemy to i wcale nie chcemy się dowiedzieć, jakie problemy miał Poulson i co sprawiło, że wsadził go pan na leczenie zamknięte. To samo dotyczy terapii Braziera. Chodzi nam tylko o to, że pański syn okrutnie zirytował tych ludzi swoim zachowaniem, i bardzo możliwe, że i Centralną Agencję Wywiadowczą, która, sam pan przyzna, nie jest instytucją, którą należy denerwować. Ktokolwiek więc zabił pańskiego syna, mógł to zrobić ze względu na jego informacje albo coś, co sobie zabrał z tego gabinetu...

Cisza.

– Czy mogę panią przeprosić, Miss Jones – powiedział w końcu Sutherland. Teller i Susanna spojrzeli na siebie, potem na Verę, która stanęła na baczność, z rękami sztywno ułożonymi przy bokach, a potem wolnym krokiem podeszła do drzwi i opuściła

pomieszczenie.

– Panna Jones jest ze mną od bardzo dawna – powiedział Sutherland po jej wyjściu. – Jest lojalna, nadzwyczaj wprawna i...

– I?... – naciskała Susanna. Powoli miała dość doktora Sutherlanda. Syn tego faceta był zwyczajnym gnojkiem, ale to jeszcze nie powód, by tak zupełnie nie przejmować się jego śmiercią.

– Ludzie pokroju Miss Jones są wspaniali, lojalni, ale czasami nieco zbyt ostrożni, zbyt oschli, i tu chciałbym od razu dodać, że istnieją po temu bardzo sensowne powody. W każdym razie postanowiłem zrobić coś, z czym ona z pewnością by się nie zgodziła, a i ja sam mam duże wątpliwości co do słuszności tego kroku. Jednakże zasady trzeba czasami trochę naginać do sytuacji. Dowiedzieliście się państwo, że Jonathan Poulson, sędzia przewodniczący Sądu Najwyższego Stanów Zjednoczonych był niegdyś moim pacjentem. Wiecie także, że leczyłem Dana Braziera i że podczas terapii rozmawialiśmy o jego stosunkach z innym sędzią Sądu Najwyższego. Istnieją pewne rzeczy, o których ludzie dowiadują się, mimo usilnych...

– Sam Dan Brazier nie jest tu tak istotny – wtrąciła Susanna – lecz raczej to, co powiedział o sędzim Childsie.

– Tak, Miss Pinscher, tak to rozumiem... Jakkolwiek wasze informacje, że niektóre osoby były kiedyś moimi pacjentami, są prawdziwe, to jednak mylicie się co do Clarence'a. To znaczy, nawet gdyby chciał zrobić to, co państwo sugerujecie, i tak nie był w stanie zdobyć dostępu do mojej dokumentacji. Moje dokumenty naprawdę są dobrze zabezpieczone. Istnieją do nich dwa zestawy kluczy, i są to jedyne klucze. Jeden mam ja, a drugi Miss Jones.

– No właśnie – Miss Jones? – stwierdził Teller.

– Niechże pan nie będzie śmieszny. Przecież sam pan widział, jaka ona jest – jeszcze bardziej przejęta poufnym charakterem tych dokumentów niż ja sam...

– Czy Clarence i Miss Jones prowadzili ze sobą romans? – zapytała bez ogródek Susanna.

– Od śmieszności do absurdu. Ale nawet gdyby tak było, nigdy nie ujawniłaby tych dokumentów... dla nikogo. Ufam pannie Jones bezgranicznie. A mówię to jako psychiatra, który naprawdę powinien znać się trochę na ludziach. Jest zbyt uwrażliwiona na lojalność i honor, by kiedykolwiek się ugiąć. Czasami sama nie najlepiej na tym wychodzi, ale taka już jest, z czego z pewnością odnoszę korzyści ja i moi pacjenci. Z przeszłości i obecni... Ale jak wspomniałem, zamierzam nagiąć trochę nasze sztywne zasady, by przekonać o tym państwa, co powinno pozwolić na koncentrację wysiłków na bardziej obiecujących rzeczach... Mam

zamiar pokazać państwu dokumentację Mr. Braziera i sędziego Poulsona...

Teller i Susanna spojrzeli na siebie nie do końca wierząc w to, co usłyszeli.

– Zdziwieni, jak widzę. Nie ma powodu. Chcę z wami współpracować i naprawdę pomóc w istotny sposób. Tak więc pokażę państwu te teczki, ale nie pozwolę ich czytać. Zobaczycie tylko, że naprawdę istnieją. Zobaczycie, że są nienaruszone i dlatego nie mogły odegrać żadnej roli w śmierci mojego syna.

Sutherland zadzwonił do Very Jones i powiedział do telefonu. – Proszę mi przynieść teczki z dokumentacją Dana Braziera i Jonathana Poulsona. – Musiała protestować, bowiem za chwilę powiedział bardziej zdecydowanym tonem. – Proszę to po prostu zrobić, Miss Jones. Dziękuję.

Weszła do gabinetu niosąc dwie grube teczki – na jej twarzy rysowało się niezadowolenie – wręczyła je Sutherlandowi, odwróciła się na pięcie i wyszła z pokoju. Bez jednego słowa.

Sutherland wziął najpierw teczkę Braziera. – Proszę bardzo. – Wyjął kartki zapisane maszynowym pismem i rozłożył je na stoliku do kawy. – Wszystko jest, moje notatki i obserwacje, komentarze na temat postępów w leczeniu, kopie listów wysyłanych przeze mnie w jego sprawie do innych lekarzy. Mr. Brazier nie był osobą poważnie chorą. Strata nóg jest, oczywiście, poważnym urazem, stąd potrzebował psychicznego wsparcia. I dokładnie to usiłowałem mu dać, wesprzeć go na tyle, by zaakceptował swój problem czysto fizyczny i zechciał działać wykorzystując swój bardzo inteligentny i twórczy umysł.

– Nie bardzo mu się to udało – stwierdziła Susanna.

– Przykro mi to słyszeć. Ale, oczywiście, to tylko pani opinia, Miss Pinscher. No cóż... tyle na temat teczki Dana Braziera. Wszystko znajduje się tutaj, nienaruszone, dokładnie w tym samym stanie. Nic nie zmienione, niczego nie brakuje. Stanowi to dowód, że mój syn, ani nikt inny, nigdy tych dokumentów nie dotknął.

– Czy jego uwagi na temat sędziego Childsa są w tym zestawie dokumentów? – spytała Susanna.

– Sensowne pytanie, w końcu to esencja waszego zainteresowania. Proszę, wystarczy spojrzeć. – Wziął ze stołu trzy kartki papieru i odwrócił je tak, by leżały przodem do Susanny i Tellera. Na górze każdej kartki widniał napis dużymi literami: KOREA – STOSUNKI Z CHILDSEM. Kiedy Teller i Susanna pochylili się do przodu, by lepiej się przyjrzeć, Sutherland zebrał wszystkie kartki i włożył je z powrotem do teczki. – Przepraszam – powiedział – ale, jak mówiłem, nie zgodzę się nigdy, byście państwo czytali te dokumenty... Dobrze, przejdźmy teraz do sędziego Poulsona. – Otworzył teczkę z jego dokumentami i

znowu jakby od niechcienia rozrzucił je po stole. Teller i Susanna znowu wychylili się w przód na swoich krzesłach. Teller właśnie zaczął zadawać pytanie, kiedy twarz Sutherlanda nagle stężała. Przymusił się do uśmiechu, zebrał kartki ze stołu i włożył je z powrotem do teczki. – Usatysfakcjonowani?

– Pewnie będzie nam to musiało wystarczyć – powiedział Teller.

– Uważam, że wykazałem ponad wszelką wątpliwość nie tylko moją chęć, ale wręcz pragnienie współpracy. – Wstał z teczkami pod pachą. A teraz, przepraszam, ale muszę państwa poprosić o wyjście. Jak sami państwo widzieliście, dokumenty, do których przywiązujecie tak wielkie znaczenie, są tutaj. Wierzę, że nawet to swoiste, w ograniczonym przecież zakresie, pokazanie ich państwu pozostanie między nami i że docenią państwo poufność naszych kontaktów.

Teller i Susanna wstali i pożegnali się z nim, po czym wyszli przez biuro Very Jones. W ogóle nie odpowiedziała na ich „do widzenia”, siedziała wyprostowana przy biurku, z rękami opartymi na blacie i spojrzeniem prosto przed siebie...

Przyjechali do Chevy Chase samochodem Tellera. Kiedy wracali do Waszyngtonu, zapytał ją: – Czy zauważyłaś to, co zauważyłem ja?

– Tak, przynajmniej tak sądzę. Kiedy spojrzał na kartki z teczki Poulsona, wydawał się przez moment mocno zdenerwowany. Szybko się otrząsnął, ale jakby był zdziwiony. Myślę, że dlatego, iż kartki z teczki Poulsona wyglądały zupełnie inaczej niż te z Braziera. Prawda?

– Kontynuuj. Chyba wezmę cię do swojego wydziału.

– Wszystkie kartki z teczki Poulsona były jednakowe, jakby napisano je za jednym razem. U Braziera natomiast wyglądały zupełnie inaczej. Z pewnością Sutherland robił notatki, które potem przepisywano, przez dłuższy czas, więc były różne. A u Poulsona wszystkie identyczne. Może Clarence zabrał sobie dokumentację Poulsona, a lojalna obrończyni honoru, Miss Jones, po prostu sporządziła nową dokumentację.

– Sądzę, że masz rację – powiedział Teller. – A jeśli tak, to nasz pan psycho też dopiero teraz się o tym dowiedział. Na pewno był zdziwiony, chociaż, jak powiedziałaś, zgrabnie i profesjonalnie to wszystko przykrył...

Teller przystanął przy Ministerstwie Sprawiedliwości. Susanna otworzyła drzwiczki i zapytała: – Co dalej?

– Sensowne pytanie. Zadam je mojej magicznej tablicy i przekonam się, czy da jakąś sensowną odpowiedź. Poza tym – zadzwonię do ciebie później. Okay?

– Spróbuj tylko nie!

Tymczasem w Chevy Chase doktor Chester Sutherland powoli wstał z kanapy i

podszedł do drzwi wiodących do biura Miss Jones. Wcześniej przez dobre dziesięć minut czytał dokumentację Jonathana Poulsona. Vera weszła do gabinetu natychmiast, kiedy wyszli Teller i Susanna, ale Sutherland kazał jej wyjść. – Pozwól mi wytłumaczyć – powiedziała.

– Wynoś się, Vera.

Kiedy drzwi się otwały, Vera jeszcze bardziej wyprostowała się za biurkiem. Spojrzała na niego. – Musiałam to zrobić.

– Do cholery – powiedział, rzucając teczkami przez cały pokój w sposób nad wyraz niepsychiatryczny – gdzie są oryginały dokumentów Poulsona?

– Nie wiem.

– Powiedziałaś mi przecież, że ci je oddał.

– Skłamałam...

– Czy zdajesz sobie sprawę, w jakiej to nas stawia sytuacji?

– Czy zauważyli?

– Nie, ale nie jestem całkiem pewien.

– Po co im pokazałeś te te czki? Przecież to głupi pomysł.

– Chciałem, żeby się ode mnie odczepili. Poza tym, ja tylko pokazałem im te czki, i nie pozwoliłem niczego czytać...

– To nie ma się czym przejmować.

Sutherland zebrał kartki z podłogi i położył na jej biurku. – Mam szczerą nadzieję, że się nie mylisz – powiedział. – Żałuję tylko...

– Żałuje pan, panie doktorze, że to wszystko naprawdę się wydarzyło. Tak, oboje bardzo tego żałujemy.

ROZDZIAŁ 32

Laurie Rawls siedziała przy swoim biurku w biurze sędziego Conovera przyciskając jednym ramieniem telefon do ucha. – Tak, rozumiem – powiedziała. – Tak, wspaniałe wiadomości. Natychmiast wszystkim powiem. Dzięki.

Odwiesiła słuchawkę i nabazgrała na notatniku domek. Dodała jeszcze komin i dymek, który wił się aż do samej góry kartki, po czym chwyciła za telefon i wykręciła wewnętrzny numer do sędziego przewodniczącego Poulsona. Zgłosiła się jego sekretarka, Carla.

– Carla, mówi Laurie Rawls. Muszę się natychmiast zobaczyć z szefem.

– Jest bardzo zajęty, Laurie. Powiedział, żeby mu nie przeszkadzać.

– Sądzę, że zechce mnie przyjąć, Carla. Muszę z nim przedyskutować coś bardzo istotnego na temat sędziego Conovera i głosowania w sprawie aborcji.

– Jak się miewa sędzia Conover? – spytała Carla. – Masz jakieś wieści?

– Żadnej zmiany. Proszę, powiedz sędziemu Poulsonowi, że potrzeba mi dziesięć minut jego czasu, nie więcej.

Chwilę później zgłosiła się Carla. – Przyjdź teraz, Laurie, ale bądź krótko, dla mojego dobra.

Poulson siedział za biurkiem pełnym akt sądowych. Resztki sandwicza z pastą jajeczną widniały na szczycie jednego stosu akt, dwa używane papierowe kubki do kawy na drugim. Siedział w samej koszuli, twarz miał dość wymizerowaną. Nie wstał nawet na jej wejście, tylko machnął ręką w stronę wolnego krzesła.

– Wiem, że jest pan bardzo zajęty, panie sędzio przewodniczący, ale byłam pewna, że zechce pan wysłuchać, co mam do powiedzenia.

– Carla mówiła, że coś o sędzim Conoverze.

– Tak. Dzwoniła ze szpitala Marisa. Na moment odzyskał przytomność. Powiedziała, że po chwili znowu ją stracił, ale że lekarze patrzą już teraz bardziej optymistycznie i twierdzą, że wydobrzeje przynajmniej po części.

– To dobre wieści. Mówiła pani wszystkim o tym?

– Nie, tylko panu.

Jego uśmiech był ojcowski, zatroskany. Wstał i wskazał na papiery zasłaniające mu biurko. – Czuję się tak, jakbym topił się w papierzyskach...

Laurie uśmiechnęła się. – Wszyscy mamy czasem takie wrażenie, sir. Panie sędzio Poulson, jest jeszcze coś, co chciałabym z panem przedyskutować.

– Tak? Cóż... może innym razem, Miss Rawls? Jak pani zapewne zauważyła...

– Myślę, że teraz – powiedziała zdecydowanym i mocnym głosem. – Sędzio Poulson, wiem to, co wiedział Clarence.

– Słucham?...

– Mam dokumenty, sir.

– Jakie dokumenty?

– Na temat pana... i pana pobytu w pewnym miejscu w Delaware... wykazujące, że Biały Dom wiedział o tym i wykorzystywał te informacje od momentu, kiedy został pan sędzią przewodniczącym...

Twarz mu poczerwieniała i powstał z fotela. Na pół zjedzony sandwicz zsunął się na ziemię. – Jak pani śmie?

– Proszę, panie sędzio przewodniczący, niech pan spróbuje zrozumieć. Nie ma się co tak denerwować, pod warunkiem, że spokojnie o tym porozmawiamy. Że tak powiem – jak mężczyzna z mężczyzną, sir.

Opadł z powrotem na krzesło. Zdawało się, że cała krew odpłynęła mu z twarzy, która teraz sprawiała wrażenie, jakby była posypana szarym pudrem. Spojrzał w kierunku drzwi prowadzących na zewnątrz.

– Proszę się nie obawiać, sir – powiedziała Laurie. – Nikt o tym nie wie, oprócz mnie. I może tak zostać.

Popatrzył na nią; jego twarz była teraz pozbawiona wszelkiego wyrazu. Dziwne, pomyślała sobie. No dobrze, jedź dalej... Wstała, złapała dzbanek i naląła lodowatej wody do szklanki. – Proszę bardzo, sir – powiedziała stawiając przed nim szklankę. – Proszę to wypić.

Poulson wypił.

Laurie usiadła z powrotem. – Jak już powiedziałam, panie sędzio przewodniczący, nie ma żadnej potrzeby, żeby to miało wyjść poza ten pokój. Ja pana niesłuchanie podziwiam, zawsze tak było. Uważam, że ludzie stają się, poniekąd, ofiarami okoliczności i starają się postępować jak najlepiej, biorąc te okoliczności pod uwagę... sir, pan tak zrobił, a ja podziwiam ludzi, którzy potrafią tak działać...

– Czyżby? – Wróciła mu siła głosu razem z kolorami na policzkach.

– Tak jest. Podobnie jak Clarence, tylko że on posunął się trochę za daleko, nieprawdaż?

– Czyżby, Miss Rawls?

Jego dziwny spokój trochę ją niepokoił. Przedtem, kiedy zdawało się, że za chwilę padnie, czuła się panią sytuacji. Teraz serce zaczęło jej dygotać, kiedy powiedziała: – Bardzo panu współczuję tego... dylematu, panie sędzio. Z pewnością jest pan naciskany z wielu stron, osobliwie zaś teraz, kiedy zbliża się głosowanie nad kwestią aborcji...

– To też pani wie?

– Cóż... tak, wszystko jest w tych dokumentach, które Clarence zabrał z gabinetu ojca, sir. Jakże trudna musi być konieczność podjęcia decyzji w sprawie tak drażliwej jak aborcja... kiedy pana córka sama miała sztuczne poronienie...

Przypatrywał się jej mrużąc oczy, jakby nagle jej obraz zaczął mu się zamazywać.

– Jestem pewna, że pańska córka podjęła właściwą decyzję, panie sędzio przewodniczący.

Jego milczenie stawało się denerwujące.

– Ja to naprawdę rozumiem, sir. Naprawdę...

– Czyżby, Miss Rawls?

– Tak, sir, naprawdę. Żeby zniszczyć całe życie taką jedną niedyskrecją, jedną pomyłką. To nie fair.

– Skoro tak pilnie pani wszystko przeczytała, domyślam się, że pani wie, iż namówiłem ją do tego.

– Yes, sir... i to poczucie winy, czytałam o tym w dokumentach.

Jego nastrój nagle się zmienił. Nie był już załamany, podenerwowany ojcem z poczuciem winy. Teraz mówił jak osoba publiczna: – Miss Rawls, wiem, że niektórzy nie zgadzają się z moim stanowiskiem, ale sądzę, że moja córka jest także swoistym symbolem tego, czemu należy się przeciwstawić. I nie jest to wyłącznie kwestia moralności czy samookreślenia. To sama postawa, która wpędziła moją córkę w tarapaty – (i ciebie też, pomyślała Laurie) – spowodowała masę problemów w tym narodzie... życie tylko dla chwili, zapominanie o konsekwencjach, o przyszłości... ta sprawa n i e jest wyłącznie zagadnieniem czysto prawnym, choć została postawiona pod osąd na tym forum. Jest to problem, który znacznie wykracza poza czysty legalizm. Ze względu na swoje implikacje sięga samego jądra kwestii przeżycia i istnienia narodu. Ja w to wierzę, Miss Rawls, mamy prezydenta, który w to wierzy, i wdzięczny jestem, że właśnie takiego – (nie wspominając już, że to on cię mianował, pomyślała Laurie) – i jestem dumny z postawy, którą reprezentuję, zamierzam też użyć wszelakich sił pozostających w mojej dyspozycji, by ta postawa odniosła zwycięstwo.

Zapewniła go, że głęboko ją wzruszył swoją mową. Bo i było to niezłe przemówienie. I właśnie dlatego możemy sobie nawzajem pomóc, panie sędzio – powiedziała. – Ja też chcę

dodać do tego swoją cegiełkę. Jak pan wie, Clarence'owi zaproponowano pracę w sztabie prezydenta Jorgensa.

– Tak, prawdę mówiąc, próbowałem to zablokować.

– Tak?

– Oczywiście. Sama myśl, że ktoś pokroju Clarence'a Sutherlanda mógł bezpośrednio służyć prezydentowi, była dla mnie nie do zniesienia...

– I dlaczego się panu nie udało?

– Okoliczności. Ale nie chcę o tym mówić, Miss Rawls.

– Zaproponowano mi to stanowisko.

Na twarzy Poulsona pojawiło się niekłamane zaskoczenie.

– Nie jestem Clarence'em Sutherlandem, panie sędzio przewodniczący. Nie jestem też święta, ale chcę awansować i jednocześnie coś z siebie dać. Wierzę w teorię egoizmu niedawno zmarłej Ayn Rand. Egoizm wcale nie jest pejoratywem. Będąc egoistką, zainteresowaną własnym powodzeniem, mogę osiągnąć osobistą wolność i władzę, która pozwoli mi pomóc innym.

– Trochę pani to upraszcza, Miss Rawls, ale jest w tym i trochę racji... A więc ta praca jest już pani, rozumiem, że pod takimi samymi warunkami jak w przypadku Sutherlanda.

– Tak... że głosowanie w sprawie aborcji potoczy się zgodnie z życzeniem Białego Domu.

– Jak już wcześniej wspomniałem, podzielał stanowisko prezydenta w tej kwestii. A pani?

– Moje osobiste przekonania są tu zupełnie bez znaczenia, sir.

Poulson tylko jęknął i oparł się na biurku. – Więc czego pani chce, Miss Rawls? – (Oczywiście znał świetnie odpowiedź).

– Poparcia mojej kandydatury na to stanowisko. I poparcia w Sądzie w sprawie o aborcję.

– Moje stanowisko w tej kwestii jest powszechnie znane. Nigdy go nie zmieniałem. Jestem za Illinois w sprawie *Nidel kontra Illinois*...

– A co z sędzią Childsem? Mówi się, że przyjął postawę niezdecydowaną... że miał głosować za stanem Illinois, a przeciw aborcji, natomiast obecnie skłania się w stronę przeciwną z powodów czysto konstytucyjnych... Jestem tu aplikantką, sir, a wszyscy aplikanci tu pracujący dla poszczególnych sędziów wiedzą, kto za czym będzie głosować w danej sprawie... albo, powiedzmy, mamy całkiem niezłe co do tego przeczucia. Jestem w pełni świadoma, jakie racje zdaje się reprezentować w tej chwili sędzia Childs...

– Tak, no cóż, próbuje się usilnie przekonać go do powrotu do pierwotnego stanowiska i poparcia Illinois.

– Yes, sir, i jeśli utrzyma pierwotną opinię, głosowanie znowu wypadnie cztery do czterech. Jeśli wydobrzeje sędzia Conover, będzie głosował za powódką, co, jak rozumiem, stanowi przyczynę, dla której usiłuje pan przyspieszyć ostateczne głosowanie, ale gdyby sędzia Childs zmienił stanowisko, bez wątpienia pańska strona przegra.

Ale, pomyślał Poulson, jeśli Childs nie zmieni pierwotnego stanowiska, a sędzia Smith przejdzie na naszą stronę, to wtedy mamy to w kieszeni... Cholerny Childs... czy nie potrafi zrozumieć, że nie chodzi tu tylko o ingerencję stanu w osobisty wybór obywatela. Przecież to sprawa daleko szersza... Gdyby Childs miał taką córkę jak ja...

– Sir, przy całym szacunku dla tej osoby, czyż kwestią najważniejszą obecnie i do natychmiastowego załatwienia nie jest sędzia Childs? Trzeba umocnić jego właściwe stanowisko... Ufam, że ja...

– Może to pani zrobić, Miss Rawls?

– Przy pańskiej pomocy, sir...

Poulson potrząsnął głową. Ta kobieta trochę go przerażała... – Mojej pomocy? W jakim sensie, Miss Rawls?

– Proszę zatelefonować i zaaranżować pewne spotkanie...

– Z kim?

– Z Verą Jones... sekretarką doktora Sutherlanda.

Odwrócił się na krześle, zwracając teraz twarz do okna. – Nie życzę sobie żadnych kontaktów z tym gabinetem...

– Tylko jeden telefon, panie sędzio przewodniczący. Pan przecież wcale nie musi się z nikim spotykać osobiście, ale telefon od pana będzie miał ciężar gatunkowy zdecydowanie większy, niż moje dzwonicie. Potrzeba mi tylko, sir, stworzenia okazji do rozmowy z Miss Jones. Tutaj, w tym gabinecie.

– Nie jestem pewien, czy dobrze rozumiem, ale, w zasadzie, czemu nie w jej sekretariacie?

– Ponieważ tu, w tym budynku, w tym gabinecie, rzeczy przybierają inny, zwiększony wymiar, sir. Panie sędzio przewodniczący, gdyby zechciał pan zatelefonować i poprosić ją, by przyszła na spotkanie z panem do tego gabinetu dziś wieczorem o siódmej, z pewnością nie będzie pytać o cel wizyty... Przecież, kiedy ona przyjdzie, pana może tu już nie być, ale za to będę ja. Mam... mam dla niej pewną propozycję wymiany, która wszystkim przyniesie korzyści... panu, jej, mnie, Białemu Domowi, temu Sądowi, i w rzeczywistości całemu

narodowi...

– A jeśli odmówię?

– Sir, podejrzewam, że wtedy bardzo wiele by pan ryzykował, zarówno osobiście, jak i zawodowo, włączając w to ostateczny wynik w *Nidel kontra Illinois*...

Miał ochotę ją udusić. Zamiast tego przytaknął głową i odwrócił się w inną stronę.

– Dobrze, wracam do biura sędziego Conovera. Czy zadzwoni pan i da mi znać, co z dzisiejszym wieczorem, sir?

– Dziękuję, że zechciała pani do mnie zajrzeć, Miss Rawls.

Dwadzieścia minut później otrzymała telefon z gabinetu sędziego Poulsona.

– Umówione na siódmą – i odłożono słuchawkę.

– Dziękuję bardzo, sir – powiedziała Laurie do sygnału telefonu.

ROZDZIAŁ 33

Martin Teller spojrział na zegarek. Siedział w zaparkowanym samochodzie w pobliżu domu Sutherlanda w Chevy Chase od prawie trzech godzin. Postanowił wznowić śledzenie doktora Sutherlanda i Very Jones od tego popołudnia, i sam zaproponował, że weźmie jedną zmianę. Sutherland godzinę temu wyjechał z domu i kawałek drogi dalej przejął go jeden z ludzi Tellera. On czekał na Verę.

Z głodu burczało mu w brzuchu. Był bez papierosów. Zrobiło się paskudnie zimno, tak że od czasu do czasu włączał silnik, by się trochę ogrzać. Właśnie przed momentem go wyłączył i zajmował się teraz obserwowaniem kundla, który przechodził przez ulicę, kiedy samochód Very Jones wyłonił się z drogi wyjazdowej i skierował w lewo, w kierunku przeciwnym do przodu samochodu Tellera. Włączył silnik, zakręcił i podjechał do niej na tyle blisko, by nie stracić jej z pola widzenia. Robiło się ciemno.

Ona znalazła miejsce parkingowe w pobliżu Union Station, wyszła z samochodu i Pierwszą Ulicą udała się w stronę Sądu Najwyższego. Teller zaparkował nieprzepisowo i ruszył za nią, gotów odwrócić się w każdym momencie, gdyby zechciała się obejrzeć. Ale tego nie zrobiła.

Stał u podnóża schodów wiodących do Sądu Najwyższego i patrzył, jak wchodzi na poziom budynku, a potem skręca w lewo do bocznego wejścia dla pracowników i zwiedzających. Spojrział na zegarek – 6:50.

Laurie Rawls wyszła z biura sędziego Conovera i poszła w dół długim, szerokim korytarzem w kierunku gabinetu sędziego Poulsona. Kiedy właśnie mijała biuro sędziego Childsa, ten akurat wyszedł z drzwi. – Hello, Miss Rawls – powiedział Childs. – Jeszcze w pracy o tej porze?

– Tak – odparła miłym tonem. – Pan też?

– Niestety, muszę jeszcze trochę popracować przed jutrzejszym posiedzeniem w sprawie *Bain kontra Paley*.

– Byle nie za długo, panie sędzio.

– Spróbuję. Dobrej nocy.

Poszła dalej w kierunku gabinetu Poulsona.

Chwilę wcześniej szef opuścił swój gabinet dźwigając pod pachą akta sądowe i kodeks. Strażnik przy końcu korytarza pozdrowił go.

– Hello, John – odpowiedział Poulson.

– Będzie pan tu długo, panie sędzio przewodniczący?

– Mam nadzieję, że nie za długo.

Podszedł dalej aż do drzwi prowadzących do głównej sali sądowej. Były otwarte; pełniący przy nich służbę strażnik znajdował się teraz w końcu korytarza, pijąc wodę z małej fontanny. Poulson wszedł do sali. Panowała tu gęsta ciemność rozjaśniona tylko odbijającymi się od fontann na dziedzińcu światłkami, które rzucały migotliwe, dziwaczne białe błyski po całym olbrzymim pomieszczeniu.

Laurie Rawls zobaczyła Verę Jones przed wejściem do gabinetu Poulsona. Nigdy jej przedtem nie widziała, ale rozpoznała ją natychmiast z opisu podanego kiedyś przez Clarence’a... „wygląda jak ptak... Pannisia Porządnisia... ostre rysy twarzy... chociaż całkiem, całkiem w łóżku...” Twarz Laurie, i żołądek, skurczyły się na myśl o tym ostatnim stwierdzeniu.

Vera odwróciła się na odgłos kroków Laurie na marmurowej podłodze.

– Miss Jones? – zapytała Laurie.

– Tak... jestem umówiona z sędzią przewodniczącym Poulsonem...

– Tak, wiem. Nazywam się Laurie Rawls, jestem tu aplikantką.

Vera nie dała po sobie poznać, że wie o Laurie od Clarence’a. Stała sztywno, bez żadnej reakcji, aż Laurie podała jej rękę i powiedziała: – W zasadzie, o ile się orientuję, sędzia Poulson nie zjawi się na to spotkanie z panią. Został wezwany w pilnej sprawie, ale ja go zastąpię, oczywiście za jego pozwoleniem.

– Nie rozumiem...

– Proszę, niech pani wejdzie. – Laurie weszła do sekretariatu i włączyła górne światło.

Vera pozostała na korytarzu. Laurie zwróciła się do niej: – Ależ proszę wejść, Miss Jones, to taki sam gabinet jak każdy inny. Tu wcale nie straszy.

Vera nadal nie wykonała żadnego ruchu.

– Miss Jones – powiedziała Laurie trzymając ręce na biodrach. – Naprawdę nie mam dla pani całego wieczoru. Proszę wejść i zaraz przejdziemy do sprawy. Vera spojrzała w lewo i w prawo, nim przekroczyła próg.

– Proszę usiąść – powiedziała Laurie wskazując na skórzany fotel pod ścianą.

– Postoję. Chyba nie podoba mi się to wszystko. Sędzia Poulson nic o pani nie wspominał...

– Ale wszystko jest w porządku, zapewniam panią. Sędzia Poulson i ja omówiliśmy całą sprawę dokładnie dziś po południu. Na to, co za chwilę zaproponuję, jak wspomniałam, mam jego całkowitą zgodę.

Kiedy Vera nadal nie chciała usiąść, Laurie wzruszyła ramionami, oparła się o biurko i powiedziała: – Mam coś, czego pani potrzebuje, a pani ma coś, czego my potrzebujemy.

– My?

– Tak, tu w Sądzie.

– A cóż ja bym mogła mieć, co...

– Dokumentację na temat Dana Braziera.

– Nie rozumiem, o czym pani mówi.

– Ależ oczywiście, że pani rozumie. Dan Brazier był pacjentem pani szefa, doktora Sutherlanda, podobnie jak sędzia przewodniczący Poulson. Nie zamierzam niczego owijać w bawełnę, Miss Jones. To, że pani i Clarence utrzymywali z sobą romans... co jest dość zabawnym określeniem w przypadku ludzi w tak różnym wieku... nic mnie teraz nie obchodzi, podobnie jak powody, dla których pozwoliła mu pani zabrać z gabinetu ojca niektóre teczki z dokumentami. Natomiast ważne jest to, iż ja mam obecnie dokumentację na temat sędziego Poulsona. Zakładam, że zechciałaby pani ją odzyskać. Jednocześnie są pewne rzeczy w teczce Mr. Braziera, które mogą zainteresować...

– Mam tego dość, Miss Rawls.

– Podobnie jak ja pani, i pani udawania. Przejdźmy jednak do rzeczy... Proponuję uczciwą wymianę, która wszystkim przyniesie korzyści...

– Wszystkim? Ma pani chyba wyłącznie siebie na myśli.

– Mam na myśli wszystkich. Nie wolno mi swobodnie rozmawiać o kwestiach Sądu, ale zapewniam panią, że wejście w posiadanie dokumentacji na temat Dana Braziera jest sprawą wagi pierwszorzędnej dla tego Sądu, dla rządu i całego narodu. Nie jest to tylko kwestia jednostek. Istnieje pewne dobro wyższe...

– Wyższe dobro? – powiedziała Vera potrząsając z niedowierzaniem głową i dopiero teraz przysiadła na krawędzi fotela. – Wielki Boże, a co wiedział Clarence, albo co pani wie, na temat wyższego dobra, albo też dobra w ogóle? Te dokumenty są świadectwem najświętszego zaufania...

– Powinna pani była myśleć w tych kategoriach, kiedy mu je pani dała...

– Niczego Clarence'owi nie dawałam. On tylko wykorzystał sytuację...

– No tak – Laurie uśmiechnęła się – był ekspertem od tego, prawda? Jak to zrobił, Miss Jones, ukradł pani klucze, kiedy leżała pani obok niego na kanapie w gabinecie...?

– Jest pani ohydna.

– Proszę, proszę, zachowujmy się jak damy... więc wracajmy do interesu. Pani da mi dokumentację Braziera, albo jej prawdziwą kopię, a ja pani oddam dokumentację na temat sędziego Poulsona.

– Po jej skopiowaniu?

– Proszę mi zaufać.

Vera buchnęła śmiechem.

– A jaki ma pani wybór?

– ... Muszę się zastanowić...

– To znaczy skonsultować się z pracodawcą?

– Niech pani nie miesza do tego doktora Sutherlanda. Był taką samą ofiarą swojego syna, jak ja.

– Jakie zgrabne usprawiedliwienie.

– Niech pani sobie myśli, co chce... – Vera poczuła nagle, że robi się jej gorąco. Zdjęła beret i odpięła górne guziki płaszcza.

– Dobrze się pani czuje? – spytała Laurie. – Może napije się pani wody?

– Nie, wszystko w porządku... Czy to wszystko, co ma mi pani do powiedzenia?

– Tak. Brazier za Poulsona. Jutro z samego rana chcę wiedzieć, jaką podjęła pani decyzję.

– Dlaczego?

– Nie pani sprawa, Miss Jones.

Vera wstała opierając się o poręcz fotela dla utrzymania równowagi. W głowie miała zupełną pustkę; chwiała się na nogach. W rękę trzymała beret i ścisnęła go z całej siły, a jej długie, smukłe palce przebijały utkaną luźno wełnę nakrycia głowy.

– Odprowadzę panią – powiedziała Laurie.

Vera zeszywniała, jakby te słowa sprawiły jej fizyczny ból. – Nie, proszę się ode mnie trzymać z daleka. Wcale się pani nie różni od niego...

– Ależ bardzo się różnię, Miss Jones. Oczywiście, prowadzimy te same interesy, ale Clarence jest martwy, a ja żyję. To, moim zdaniem, wielka różnica. Zamierzam zachować pamięć o nim w Białym Domu... Zaproponowano mi to stanowisko, które otrzymałby Clarence... gdyby żył. Czyż to zła nowina?

– Boże, jest pani tak wstrętna...

– Miss Jones, będę na swoim miejscu pracy w biurze sędziego Conovera jutro o ósmej rano. Oto mój numer wewnętrzny. – Na świstku papieru napisała numer.

– Niech pani idzie do diabła.

– Jak sobie pani życzy, Miss Jones. Dobranoc.

Laurie odczekała chwilę, a potem zgasła światło i wyszła na korytarz. Very już nie było. Skręciła więc do biura Conovera, skąd z jego prywatnego gabinetu przeświecał promyk światła. Laurie była pewna, że przed wyjściem na spotkanie z Verą Jones wyłączyła wszystkie światła. Pomyślała o wezwaniu strażników, ale postanowiła sama wpierw sprawdzić, co się dzieje. Podeszła do drzwi, stanęła cichutko pod nimi i usłyszała, że wewnątrz coś zamknięto z trzaskiem. Otworzyła drzwi.

Nad biurkiem swojego męża pochylała się Cecily Conover. Przestraszona, raptownie się wyprostowała, straciła równowagę i opadła na stojący obok fotel.

– Co pani tutaj robi? – zażądała odpowiedzi Laurie.

– Chciałam... Boże, ale mnie pani wystraszyła. Szukam tej teczki...

– Jak pani śmie przeszukiwać jego biurko.

Cecily wstała. – Dzwoniłam do pani i prosiłam o pomoc w odszukaniu tej teczki. Przecież to nie ma nic wspólnego z Sądem, rządem, z niczym, oprócz mojego życia... czy pani nie potrafi tego zrozumieć? Próbuję tylko przeżyć, tak samo jak on.

– I wygląda na to, że jemu się uda.

– Tak, na to wygląda, i to wystarczy do sprawy rozwodowej, która pozbawi mnie wszystkiego, co mi się naprawdę należy...

– A kiedy to żona, która puszcza się na prawo i lewo, może rościć sobie prawo do czegokolwiek?

– No wie pani? W pani ustach...

– Niech się pani stąd wynosi...

– Proszę, Miss Rawls... Zapłacę. Jeśli będę miała tę teczkę, przynajmniej dostanę przyzwoitą odprawę. Podzielę się z panią, obiecuję... Zrobię wszystko, czego pani zechce, tylko proszę ją dla mnie załatwić...

Laurie wyłączyła światła i przeszła do sekretariatu zostawiając Cecily przy biurku w ciemnościach. Powoli Cecily wyszła z ciemnego pomieszczenia i podeszła do Laurie. – Czemu nie chce pani być rozsądna, Miss Rawls? Clarence mówił mi, że jest pani najbardziej inteligentną kobietą, jaką w życiu spotkałam...

Laurie stojąca plecami do Cecily teraz nagle się odwróciła. – Clarence to pani powiedział?

– Tak. Sądzę, że chciał mi w ten sposób pokazać, jak ja jestem głupia. Zawsze mi powtarzał, że jestem matolem...

– Wiem – powiedziała Laurie z satysfakcją obserwując wyraz twarzy Cecily. – Mrs. Conover... chyba jeszcze przez chwilę mogę panią tak nazywać... dokumenty zebrane na pani temat przez męża są w bardzo bezpiecznym miejscu...

– Tak? A gdzie?

– Ja je mam. Clarence mi je dał.

– To, na Boga, niechże pani mi je da! Co pani po nich?

– Może uda nam się dojść do jakiegoś porozumienia. Tymczasem niech pani będzie pewna, że dzielimy to wszystko, co nas jednocześnie łączy, tylko pani i ja, i, oczywiście, pani mąż. Ale przecież w zasadzie jest to dla niego bezwartościowe, skoro dokumentów nie ma, prawda?

– Pani mnie szantażuje.

– To pani sugestia. Niech pani posłucha, wystarczy tylko, by mnie pani od czasu do czasu posłuchała... Może zjemy kiedyś razem *lunch*, może kolacyjkę. Proszę się uspokoić, Mrs. Conover, możemy zostać dobrymi przyjaciółkami. Mamy przecież z sobą tyle wspólnego.

– Tak... mamy Clarence'a.

– Nie, to akurat wcale nas nie łączy. Clarence mnie kochał. Dla niego pani była chwilową zabawką. Dobranoc, Mrs. Conover, zna pani drogę do wyjścia.

Wszedł do ciemnej sali sądowej i stanął przy ławie sędziowskiej, opierając na niej leciutko koniuszki palców. Oto najwyższe *concilium* Ameryki, gdzie za dnia ośmiu mężczyzn i jedna kobieta decydowali o losie milionów ludzi. Ta władza była tak potężna, jak tony mlecznobiałego marmuru, z którego ten gmach zbudowano. Potężniejsza.

Słowa. Miliony słów wypowiedzianych tutaj w imieniu ludzi skazanych na śmierć, zniewolonych, którzy szukali sprawiedliwości, w imieniu korporacji w sporach z jednostkami, sprawy stawiane wyżej od jednostek, które poddawały je osądowi prawnemu. Był to bowiem naprawdę Sąd ostateczny.

Co za wspaniała arena, pomyślał, potężny senny gigant, zaspokojony ofiarami tego dnia i drzemiący w oczekiwaniu na kolejny wschód słońca, na kolejną sprawę do rozstrzygnięcia po myśli powoda czy pozwanego, bohatera czy łotra, chrześcijanina czy lwa.

Ponad nim podium z fotelami dziewięciu sędziów, każdy innej wysokości i kształtu,

puste i zwrócone w różne strony. Uśmiechnął się. Sąd funkcjonował z niezwykłą precyzją, a jednak fotele nigdy nie stały w idealnym rzędku. Symboliczne i prawidłowe. Jak decyzje, z których jedynie nieliczne były podejmowane jednomyślnie.

Wspiął się po kilku schodkach prowadzących do ławy i wolno podszedł od tyłu do środkowego fotela. Ten stał zwrócony nieco w lewo, w kierunku okna i fontann. Usiadł w nim, bez zmiany kierunku, po prostu akceptując jego ustawienie. Fotel zdał mu się niewygodny...

Ona weszła do sali sądowej i stanęła tuż za drzwiami. Światło z fontann migotało na krzesłach i ławkach dla publiczności, odbijało się od mosiężnych barierek i milczących mikrofonów, czasami sięgając sufitu.

Prawie nieruchomy promień światła padał na mównicę, tworząc połyskujące na jej fornirze niewyraźne jasne punkciki. Czowała się spokojniejsza niż kilka minut temu, ale wiedziała, że to tylko pozory. Zanim zupełnie się rozkleiła, co, dzięki Bogu, nastąpiło, kiedy była sama, uważała, że całkowicie kontroluje swoje reakcje. Ale kiedy przyszedł ten moment, czuła, jakby nagle wyrwano wszystkie zatyczki z jej ciała, pozwalając na utratę całej samokontroli, co sprawiło, że została jakby obnażona, cała drżąc na myśl, że za moment może się rozpaść na tysiąc kawałeczków. Laurie Rawls... ta straszna kobieta stanowiła katalizator tej reakcji rozpadu... Boże, była reinkarnacją Clarence'a – wcieleniem jeszcze gorszym, o ile to w ogóle możliwe...

Całą swą uwagę skupiła na mównicy, chcąc się na czymś oprzeć. Podeszła do niej, dotknęła jej oświetlonej powierzchni, a potem części pozostającej w ciemności, jakby pragnąc wyczuć namacalną różnicę.

Nagle coś usłyszała, spojrzała w górę na dziewięć foteli z czarnej skóry. Czyżby ten w samym środku się poruszył? Ciemność robiła różne sztuczki... dźwięki były przesadnie wyraźne i mylące, światło tworzyło dziwaczne kształty.

Kolejny odgłos, tym razem z tyłu. Odwróciła się wolno w kierunku części sali zarezerwowanej dla prasy. Nic. Zaczęła trząść się znowu i złapała się mównicy, zwiesiła głowę, bojąc się, że zwali się z nóg w każdej chwili. To stało się dokładnie tutaj.

Kolejny dźwięk dobiegający od strony ławy, jakby metal zadzwierczał o metal. – Jest tam kto?

Żadnej odpowiedzi.

Torebka upadła jej na podłogę. Nie schyliła się po nią...

Teller, który siedział w cieniu części wydzielonej dla prasy, przez moment się zawahał, czy nie wstać i nie pokazać się jej. Przyszedł za nią do budynku, wykorzystał swoją

przepustkę jako detektyw prowadzący śledztwo w sprawie morderstwa Sutherlanda; widział, jak spotkała się z Laurie Rawls; widział też, jak sędzia Poulson opuścił swój gabinet i udał się do sali sądowej. Teller pomyślał, że najlepszą z możliwych rzeczy będzie pójście tropem sędziego przewodniczącego. Tak też zrobił, wszedł za nim do sali sądowej i widział go, jak zasiada za ławą. Czy spodziewał się, że zobaczy tu tę tak dziwacznie zachowującą się kobietę? Nie, w zasadzie zamierzał poczekać tu tylko kilka minut, przekonać się, o co też chodzi sędziemu Poulsonowi, jeśli w ogóle o cokolwiek, a potem wyjść z budynku i zaczekać na kobietę, która zniknęła w gabinecie Poulsona z Laurie Rawls. A jednak byli tu oboje, i stało się dla niego jasne, że ta dziwaczna, i w pewnym sensie bardzo szkodliwa sprawa, zakończy się w miejscu, które ją zapoczątkowało – tu, gdzie znaleziono szefa aplikantów, zabitego strzałem w głowę, kiedy zasiadał w fotelu najwyższej osobistości prawnej w kraju.

Teller patrzył teraz z uwagą, ale także smutkiem i wywołującym dreszcze odczuciem, że w pewien sposób narusza świętość najgłębszych uczuć osaczonej istoty ludzkiej. Kobieta uderzyła zaciśniętą pięścią w mównicę i wymamrotała ledwie słyszalnym szeptem: – I po co to było? Czy wszystko na próżno?

Jakby w niezwyklej odpowiedzi, skórzany fotel stojący w samym środku za ławą obrócił się powoli przodem do mównicy. Nie potrafiła rozpoznać osoby siedzącej w fotelu, ledwie widziała rękę spoczywającą na oparciu. Ale Teller wiedział, kto to jest... ten sam człowiek, który zasiadał tu stale w czasie posiedzeń Sądu... sędzia przewodniczący składu sędziowskiego amerykańskiego Sądu Najwyższego. Zarówno on, jak i ta kobieta, z przyczyn, które ewidentnie ich do tego skłoniły, pojawili się na miejscu zbrodni, i oboje w sposób różny, ale jednocześnie ze sobą powiązany, odgrywali główne role w ostatnim akcie rozwiązania zagadki morderstwa... Teller potrząsnął głową, w tym bowiem momencie zdał sobie sprawę – z niechęcią, ale jednocześnie z poczuciem, że jest to jak najbardziej odpowiednie – że to morderstwo, jak wiele innych, zostało rozwiązane przez samych aktorów i że to właśnie oni, a nie policja – mimo swojego jakiegoś tam udziału – doprowadzili do finału. Cóż, przynajmniej był obecny na scenie, a to już więcej niż w większości prowadzonych przez niego spraw. Tym razem, w dużej mierze dzięki poszukiwaniom Susanny i jej inteligentnym domysłom, wiedział mniej więcej, kogo należało obwiniać, i właśnie ta wiedza oraz podejrzenia sprowadziły go tutaj, by zdemaskować winnego...

– To nie poszło na marne. – Głos dobiegł z fotela sędziego przewodniczącego. A teraz sędzia przewodniczący Jonathan Poulson wychylił się na swoim fotelu w przód, tak by mogła dojrzeć jego twarz oświetloną światłkami wpadającymi przez okna. – I proszę mnie posłuchać, młoda damo, nie ma pani żadnego obowiązku mówić cokolwiek więcej...

– Ale chcę. Potrzebuję tego... Nie chodzi wcale tylko o to, że był taki okrutny wobec mnie, i że był... okrutny wobec innych, o czym wiedziałam. Był tak sprytny i, co gorsza, zupełnie pozbawiony skrupułów. Dlatego wszystko tak mu się udawało, przez tę jego chęć zrobienia czegokolwiek, powiedzenia wszystkiego, byle tylko dostać to, czego chciał...

– Powtarzam – wtrącił Poulson – że naprawdę nie powinna pani nic więcej mówić. Ma pani swoje prawa, i dostanie pani dobrą obronę.

Teller zdecydował, że nadszedł czas, by się ujawnić. Wystąpił z cienia części wyznaczonej dla prasy, stanął w pół drogi do mównicy i spojrzał w górę na ławę. – Dobry wieczór, panie sędzio przewodniczący. – Poulson nie odpowiedział, jedynie skinął głową, wyraźnie zdenerwowany, że ktoś był świadkiem tej sceny, która, jak sądził, była bardzo sekretna, i w której mogli uczestniczyć, przynajmniej teraz, on, załamana kobieta i mównica.

Teller zwrócił się do niej. – Miss Jones, przepraszam, że wtrąciłem się w takim momencie. Proszę mi wierzyć. Przykro mi to mówić, ale jest pani aresztowana. – Z całkowitym przekonaniem, że brzmi to potwornie głupio, zaczął wymieniać, jakie prawa jej przysługują, taki bowiem miał obowiązek – w końcu, to sędziowie Sądu Najwyższego postanowili, że tak właśnie ma być, albo przynajmniej taki obowiązek usankcjonowali.

– Niech go pani posłucha – powiedział Poulson. – W pani interesie leży...

Ale ona jeszcze nie skończyła. Mówiąc powoli, jakby zupełnie nie dotarło do niej, co mówili Teller i Poulson, ciągnęła: – Uważałam, że tak należy zrobić, on zaszkodził tylu ludziom, i tylu jeszcze chciał zaszkodzić. Mój Boże, znał sprawy, które mogły zaszkodzić sędziemu przewodniczącemu Sądu Najwyższego, zmazać dobre imię innego sędziego, narodowego bohatera, mógł się nawet dobrać do samego prezydenta... miał zamiar wykorzystać swoje paskudne wpływy, wpływy oparte na plugastwach, na szperaniu w życiu innych ludzi... po to, żeby ustanowić prawo dotyczące niemowląt... sztucznego poronienia... on sam był poroniony... nawet jego ojciec, jego własny ojciec, lekarz, tak powiedział...

Poulson zszedł z podium i poprosił Tellera, by ich zostawił, obiecując, że dopilnuje, by Vera zjawiała się później w komendzie, ale Teller, choć bardzo by chciał to zrobić, wiedział, że mu po prostu nie wolno. Sędziowie Sądu Najwyższego, osobliwie przewodniczący, mieli skłonności do ignorowania nudnych i mało wzniosłych rutynowych czynności służbowych policji. Mogli sobie na to pozwolić. On natomiast nie.

Kiedy wyprowadzał Verę z sali sądowej, zapytał ją, co miała na myśli mówiąc „Czy to wszystko na próżno?”

Potrząsnęła głową. – Chodziło mi o tę okropną Laurie Rawls... Wiem, że ludzie powiedzą, iż jej nienawidzę, bo obie miałyśmy romans z Clarence'em, ale to nie o to chodzi.

– Spojrzała teraz przytomniej na Tellera, jakby przed chwilą powróciła z bardzo daleka. – Detektywie Teller... tak, pan i Miss Pinscher mieliście rację przychodząc do gabinetu doktora i pytając o dokumentację Poulsona. Bóg świadkiem, jak bardzo chciałam ją wtedy mieć, jak bardzo żałuję, że byłam tak bezdennie głupia, wierząc w to, co Clarence mówił o swoim uczuciu do mnie. Czy naprawdę mu wierzyłam? Obawiam się, że tak... ponieważ tak bardzo chciałam w to uwierzyć. Pan go nigdy nie znał, ale on potrafił być najbardziej czarującym i kochającym... tak, kochającym... Wszystko zaczęło się od jego wyglądu, niektórzy twierdzą, że był bardzo podobny do Redforda. Potrafił przekonać kobietę, że jest jedyna na całym świecie... tak, przekonał mnie o tym i, oczywiście, jak wspomniałam, tak bardzo chciałam w to wierzyć. Nie jestem kobietą atrakcyjną dla większości mężczyzn, więc to mi schlebiało, podniecało mnie, czułam się prawdziwą kobietą po raz pierwszy od wielu lat... Tak, właściwie to żadne usprawiedliwienie.

– To prawda, Vero, ale może pani niektóre sprawy wyjaśnić, i jeśli w ogóle istnieją usprawiedliwienia w takich sprawach, to pani je ma. Nie wiem, co się stanie, ale niech mnie szlag trafi, jeśli nie dopilnuję, by te wyjaśnienia nie zostały pominięte, kiedy będą się naprawdę liczyć... – Już miał powiedzieć „kiedy pani będzie sądzona”, ale pomyślał, że może do tego nie dojdzie, może uzyska zwolnienie na podstawie czasowej niezdolności do kontrolowania swoich czynów, co do czego z jednej strony nie miałby żadnych zastrzeżeń, z drugiej zaś uważał, że byłoby to cholernie nie fair. Ta pani popełniła morderstwo i nikt nie miał prawa stwierdzić, że wszystko jest w porządku... ale jeśli w ogóle można w jakimś sensie usprawiedliwić morderstwo... to właśnie... ale przecież tego robić nie można... no, ale Vera Jones...

– Dziękuję – prawie się uśmiechnęła – ale jest jeszcze Laurie Rawls. Teraz ona ma teczkę sędziego Poulsona, jak kiedyś Clarence. Przed chwilą próbowała, grożąc mi, wydobyć ode mnie dokumentację sędziego Childsa. Przynajmniej tego nie dostanie. Aleteczka sędziego Poulsona...

– Ja bym się teraz tym nie martwił – powiedział Teller, choć ogarnął go niepokój. Wszystko, co powiedziała Vera Jones, Laurie mogła łatwo obalić. Ta sprytna, twarda panienska wszystkiemu zaprzeczy, powie, że Vera zwariowała, że pomieszało jej się we łbie tylko dlatego, że Clarence ją przeleciał, a potem rzucił, i tak dalej. I niektórzy z pewnością uwierzą. Na Boga, Clarence go nie „przeleciał” i w końcu on jeszcze nie zwariował... no, przynajmniej jak dotąd, ale jeśli będzie wystarczająco długo przebywał w tym mieście, to kto wie? Prędzej czy później udzielało się to wszystkim, nawet takim miłośnikom i znawcom opery jak gliniarz Martin Teller...

– Ale ja się martwię – mówiła Vera. – Wiem, że ludzie mi nie uwierzą. Wiem, co o mnie powiedzą. Ale jeśli ta kobieta dostanie kiedykolwiek pracę u boku prezydenta, taką, jaką chciał sobie załatwić Clarence, i o którą ona się stara...

– Zajmiemy się tym... Proszę mi powiedzieć dokładnie, co się wydarzyło tamtej nocy... To znaczy, jeżeli potrafi pani teraz o tym mówić, to może umiałbym pani pomóc...

Potaknęła i wzruszyła ramionami. – Zadzwoiłam do Clarence'a i błagałam go o zwrot dokumentów dotyczących sędziego Poulsona, które ode mnie otrzymał. Mój Boże, przecież pomijając wszystko inne, zdradziłam jego ojca, człowieka, którego szanowałam i dla którego pracowałam od lat. Clarence powiedział, żebym przyszła do jego biura, to sobie porozmawiamy. Kiedy się tam zjawiłam, wyśmiewał się ze mnie, obrażał mnie... na co sobie zasłużyłam... szczególnie na określenie, że jestem głupia. W każdym razie, po chwili weszliśmy do tej sali sądowej...

– Dlaczego?

– Jemu się tu podobało, mówił, że któregoś dnia zasiądzie w jednym z tych foteli, a może nawet na krześle w Oval Office Białego Domu. Wielki Boże, czy to nie przerażające?

Teller przytaknął. – Z pewnością, Miss Jones... A co było dalej?

– Wiedziałam, że w jego wygadywaniu kryje się realna groźba. Miał tyle informacji o tylu ludziach... Prosiłam go o tę teczkę, dla swojego dobra... co już samo wskazuje, jaka byłam głupia...

– Proszę się nieco cofnąć w czasie, Miss Jones. Tej nocy z Clarence'em, zanim weszliście do sali rozpraw. Czy coś się wydarzyło wcześniej? – Zastanawiał się nad pistoletem.

– Tak, miał dowody, które sędzia Conover zgromadził przeciw swojej żonie. Clarence znalazł je w jego gabinecie i zabrał stamtąd razem z pistoletem. Śmiał się opowiadając, jak się dowiedział o istnieniu tej teczki i jak pani Conover powiedziała mu o tym, że była pewna, iż mąż każe ją śledzić... ona i Clarence także... byli z sobą... blisko. Więc Clarence poszedł do gabinetu sędziego i odszukał tę teczkę, dostał się do zamkniętych dokumentów sędziego... i wiemy oboje, jak zdobył klucz, prawda? Dostał go od Laurie Rawls. Clarence przyniósł z sobą pistolet do sali rozpraw. Powiedział mi, żeby się nie martwić, że się mną zaopiekuje, tak samo jak opiekował się mną od lat jego ojciec. Niech pan sobie tylko wyobrazi jego porównującego się z ojcem... Śmiał się też z sędziego Conovera, że taki wielki liberał i przeciwnik wszelkiej kontroli nad bronią jest przezorny i sam trzyma w gabinecie pistolet. Nie myślałam wtedy o tym, ale teraz żałuję, że nic na ten temat nie powiedziałam, bo przecież taki człowiek jak sędzia Conover, być może, przez swoje nieugięte stanowisko zrobił sobie

wielu wrogów w karierze zawodowej, i miał powody, by trzymać w gabinecie broń. Clarence stwierdził jednak, że to po to, by odstraszyć wszystkich mężczyzn uganiających się za żoną starszka... tak dokładnie powiedział. I wtedy już wiedziałam na pewno to, co przeczuwałam, ale nie chciałam tego przyznać, że on miał także romans z panią Conover. Potem zaczął wygadywać o tym, co ma na innych ludzi, żeby się nie wychylali... sędziów tego Sądu, własnego ojca, nawet na prezydenta... Tak jest, twierdził, że znajdzie się w Białym Domu szybciej, niż się ktokolwiek spodziewa...

Teller zatrzymał się, kiedy podchodzili do drzwi sali rozpraw. Poprowadził ją z powrotem, delikatnie trzymając za ramię, do podium z ławą sędziowską. Poulsona, jak się spodziewała, już tu nie było. Szedł tuż za nią, puściwszy teraz jej ramię. Wyciągnął swój pistolet kalibru.38 z kabury pod pachą i wyjął z niego do kieszeni wszystkie pociski. Kiedy doszła do środkowego fotela, podał jej pistolet. – Vera, proszę mi pokazać, jak to było? Czy Clarence siedział tutaj?

Skinęła głową.

Trzeba było naprawdę być paranoikiem, jak Clarence, by wybrać sobie właśnie fotel przewodniczącego. Wariat, kompletny wariat, ale wariat sprytny jak lis... Teller zasiadł w fotelu. – Śmiało, Vera.

Początkowo nie chciała wziąć pistoletu, a potem się zdecydowała i położyła go na ławie przed Tellerem. – Zaczął jedno z tych swoich przemówień na temat tego, jak bardzo był wdzięczny tym wszystkim głupim i skorumpowanym ludziom, którzy tak zgrabnie mu się podkładali. Jak oni wszyscy, w jakiś tam sposób, pracowali na jego rzecz i któregoś dnia, kiedy już dojdzie tam, dokąd zmierza, być może urządzi zjazd towarzyski... Opowiadał takie rzeczy aż do momentu, kiedy już nie mogłam tego dłużej ścierpieć. O tak, oczywiście wymienił mnie w tej grupie, ale przerażające było nawet nie to, co mówił, lecz jego spokojny ton, jakby to wszystko się już dokonało, jakby nic nie mogło go już powstrzymać... i wtedy do mnie dotarło, zrozumiałam, w jaki sposób przyczyniłam się do tego, co zrobił i co jeszcze zamierza zrobić... wszystko przez moją głupotę i słabość... I potem, pewnie pan nie uwierzy, ale potem chciał, żebyśmy się kochali, złapał mnie i zaczął wymachiwać tym pistoletem – wzięła teraz do ręki pistolet – i... wtedy to zrobiłam... – Wypowiadając ostatnie słowa nacisnęła spust i jedynym dźwiękiem, który rozległ się w majestatycznej sali rozpraw, był metal uderzający o metal, dźwięk, którego zmarły Clarence Sutherland nigdy nie usłyszał.

Delikatnie wyjął z jej ręki pistolet, włożył go z powrotem do kabury i wyprowadził ją z sali, z budynku w ciemną noc Waszyngtonu.

ROZDZIAŁ 34

Wyszli z Kennedy Center po przedstawieniu *La Boheme* Pucciniego.

– Było wspaniale – powiedziała Susanna. – Tyle... żarliwości.

– To cały Puccini – stwierdził Teller, puszczając jej rękę i szukając w kieszeni kluczyków do samochodu. – Dokąd teraz?

– Twój wybór. Albo nie, cofam to. Ty do tej pory wybierałeś rozrywki, więc teraz moja kolej. – Spojrzała bacznie przed siebie i powiedziała z poważną miną. – Jedziemy do ciebie.

Z tak samo poważną miną powiedział: – Sprzątaczkę ostatnio nie było. Jest cholerny bałagan...

– Przecież nie masz sprzątaczkę.

– Poddaję się.

W jego mieszkaniu, gdzie rzeczywiście panował tak cholerny bałagan, jak lojalnie uprzedzał, zdjął stary koc z kanapy i wyjaśnił: – Żeby kocia sierść nie włąziła w obicie. Siadaj, ale uważaj na środek, popsuta sprężyna. – Włączył stereo. – Drinka?

– Z rozkoszą.

Kiedy mieli już drinka w rękach, on powiedział: – Vera mówiła mi, że Clarence wyglądał jak Robert Redford. No, ale nie w kostnicy. Tyle że jej tego nie mówiłem. I tak chyba za dużo od niej wymagałem w tej sali rozpraw. Rany, ale to było niesamowite, najpierw Poulson, a potem ona demonstrująca mi, jak zastrzeliła Sutherlanda...

Usiedli oboje na jednym końcu kanapy popijając drinki. Jeden z kotów zaczął się ocierać o jej nogi.

– Martin – powiedziała – czy sądzisz, że to się już skończyło?

– Tak... przynajmniej nasza część. Powiedz mi, jak ci poszło z Laurie Rawls. – Kiedy jej opowiedział, co usłyszał od Very na temat Laurie, Susanna postanowiła się nią zająć. Żeby jej wyperswadować to, co zamierzała zrobić...

– Pojechałam do jej mieszkania. Oczywiście, była całkiem inna od tej, którą pamiętałam z poprzednich naszych spotkań. Taka pewna siebie i twarda. Aż do momentu, kiedy jej powiedziałam, że byłeś zdecydowany oskarżyć ją o szantaż.

– Co powiedziała?

– Najpierw wcale nie spokorniała, twierdziła, że blefuję. Więc powiedziałam jej, że oprócz istnienia na to niezbitych dowodów, przeciek kilku informacji do mass mediów i tak całkiem załatwi jej karierę w Białym Domu.

– I co?

– Szybciutko zmieniła się znowu w łagodną panienkę, nawet udało jej się uronić kilka łez. Powiedziała, że jako kobieta powinnam zrozumieć... że chciała tylko załatwić coś dla siebie w tym twardym świecie mężczyzn.

– I co?

– Wstyd mówić, ale prawie ją wtedy palnęłam. I powiedziałam, żeby sobie w buty wsadziła takie opowieści i że jeśli nie zrezygnuje z Sądu, nie odrzuci pracy w Białym Domu i nie wyniesie się z tego miasta, to zajmę się wyłącznie tym, by na pewno wsadzić ją do więzienia. I chyba mi uwierzyła.

– Znakomicie. I, oczywiście, teraz Biały Dom nie chce mieć z nią nic wspólnego, i ona zdaje sobie z tego sprawę.

– Wiesz, co mi jeszcze w tym wszystkim przeszkadza, Martin? Jorgens jest nadal prezydentem, a Poulson przewodniczącym Sądu Najwyższego.

– Susanno, rozstrzygnęliśmy sprawę morderstwa. A teraz życie po prostu toczy się dalej. A skoro już o tym mowa – objął ją.

– Zaraz, panie detektywie. Przecież nie skończyłam jeszcze mówić...

– Wiem. No dobrze, słuchaj, mogłabyś ukradkiem sprzedać tę historię jakiemuś kumpłowi z prasy, o tym, że Poulson był leczony psychiatrycznie i że prezydent Jorgens wiedział o tym, kiedy powoływał go na stanowisko sędziego przewodniczącego.

– Nie mogłabym...

– Jasne, że byś nie mogła.

– Poza tym jest jeszcze Childs. Nadal jest idolem milionów ludzi. Przecież jego historia wylazłaby na wierzch, i to w tak paskudnym świetle. – Łyknęła drinka. – Czy sądzisz, że doktor Sutherland wiedział, że Vera Jones zabiła jego syna?

– Myślę, że tak. Rany, jakim ścierwem musiał być ten facet, że nawet jego własny ojciec nie chciał wydać mordercy.

– Czy ona ci to powiedziała? Znaczy, że doktor wiedział?

– Prawie to powiedziała, tyle że i tak to było raczej oczywiste. Ale co ja niby miałbym zrobić z taką informacją? Mógłbym go oskarżyć o utrudnianie pracy organom wymiaru sprawiedliwości przez zatajenie w toku śledztwa informacji o morderstwie, ale, widzisz, tego nie ma w aktach. Zostało to zakwalifikowane jako zabójstwo w afekcie. Tak jest lepiej, bo

nikomu ziemia nie zadrży pod nogami. A poza tym, to lepsza obrona dla Very... Bóg świadkiem, że zasługuje przynajmniej na łut szczęścia. Poza tym mam zupełnie inne sprawy na głowie, jak moja ciężarna córka, moja pensja dwa wyliniałe koty... A co u ciebie, pani radco?

– Rozważam, czy się stąd wynieść.

– Przecież dopiero tu przyszedłeś. Do tego nie wiem, czy pamiętasz, ale to był twój własny pomysł.

– Myślę o Kalifornii, wariacie. I świetnie pamiętam...

– Nie, do diabła.

– Rozmawiałam z moim eks. Wcale mu nie jest łatwo zaczynać od nowa, z trójką dzieciaków na karku. Czas, żebym je wzięła ja, i sama trochę wyoroślała. Myślę, że wszystkim nam by się przydało zacząć od nowa.

Nie wiedział zupełnie, co powiedzieć, więc rzucił tylko: – Jwszcze drinka?

– Proszę.

Kiedy wrócił z kuchni po napełnieniu szklanek, spytała go, co powiedziała Vera Jones przed formalnym przesłuchaniem.

– Naprawdę jej współczuję – powiedział. – I nadal współczuję. Ta opanowana kobieta tamtej nocy z Clarence'em straciła nad sobą kontrolę, zastrzeliła go... No, ale potem odzyskała zmysły na tyle, żeby zanieść pistolet z powrotem do gabinetu Conovera używając klucza, który miał przy sobie Clarence. Co więcej, potem wróciła do sali rozpraw i włożyła mu klucz z powrotem do kieszeni. Jak na ironię, Clarence miał przy sobie teczkę z dokumentami na temat Poulsona, tyle że ona o tym nie wiedziała. Sądziła, że ma tylko teczkę z dowodami zebranymi przez Conovera przeciw żonie. I Vera zaniósła to wszystko do gabinetu Conovera razem z pistoletem i teczką Poulsona, która teraz w końcu wróciła tam, gdzie jej miejsce, czyli do gabinetu Sutherlanda. Mogła ją odzyskać tamtej nocy, ale los, widać, chciał inaczej. W każdym razie, kiedy zobaczyliśmy tę podrabianą teczkę w gabinecie Sutherlanda – jak pamiętasz, doktor był zaskoczony – pomyślałem, że Vera była jedyną osobą, która mogła ją zabrać, a potem próbowała zatrzeć ślady zmyślając historię choroby na nowo. Dlatego postanowiłem ją śledzić. I udało mi się.

– Wcale ci się nie udało... jak na policjanta jesteś dość inteligentny... A zmieniając nieco temat, co sądzisz o decyzji w sprawie *Nidel kontra Illinois*?

– A ty?

– Znasz moje przekonania, ale przede wszystkim ucieszyłam się, że sędzia Conover wydobrzył na tyle, by uczestniczyć w głosowaniu. To dobry człowiek i wiele przeszedł.

– To musi być cios dla Białego Domu.

– Pewnie tak, ale jak sam mówiłeś, są rzeczy ważniejsze – twoje dzieciaki, moje, nasze życie – a mówiąc o życiu detektywie, dosyć gadania o sprawach, przejdźmy lepiej do następnego punktu porządku dziennego... – Przynęła się do niego bliżej na kanapie.

– Nie tutaj, ta sprężyna...

– Czy kawaler nie ma sypialni?

Miał, więc po usunięciu kotów, zaczął ją jej pokazywać po to, by myśli o Kalifornii, przynajmniej na chwilę, wybić je zupełnie z głowy.